SĄDOWY CIOS W AKTYWISTÓW TRANS

WIELKIE MIASTA NIE DLA LUDZI

TAJEMNICE SKRYTE W GROBOWCACH

SIECI

STRACH, ZAZDROŚĆ, BEZRADNOŚĆ. DLACZEGO TAK PLUJĄ NA PREZYDENTA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

8 (690) 2026
16–22 lutego 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

JAN ROKITA:

W CO GRA TOWARZYSZ CZARZASTY

KILKA SONDAŻOWYCH PUNKTÓW I POZYCJA NA DWORZE TUSKA. PRAWDZIWY CEL GROŹNEJ DLA POLSKI, ANTYAMERYKAŃSKIEJ GRY MARSZAŁKA SEJMU BUDZI OBURZENIE I POGARDĘ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
08
9 772544 269601
Numer w sprzedaży do 23 II 2026 r.

FUNDACJA STEFCZYKA

Współczesna spółdzielczość w praktyce

Spółdzielczość to przyszłość budowana wspólnie, każdego dnia.

Wspieramy polski sport, kulturę, edukację i lokalne działania społeczne, bo siła wspólnoty tkwi w tym, jak potrafimy dzielić się dobrem.

www.fundacjastefczyka.pl

eprasa.pl 7432f6a181

Nierozbrojona bomba

Powoli klaruje się plan polityczny koalicji 13 grudnia. Jego istotą jest podział ról: Koalicja Obywatelska ma operować językiem centroprawicy, a nawet prawicy (bez związku z realnymi działaniami) i walczyć o 35 proc. poparcia kosztem Polski 2050 oraz PSL. Z kolei postkomunistyczna lewica Włodzimierza Czarzastego ma budować lewe skrzydło, próbując zbliżyć się do 10 proc. poparcia. Przy odrobinie szczęścia może to dać obecnej koalicji rządzącej reelekcję w 2027 r. Równolegle budowana będzie oś sporu z prezydentem Karolem Nawrockim, która – przynajmniej na pierwszym planie – ma przesłonić dominujący do niedawna spór z Prawem i Sprawiedliwością.

Nie wiemy, czy ten plan się powiedzie, ale nie można go lekceważyć. Tusk działa bowiem – jak to ujął jeden z polityków PiS – „bardzo sprytnie". Skutecznie przesłania skrajną niekompetencję swojej ekipy kradzieżą języka opozycji, PR-owymi sztuczkami, dużą aktywnością w mediach społecznościowych oraz świadomie kreowanymi konfliktami na wybranych przez siebie polach. Owszem, kupuje ledwie dni, co najwyżej tygodnie, ale jednak kupuje, budując kurtynę między realnym życiem kraju a debatą publiczną.

Zadanie ułatwia mu rozbicie prawicy – zarówno PiS, jak i Konfederacja mają na głowie rosnące poparcie dla egzotycznej formacji Grzegorza Brauna. A z egzotyką, czasem nawet toksyką, nie tylko trudno walczyć – ona także zatruwa całą przestrzeń, uniemożliwiając zbudowanie programowej kontroferty wobec obozu władzy.

Jednocześnie Prawo i Sprawiedliwość zdaje się powoli „rozchodzić po szwach". Spory pomiędzy frakcjami są już nie tylko jawne, lecz także coraz bardziej bezceremonialne, często prowadzone w sposób prowokacyjny, zjadliwy. Wzajemne dawanie sobie „fangi w nos" dostarcza rozrywkę mediom III RP, ale polskich patriotów może jedynie smucić. Nawet jeśli to kiepskie widowisko na chwilę przygasa w obliczu napomnień, to dzień, dwa dni później znów wybija, często ze zdwojoną siłą. Co ważne, to nie tylko osłabia partię, lecz także po prostu uniemożliwia odzyskanie politycznego impetu.

To jest prawda stara jak świat, obowiązująca pod każdą szerokością geograficzną: bez jedności, bez choćby wrażenia jedności, nie da się pokonać silnej władzy. A władza Donalda Tuska jest silna, bo ma zewnętrzne wsparcie i przyzwolenie na działania niezgodne z prawem, często otwarcie przemocowe.

Na szczęście nic nie jest stracone. Doświadczony polityk powiedział mi niedawno: to, co obecnie dzieje się w PiS, to piana, w istocie bez znaczenia. Gdy przyjdzie czas, ta partia – jak nie raz i nie dwa w przeszłości – otrząśnie się z kłopotów i ruszy do boju o Polskę. Oby miał rację.

Uważam, że Prawo i Sprawiedliwość potrzebuje dziś dwóch rzeczy. Po pierwsze, świeżego kandydata na premiera, który przyniesie tej formacji rodzaj głębszego resetu, zarówno wizerunkowego, jak i emocjonalnego. Po drugie, nowych, naprawdę radykalnych propozycji programowych. Radykalnych nie w sensie skrajności, ale odwagi myślenia. Bo przecież takie właśnie było PiS, które zdobywało władzę. I takie być powinno. Nie powinno za to kopiować radykalizmu obu Konfederacji. Nie ulega wątpliwości, że próby podłączania się pod fale, które niosą Mentzena czy Brauna, przynoszą korzyści polityczne konkurencji. PiS powinno być bardzo wyraziste, bardzo twarde, ale na polach wybranych przez siebie.

Czy obecny układ rządowy przetrwa do końca kadencji? Teoretycznie koalicja jest bardzo stabilna, ale jednocześnie zaczyna wyglądać na kruchą. Po pierwsze, zauważalnie rosnąca aktywność amerykańska w Polsce może mieć w tej sprawie istotne znaczenie. Po drugie, sprawa wschodnich powiązań marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego pozostaje nierozbrojoną bombą pod całą konstrukcją. Kolejne fakty potwierdzają, że zarzuty są naprawdę poważne i nie da się ich zbyć ani grepsem, ani przemilczeć. Niechęć marszałka do podjęcia rozmowy na temat istoty zarzutów, odmowa wypełnienia ankiety bezpieczeństwa tylko potwierdzają, że statek został trafiony celnie. I być może tędy właśnie wiedzie droga do zmiany układu w Sejmie.

Jacek Karnowski

Reklama | 02/1125/FZAL

SIECI spis treści

26 Niewinny jak Nowak
Marek Pyza

40 Rząd jest ślepy na problem demografii
Z dr. hab. Michałem A. Michalskim rozmawia Dorota Łosiewicz

40 Sztuczna inteligencja na wojnie
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

5 III WOJNA ŚWIATOWA
Bronisław Wildstein

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 NOWA JAKOŚĆ?
Dorota Łosiewicz

9 MARSZAŁEK KARCI AMERYKĘ!
Jan Pietrzak

9 RADKOWI TĘSKNO DO RESETU
Samuel Pereira

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 BRUKSELSKIE BAJKI, CZYLI PRZEMYSŁ UE W ZIELONEJ PUŁAPCE
Daniel Obajtek

13 KTÓRĄ DROGĄ CHCĄ PÓJŚĆ POLACY?
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 WALIZKA DANIELA CHOJNACKIEGO
Michał Korsun

16 BEZPIECZEŃSTWO CZY ZALEŻNOŚĆ?
Arkadiusz Mularczyk

17 SEKTA PLATFORMA
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 W CO GRA TOWARZYSZ CZARZASTY
Jan Rokita

21 ANTYAMERYKANIZM MAJĄ WE KRWI
Piotr Gursztyn

KRAJ

26 NIEWINNY JAK NOWAK
Marek Pyza

29 OSTATNIE KUSZENIE WŁADYSŁAWA
Stanisław Janecki

32 NAWROCKI KOLE ICH W OCZY
Konrad Kołodziejski

35 MISZALSKI ZJEDNOCZYŁ WSZYSTKICH PRZECIWKO SOBIE
Z Janem Hoffmanem rozmawia Jerzy Szmit

40 RZĄD JEST ŚLEPY NA PROBLEM DEMOGRAFII
Z dr. hab. Michałem A. Michalskim rozmawia Dorota Łosiewicz

OPINIE

43 PANIE NA LEWO, PANOWIE NA PRAWO
Grzegorz Górny

46 NIE MEGALOPOLIS, ALE MIASTO NA LUDZKĄ MIARĘ
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

49 SZTUCZNA INTELIGENCJA NA WOJNIE
Marek Budzisz

52 SĄDOWY CIOS W AKTYWISTÓW TRANS
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

54 GROBOWIEC, KTÓRY ZMIENIŁ HISTORIĘ – NAJWIĘKSZE ODKRYCIA ARCHEOLOGICZNE
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

57 MOCNE KOPNIĘCIE
Jolanta Gajda-Zadworna

60 HITY I KITY
Piotr Zaremba

SPORT

64 KRUCHE WŁOSKIE ZŁOTO, SAMOTNE POLSKIE SREBRO
Michał Muzyczuk

KUCHNIA I PODRÓŻE

66 MOJE SMAKI I SZLAKI: TOMASZ HABDAS
Jolanta Gajda-Zadworna

67 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 PRAWNE RAMY WSPÓŁPRACY Z DEMONEM
Robert Tekieli

70 ANTYCYWILIZACJA
Wojciech Reszczyński

71 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

72 JĘZYK IDEOLOGII
Aleksander Nalaskowski

73 SZANSE, MEDAL I AFERA
Ryszard Czarnecki

74 KOSZMAR EUROPEJSKIEJ PRZESZŁOŚCI – TUŻ, TUŻ?
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 7432f6a181

BRONISŁAW WILDSTEIN

III wojna światowa

Amerykańskie i chińskie sztaby przygotowują się do wojny. Rosjanie już ją rozpoczęli, atakując wszystkimi siłami Ukrainę. Co jakiś czas uderzają w infrastrukturę państw, które wspierają Kijów. Groźby, że Moskwa może najechać je w sposób tradycyjny, nie wydają się prawdopodobne ze względu na skalę jej zaangażowania na Ukrainie.

Globalna wojna nie musi jednak wybuchnąć. W tej chwili przypomina ona grę strategiczną, do której uczestnicy przygotowują się, zajmując optymalne pozycje. Temu służy amerykański projekt militarnej kolonizacji szeroko rozumianej Arktyki, w tym Grenlandii. Reakcje państw europejskich świadczą o ich wyjątkowej krótkowzroczności. Jeśli Chińczycy zorientowaliby się w istotnej, globalnej przewadze Stanów, nie rozpoczęliby wojny.

W obecnym konflikcie Tajwan pełni rolę, jaką przed II wojną odgrywał Gdańsk. Jeśli Amerykanie pozwoliliby zdobyć go Chińczykom, straciliby swoją sojuszniczą wiarygodność i najprawdopodobniej musieliby wycofać się z Azji, a w konsekwencji – z całej wschodniej półkuli. Realnie oznaczałoby to także ekonomiczną redukcję USA, która mogłaby przerodzić się w katastrofę. Flota chińska, zamknięta dotąd archipelagiem, do którego należy Tajwan, wypłynęłaby na oceany i mogłaby zacząć konkurować o najważniejsze szlaki morskie kontrolowane dotąd przez Stany.

Funkcjonuje opinia, że dla Xi Jinpinga ważne jest przyłączenie Taiwanu do Chin w 2027 r., a więc w setną rocznicę stworzenia Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Na pewno symbole takie mają znaczenie nie tylko dla Chin, ale władca Pekinu demonstruje, że jego metody mają racjonalny charakter. Wbrew zachwytom zagranicznych entuzjastów, problemy w jego kraju narastają, a kryzysy kolejnych sektorów gospodarczych postępują. Od kiedy Ameryka Trumpa odstąpiła od absurdalnego otwarcia swojego rynku, który powodował lawinowy wzrost chińskiego importu i załamanie się amerykańskiego przemysłu, coraz mocniej ujawniają się kłopoty ze zbytem produkcji Państwa Środka. I przede wszystkim narasta w nim kryzys demograficzny, efekt długotrwałej „polityki jednego dziecka", na który – wbrew deklaracjom – nie widać remedium.

Narodowa mobilizacja na rzecz „odzyskania" Tajwanu mogłaby przezwyciężyć doraźne, wewnętrzne trudności Chin, ale niedoszacowanie sił i zaangażowania amerykańskiego przeciwnika, mogłoby zakończyć się klęską. Ostrzeżeniem jest przykład Rosji. Uderzyła ona na Ukrainę, uznając, że paniczne wycofanie się Stanów z Afganistanu jest symptomem ich głębokiej niemocy. Przekonanie to wzmocnione zostało anulowaniem sankcji na Nord Stream i faktycznym oddaniem przez Joe Bidena Europy Niemcom. Odruch wspólnoty społeczeństw Zachodu zmusił wszakże rządy do zaangażowania się po stronie Kijowa, a słabość Ameryki okazała się iluzoryczna. Rosja ugrzęzła na Ukrainie, a przedłużająca się wojna z pewnością jej nie wzmacnia.

To, jak się ona skończy, zależy od Zachodu i jego determinacji. Gdyby nie jego tchórzliwość, a więc gdyby obecna pomoc dla Kijowa została dostarczona od razu, Moskwa dawno już zostałaby pobita. Jej kolejne niepowodzenia – na Bliskim Wschodzie, na Kaukazie czy w Azji Środkowej – są również efektem związania jej sił na Ukrainie. Większość komentatorów, powodowana niechęcią do Trumpa, nie dostrzega tych efektów jego działania, zajmując się głównie retoryką prezydenta czy czerwonym dywanem rozwiniętym przed Putinem w Anchorage. Nie dostrzegają kolejnych sukcesów Stanów w rozgrywce z Rosją.

Istotnym czynnikiem prowadzącym do uniknięcia wojny byłaby determinacja Europy jako sojusznika Ameryki. Niestety przewagę w niej mają postawy odwrotne. Szczególnie negatywną rolę – o czym wspomniałem w poprzednich felietonach – odgrywa prezydent Francji. Wprawdzie Waszyngtonowi udało się zmusić sojuszników z NATO do zadeklarowania 5 proc. ich PKB na swój potencjał militarny, ale fundament sojuszu, czyli poczucie cywilizacyjnej wspólnoty, należy już do przeszłości. Ideologia emancypacji, która dominuje dziś w Europie, zasadniczo kwestionuje jej wartość. Politycznym wyrazem tej ideologii jest liberalna demokracja, rodzaj oligarchii, czyli władzy nielicznych w swoim interesie. Po to, aby podporządkować sobie narody, próbuje ona rozmontować ich tożsamość. Takim działaniem jest m.in. zgoda na masową muzułmańską imigrację.

Zachodnie wspólnoty ciągle przywiązane są do swojego kulturowego środowiska oraz jego form i usiłują odzyskać swoją podmiotowość, czego najbardziej wyrazistym dowodem jest sukces Trumpa, ale kontrola nad wszelkimi sferami życia społecznego, jaką udało się – zwłaszcza w Europie – uzyskać establishmentowi, stawia te dążenia pod znakiem zapytania. Liberalnymi elitami kieruje cywilizacyjny resentyment oraz żądza władzy. To tym impulsom podporządkowana jest ich oderwana od rzeczywistości polityka. Wojna światowa byłaby katastrofą także dla nich, ale nie jest pewne, czy nawet ona przebudziłaby je z ideologicznego snu.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7432f6a181

Sygnalista nadaje

Premier ***Donald Franciszek Tusk*** brnie w zapowiedzi! Polska będzie niekwestionowanym liderem. Czego – jeszcze nie wiemy. Mamy tylko nadzieję, że spadną ceny energii elektrycznej, bo nie chcemy być liderem w tej dziedzinie (lepiej niech już ta planeta zapłonie, byleby spadły rachunki za energię). Ale wiemy, dzięki czemu Polska będzie niekwestionowanym liderem – dzięki Radzie Przyszłości, którą powołał premier.

Rada Przyszłości zebrała się dopiero raz, a już ma same zalety. Po pierwsze, hejterzy odczepią się od 100 konkretów. Teraz będą rozliczali Radę Przyszłości. Po drugie, nienawistnicy i inni pisowcy przestaną się interesować innymi radami, które powołał premier. Np. zespołem ds. deregulacji i Radą Fiskalną, którą zapowiedział w exposé, ale jej nie powołał. I nie powoła, ale może to lepiej dla nas wszystkich. A po trzecie, widać tu geniusz premiera. Do Rady powołał samych nołnejmów, z twarzy podobnych do nikogo. I też nikogo – z tego powodu – nie będzie interesowało, co się tam dzieje. PS Jedna osoba jest trochę znana – astronauta Sławosz. Też nie kojarzycie? To przecież mąż tej Chinki spod Łodzi, Olki Wiśniewskiej.

Z tymi radami i zespołami też bywają kłopoty, więc trzeba być ostrożnym. Premier Donald Franciszek, powołując zespół ds. deregulacji, zrobił wielkie halo z niejakim Rafałem „Paczkomatem" Brzoską (to mąż Omeny Mensah, jeśli nie kojarzycie). Potem hejterzy dopytywali o efekty, ale nie to było najgorsze. Ostatnio się okazało, że Brzoska zaprzedał się amerykańskim imperialistom i to w momencie, gdy cała Unia Europejska krwawiła w obronie Grenlandii. Typ jest szczególnie podejrzany, bo akt zaprzedania się Jankesom wzbudził dziką euforię po stronie prawactwa. I to wbrew odwiecznym podziałom – tak samo cieszyli się maślarze i harcerze, a nawet paleo-ziobryści!

Ale rada przyszłości ma też ogromne znaczenie geopolityczne. To mocna odpowiedź Donalda Tuska Donaldowi Trumpowi. Po co nam Rada Pokoju, skoro mamy Radę Przyszłości? Jeden Donald w zupełności wystarczy. Teraz będzie można sprytnie odpowiedzieć Ameryce, że nie możemy dołączyć do Rady Pokoju, bo wszyscy są zajęci i zarobieni, gdyż zasiadają w Radzie Przyszłości.

Agnieszka Kublik, znana i ceniona autorka licznych kublikacji z biuletynu Silnych Razem „GazWyb", trochę kręciła nosem, gdy Włodek Czarzasty został feldmarszałkiem Sejmu. Nie podobał się jej. Miała jakieś pretensje i wyrażała je na łamach. Nie chodzi o aferę Rywina, bo wśród demokratów ta sprawa została już wyjaśniona i dzisiaj obowiązuje zasada: „Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr". Chodzi o dzieje dawniejsze. Dawno, dawno temu, gdy Agnieszka była bardzo młodą dziewczyną, a Włodek mężczyzną w swych najlepszych latach, oboje pracowali w sondażowni CBOS. Jeszcze przed 1989 r. pod światłym kierownictwem płk. Kwiatkowskiego (nie tego z filmu, ale taty Brunatnego Roberta). No i się nie polubili. Ale teraz już się lubią.

Mniej powabny stał się za to ***Waldek Żurek***. Może to niesprawiedliwe, bo nadal się stara. Tyle że mu nie

Hej, demokraci walczący i Silni Razem! Kogo bardziej kochacie? Nadal tak samo Donalda czy już bardziej Włodka? Te i inne pytania zadają sobie wszyscy unijczycy polskiego pochodzenia, którzy nie chcą, aby Ten Kraj był 51. stanem USA. Bo przecież lepiej być 17. landem. Ale on cudny! Czy on nie jest cudny? Oczywiście Włodek jest cudny. Wręcz powabny. Kiedyś w sweterku, a teraz w garniturku. Ładnie mu jest też w tych onucach, które przysłała Swietłana z Petersburga.

eprasa.pl 7432f6a181

wychodzi, więc mniej już dla niego miejsca w lib-leftowych serduszkach. Doszło już nawet do tego, że publikatory strony demokratycznej zamieszczają sugestię o dymisji Waldka. Nie tak od razu, ale za kilka miesięcy. Bo Waldek robi dużo szumu, ale niczego nie dowiózł. Nawet Ziobry w bagażniku, a zresztą jak sam siada za kierownicę, to sami wiecie, co się dzieje...

W każdym razie nie teraz, bo nie wiadomo, kto miałby go zastąpić. W każdej chwili ma być ogłoszona łapanka na neo-Żurka i post-Bodnara. Wiewiórki powiadają, że śmieszna sprawa w tym temacie jest z Romkiem Giertychem. Bo on od dawna dawał sygnały, że jest gotów i że jakby on został ministrem praworządności, to całe PiS łącznie z rodzinami oraz ich zwierzętami domowymi siedziałoby już w więzieniach. No ale on to mówił, gdy nie groziło mu, że zostanie ministrem. Teraz sytuacja się jednak zmieniła i choć prawdopodobieństwo jest małe (bo premier nie całkiem dojrzał do tej myśli), Roman z wrodzonej ostrożności zaczął omijać okolice ministerstwa. Lepiej nie kusić losu. Bo jak człowiek zostanie ministrem, nie będzie tyle czasu na pisanie na platformie X, no i zaczną rozliczać z efektów. A tego Romek naprawdę nie lubi.

Nie wiadomo, co Waldek miałby dostać na pocieszenie. Przestał być sędzią, nie jest senatorem jak Bodnar ani nawet posłem. Przykra sprawa. Plotkarze opowiadają, że jeździ po podwarszawskim wianuszku i miło się odnosi do spotkanych osób. Poseł Żurek z Błonia? Co na to małżeństwo Myrchów-Gajewskich?

Za to koniecznie trzeba zdymisjonować Kosiniaka-Kamysza. Podczas gdy cała demokratyczna społeczność Ten Kraju walczy z amerykańskim imperializmem, ten poszedł do ambasady Wielkiego Brata. Uśmiechał się do imperialistów, ściskał ich ręce, mówił im miłe słowa i jeszcze dał się sfotografować. Przecież z takimi ludźmi nie da się wyrzucić Ameryki z NATO. To jakaś piąta kolumna, która będzie sypać piach w tryby przyjaźni niemiecko-chińskiej, a może nawet dogadywać się z pisowcami. Po co być wasalem Ameryki, skoro jesteśmy wasalem Niemiec!

To nie koniec złych wiadomości. Portal Bloomberg (już nazwa jest podejrzana) donosi, iż rząd premiera Donalda Franciszka nie będzie ścigał Adama Glapińskiego i nie odzyska Narodowego Banku Polskiego. Silni ludzie, którzy mieli tam wejść i go wyprowadzić, jednak tego nie zrobią. Dlaczego tak się stało? Bo nasz praworządny, uśmiechnięty i walczący rząd przestraszył się międzynarodowej finansjery. Tego, że tzw. zagraniczni inwestorzy stracą zaufanie do polskich rynków. A tego, iż rząd straci zaufanie Silnych Razem, to już się nie boi?

Smutne, że gabinet premiera Tuska staje po stronie jakichś spekulantów i niebieskich ptaków, a nie po stronie demokratów czekających na rozliczenia. Więc jeśli nie można postawić „Glapy" przed Trybunałem Stanu ani wpakować go do aresztu wydobywczego, to może niech zostanie wybrany do Rady Przyszłości? Niech chociaż tam cierpi.

Są i dobre wiadomości. Lilija demokracji, uosobienie uczciwości i bezinteresowności – ***Sławek Nowak*** – wystąpił w TVP. Dobrze, że zdążył tam przyjść przed likwidacją. Opowiedział o swym smutnym losie. Pewien przestępca, który przypadkowo był sąsiadem Sławka i chrzestnym jego dzieci, a Sławek tak samo przypadkowo był chrzestnym dzieci tego złoczyńcy, rzucił kalumnie na tego kryształowo uczciwego polityka. Ukradł nawet Sławkowi pudełko po butach, w których trzymał pieniądze z nieudokumentowanych dochodów. A potem powiedział, że to pieniądze Sławka z łapówek. A przecież wiadomo, że Sławek nawet nie wie, co znaczy słowo „łapówka". Śledczy z Ukrainy to potwierdzą.

Presja ma sens! Ten Nawrocki z Gdańska przestał nosić czapkę z Kętrzyna. A liczenie głosów trwa i trwać będzie!

W mediach nadal piszą o Polsce 2050 i jej charyzmatycznych przywódcach. Ale to chyba już bez sensu.

Uwaga, ostrzeżenie przed deep fake. Jakaś mocno nabotoksowana baba chodzi po telewizjach i opowiada, że nazywa się ***Barbara Nowacka*** i jest ministrą do spraw nieuctwa. Nic się nie zgadza, bo przecież branża beauty nikomu nie zrobiłaby tak wielkiej krzywdy. Nawet Baśce Nowackiej. Jakieś kodeksy etyki zawodowej muszą tam obowiązywać. Po drugie, łże-Baśka jest uczesana na Joannę Krupę, a wiadomo, że ludzkość nie czesze się tak od wielu dziesięcioleci. Dominik Tarczyński może to potwierdzić.

Pozostając przy tematyce kobiecej. Zazdrość bierze, gdy się patrzy, jak ***Anka Maryśka Żukowska*** potrafi bronić Włodka Czarzastego. Każdemu życzyć takiej baby. Wydrapie oczy każdemu, kto ruszy Włodka. Na prawackim sabacie zwanym RBN właściwie nikt nie chciał bronić tego nieskazitelnego męża stanu. Tylko Anka, bo inni albo jedli wtedy ciasteczka, albo prysnęli do domu.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 7432f6a181

WIEŻA BAB

Nowa jakość?

Partia, która w nazwie ma 2050 r., coraz wyraźniej zmaga się z problemem perspektywy krótszej niż sezon polityczny

Miała być polityka nowej jakości. Świeże powietrze w dusznym pokoju, w którym od lat ci sami aktorzy odgrywają te same role. Koniec z plemiennością, koniec z personalnymi wendetami, koniec z walką o stołki. Polska 2050 miała być projektem cierpliwym, strategicznym, wykraczającym poza horyzont jednej kadencji. W nazwie – przyszłość. W przekazie – odpowiedzialność. W obietnicy – nowy standard. Tymczasem jesteśmy w połowie kadencji, a partia sprawia wrażenie, jakby walczyła o przetrwanie do końca kwartału.

Najpierw spektakl z wyborami nowego szefa. Druga tura unieważniona, bo zawiódł system. W ugrupowaniu, które miało być synonimem sprawczości i kompetencji. W partii, która tyle mówiła o profesjonalizacji państwa, cyfryzacji, procedurach, przejrzystości. Gdy przyszło do wewnętrznego testu, okazało się, że nawet wybór lidera może się zamienić w farsę. Trudno o bardziej symboliczną scenę: partia przyszłości potyka się o własną infrastrukturę organizacyjną.

W końcu wybrano nową przewodniczącą – Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz. Teoretycznie moment zamknięcia etapu i otwarcia nowego rozdziału. W praktyce – początek kolejnego sezonu serialu pod tytułem „Wojna o wpływy".

Bo oto przegrana w wyścigu Paulina Hennig-Kloska, wiceprzewodnicząca partii, jedna z twarzy rządu, według nieoficjalnych informacji wysuwa „autorski projekt zmian". Brzmi niewinnie. Kreatywnie. Reformatorsko. W rzeczywistości chodzi o próbę odwołania szefa klubu parlamentarnego Pawła Śliza. Tego samego, który nie krył sympatii dla nowej przewodniczącej i poparł ją w wewnętrznych wyborach. Nowa jakość? A może jednak stara logika: kto nie z nami, ten przeciw nam?

Szymon Hołownia reaguje ostro: „Nie tędy droga. My się umawialiśmy na inną politykę". Padają słowa o usychających rękach, o jedności, o odpowiedzialności. Tyle że te słowa brzmią jak gaszenie pożaru moralnymi apelami do rozsądku, podczas gdy w środku trwa realna walka o władzę nad partią, której poparcie oscyluje wokół jednego procentu. Bo jeśli kilkunastu posłów rzeczywiście rozmawia o opuszczeniu partii, nie jest to już różnica zdań. To jest koniec.

„Stworzyłem Polskę 2050 i nie będę patrzył biernie, gdy ktoś będzie chciał ją podzielić" – zapewnia Hołownia. To zdanie brzmi jak deklaracja właściciela broniącego swojego projektu. Ale polityka to nie start-up, w którym founder może po prostu przywołać wspólników do porządku. Gdy ambicje rosną, a sondaże nie gwarantują bezpiecznej przyszłości – żadnej przyszłości – to sentyment do idei szybko ustępuje miejsca kalkulacjom.

Polska 2050 miała być ruchem ludzi zmęczonych starą polityką. Miała łączyć, a nie dzielić. Mówiła o dialogu, kulturze rozmowy, przekraczaniu podziałów. Tymczasem sama zaczyna przypominać to, czego miała być alternatywą. Przecieki, publiczne ostrzeżenia, wewnętrzne frakcje.

Najbardziej ironiczne jest to, że partia, która w nazwie ma 2050 r., coraz wyraźniej zmaga się z problemem perspektywy krótszej niż sezon polityczny. Miało być myślenie długofalowe – o demografii, klimacie, edukacji, transformacji energetycznej. O Polsce za 25 lat. Tymczasem energia idzie na to, kto będzie szefem klubu dziś i kto komu pokaże miejsce w szeregu jutro.

W tym wszystkim ginie pytanie zasadnicze: gdzie jest ta „inna polityka"? Czy naprawdę miała polegać tylko na nowych twarzach i nowej narracji? Czy nowa jakość to kwestia stylu konferencji prasowych, czy jednak zdolność do rozwiązywania konfliktów bez groźby rozłamu?

Bo dziś obraz jest mało budujący. Partia, która obiecywała stabilność i odpowiedzialność, sama produkuje chaos. Ugrupowanie, które miało być racjonalne i przewidywalne, wikła się w personalne spory. Projekt, który miał łączyć ludzi wokół wspólnej wizji przyszłości, zaczyna być kojarzony z wewnętrzną wojną pozycyjną.

Bo jeśli nowa jakość ma wyglądać tak, że po dwóch latach rozłam wisi na włosku, odwołuje się szefa klubu w ramach porachunków po przegranych wyborach, a posłowie nerwowo rozglądają się za nowym miejscem na polityczną przyszłość – to trudno nie zapytać z przekąsem: czy to na pewno projekt do 2050 r.?

Na razie wygląda raczej jak projekt „do najbliższego głosowania".

Dorota Łosiewicz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Marszałek karci Amerykę!

Jan Pietrzak

Marszałek Czarzasty pogroził palcem Ameryce, a feldmarszałek Tusk go poparł. Nie wiem, jaką rangę ma naprawdę, ale niższą od Czarzastego trudno sobie wyobrazić. On tu jednak w jakimś stopniu rządzi. Nie o stopnie służbowe chodzi, lecz o stopnie z zachowania, analogiczne do tych otrzymywanych w szkole. Ci goście nie zachowują się rozsądnie.

Pamiętam nagranie w niegdysiejszej TVP, na którym młody Tusk wyśpiewuje zgrzebny kawałek, marząc o karierze wokalisty. Szkoda, że odpadł. Byłoby dużo lepiej dla Polski, gdyby łupał disco-polo: „Moja miła, moja mała, zejdź mi z ciała" – czy coś w tym stylu.

No, ale jest, jak jest. Ostatnio skierował swe propagandowe rottweilery do afery Epsteina, bo to bardziej nośna telenowela niż siermiężny Czarzasty i jego koneksje w serialu „Świat według Ruskich". Uporczywe odwracanie uwagi od kierunku wschodniego to – przepraszam za wyrażenie – paradygmat medialny tej ferajny. Chodzi o to, żeby nikt nie wspominał o zamachu „smoleńskim". To słaby punkt w *curriculum vitae* naszego gwiazdora. Dziwne – jeśli cokolwiek może nas jeszcze dziwić – że w ciągu poprzednich lat nie zrobiono wiele, by przybliżyć społeczeństwu prawdę o tej tragedii. Jeżeli kiedykolwiek pojawiała się szansa wyjaśnienia jakiegoś fragmentu badań, do mediów rzucali się pseudospecjaliści od jedynie słusznej wykładni, by zakrzyczeć rozumne argumenty. Przy okazji obrażając, szkalując wybitnych specjalistów zabierających głos w tej sprawie.

Przed paroma dniami uczestniczyłem w jubileuszowym spotkaniu stowarzyszenia Solidarni 2010. Ma ono wielkie zasługi w obronie pamięci o Polakach poległych na smoleńskiej ziemi 10 kwietnia 2010 r. Konsekwentnie też domaga się ujawnienia prawdy – nawet niepełnej, ale uczciwszej od wersji „pancernej brzozy" Anodiny. Ta rosyjska funkcjonariuszka wmówiła ówczesnemu rządowi tak absurdalne okoliczności katastrofy, że koń by się uśmiał, gdyby nie chodziło o wielkie nieszczęście, prawdziwy dramat. Warszawska władza wprowadziła medialny terror w tej sprawie, dzięki czemu obecnie sprawuje rządy. Typowy związek przyczynowo-skutkowy.

Rada Bezpieczeństwa zgromadzona przez prezydenta Nawrockiego ma twardy orzech do zgryzienia. Ale powiedzmy sobie szczerze: Rada Bezpieczeństwa ONZ ma jeszcze trudniej, chociażby ze względu na skalę, a Ziemia, dzięki Bożej opiece, jakoś się kręci 24 godziny na dobę.

Wbrew pozorom Polska nie jest w najgorszej sytuacji, ponieważ nasi agresywni sąsiedzi sami sobie narobili takiego bigosu, że są pogubieni. Państwa! Nie mówię o społeczeństwach, ludziach... Niemieckie i rosyjskie struktury państwowe są tak chorobliwie egoistyczne, tak bezdennie samolubne, bezmyślne ze swoim XIX-wiecznym imperializmem, że same się wykończą. Pozwólmy im to zrobić...

Spokoju nam trzeba, panie i panowie Polacy, rozwagi, opamiętania! Histerię zostawmy rozdygotanym wodzuniom różnego autoramentu.

Radkowi tęskno do resetu

Samuel Pereira

Ależ Radosławowi Sikorskiemu tęskno do tego, co było. Do czasu, gdy z Rosją można było flirtować, a Berlin, robiąc swoje interesy, chwalił. Te uśmiechy do Ławrowa, wspólne papierosy na balkonie i klepanie po plecach. Tęskno również Tuskowi, który razem z „Radkiem" po prostu nie znosi Stanów Zjednoczonych. I nie chodzi tu o nostalgię za dawną fotografią z dyplomatycznego salonu. Chodzi o kierunek polityczny, który wtedy obrano i którego, jak widać, oni nigdy nie uznali za błąd.

Reset nie był wypadkiem przy pracy. Był świadomym wyborem wpisanym w ówczesną linię Berlina i brukselskiego mainstreamu. Dziś słyszymy deklaracje o twardości wobec Kremla, potępienia Putina i zapewnienia o odpowiedzialności. Ale politykę poznaje się po decyzjach, nie po słowach. Jeśli z Berlina popłynie sygnał o „konieczności normalizacji" i „nowym otwarciu", trudno uwierzyć, że ta ekipa stanie okoniem. Wręcz przeciwnie: szybko dostosuje się do tonu swoich panów – tfu – „partnerów".

Tyle że świat z tamtych lat już nie istnieje. Za naszą wschodnią granicą trwa wojna, Rosja prowadzi operacje hybrydowe, a bezpieczeństwo Europy przestało być abstrakcyjnym tematem. W takiej sytuacji państwa poważne wzmacniają sojusze z USA, bo to one pozostają realnym gwarantem odstraszania. Dla Polski relacje z Waszyngtonem nie są dodatkiem do europejskiej polityki – są jej fundamentem.

Tymczasem w sprawie Rady Pokoju albo słyszymy ciszę, albo straszenie opinii publicznej „miliardem dolarów", choć wpłata ma charakter dobrowolny. Brak jasnej rekomendacji i analizy to nie przypadek, lecz wygodna strategia lawirowania na złość prezydentowi Nawrockiemu. A w geopolityce przeczekiwanie oznacza zgodę, by inni decydowali za nas.

Można dziś deklarować antyrosyjskość. Wszyscy to robią. Można mówić o racji stanu. Ale jeśli w tle pozostaje gotowość do powrotu na resetowe tory, gdy tylko Berlin uzna to za stosowne, jest to gra przeciwko narodowej racji stanu. Polska nie może być pionkiem w cudzej partii, zwłaszcza gdy stawką jest jej bezpieczeństwo.

eprasa.pl 7432f6a181

Wielka ucieczka

Niemcy

Wyemigrować, zwinąć manatki i rozpocząć nowe życie gdzieś indziej – okazuje się, że marzy o tym wielu Niemców. Blisko 300 tys. z nich opuściło ojczyznę w 2024 r. – wynika z danych Federalnego Urzędu Statystycznego. To duży wzrost od 2010 r., gdy emigrantów było 141 tys. Do wyjeżdżających Niemców dochodzi jeszcze nieco ponad 1 mln Rumunów, Bułgarów, Ukraińców, Polaków i innych, którzy zdecydowali się na powrót do swoich krajów.

Niemieccy emigranci na nowe miejsce zamieszkania najczęściej wybierają kraje niemieckojęzyczne takie jak Austria i Szwajcaria. Popularne są także Hiszpania, Holandia i Kanada oraz Stany Zjednoczone i Australia. Według dziennika „Die Welt" wysokie koszty życia, kiepska infrastruktura, poczucie braku bezpieczeństwa oraz stagnacja gospodarcza są głównymi powodami opuszczenia Niemiec. Ale także „niemożność swobodnego wyrażania swojej opinii". „Fakt, że do tego doszło, powinien być sygnałem ostrzegawczym dla partii, a zwłaszcza dla partii rządzących" – podkreślił w rozmowie z gazetą politolog prof. Oliver Lembcke.

Ponad połowa emigrantów ma mniej niż 40 lat i wyższe wykształcenie. W większości to młodzi profesjonaliści, na których Berlinowi najbardziej zależy. Podobnie jest w przypadku imigrantów, którzy chcą wrócić do swoich krajów bądź osiedlić się w innym miejscu. Jak wynika z różnych badań, 20–26 proc. dobrze zintegrowanych imigrantów rozważa opuszczenie Niemiec, z czego 3–5 proc. ma już konkretne plany emigracji. „To właśnie ci imigranci, którzy są lepiej wykształceni, odnoszą większe sukcesy i lepiej zintegrowali się językowo, częściej niż przeciętnie myślą o opuszczeniu Niemiec" – wyjaśnia ekspert Instytutu Badań nad Zatrudnieniem (IAB) Lukas Olbrich. Według niego „właśnie tych ludzi Niemcy pilnie potrzebują, aby zapewnić sobie wykwalifikowanych pracowników". Jak dodał, szczególnie młodzi Niemcy uważają, że osobisty rozwój nie jest już możliwy za Odrą.

„Z historycznego punktu widzenia problemy gospodarcze zawsze były główną motywacją do emigracji" – uważa Simone Blaschka z Niemieckiego Centrum Emigracji w Bremerhaven. „Jednak zanim dojdzie do takiego ruchu, sprawy muszą iść naprawdę źle przez kilka lat z rzędu" – podsumowuje. Pozostać w Niemczech chcą natomiast tzw. uchodźcy bądź ci, którzy przybyli tu w ramach programu łączenia rodzin z takich krajów jak Syria, Afganistan czy Irak. Eksperci spodziewają się kontynuacji tego trendu i ostrzegają przed jego konsekwencjami.

Aleksandra Rybińska

Zielone światło dla zbrojeń

Japonia

Po najkrótszej w historii kampanii wyborczej, gdy premier Sanae Takaichi [na zdj.] zdecydowała się na przedterminowe wybory, jej Partia Liberalno-Demokratyczna (LDP) odniosła miażdżące zwycięstwo, zdobywając ponad dwie trzecie mandatów w niższej izbie japońskiego parlamentu.

Taki wynik umożliwia dokonanie zmian w konstytucji, co Takaichi już zapowiedziała, choć aby sfinalizować cały proces, trzeba mieć większość dwóch trzecich również w izbie wyższej, którą LDP na razie nie dysponuje, oraz uzyskać poparcie społeczeństwa, które musi wypowiedzieć się w referendum.

Takaichi już zapowiedziała nową redakcję art. 9 konstytucji, który mówi, że Japonia „nigdy nie będzie utrzymywała sił morskich, powietrznych i lądowych, a także innego potencjału wojskowego". W wyniku „twórczej interpretacji" zapisów konstytucyjnych – na co zgodzili się sojusznicy amerykańscy – wiele lat temu Japonia powołała siły samoobrony, ale nadal nie utrzymuje pełnowymiarowej armii, mimo że ma znaczące zdolności wojskowe.

Zmiany konstytucyjne w tym obszarze mają ułatwić i przyspieszyć zbrojenia, do których dąży Takaichi, zaniepokojona rosnącą asertywnością chińskiej polityki. Jesienią ub.r. pytana w parlamencie, jak zareagowałaby na ewentualną agresję Chin wobec Tajwanu, odparła, że taki scenariusz „zagrażałby przetrwaniu" Japonii i mógłby wywołać natychmiastową mobilizację sił samoobrony. Już po wyborach zapowiedziała kontynuowanie polityki premiera Shinzō Abego na rzecz budowy „wolnego i otwartego Indo-Pacyfiku", co zostało odczytane w kategoriach deklaracji przeciwstawienia się Pekinowi.

Wypowiedzi Takaichi, ambitny program zbrojeń i polityka zacieśniania relacji z Tajwanem, wywołały gniewną reakcję Pekinu. Lin Lian, rzecznik tamtejszego MSZ, powiedział, że „lekcje historii nie powinny zostać zapomniane", co trudno odczytywać inaczej niż jako pogróżki. Nie zmienia to jednak faktu, że dysponując większością 352 mandatów w 465-osobowym parlamencie, Takaichi – pierwsza w historii Japonii kobieta na stanowisku premiera – ma mocny mandat zarówno na rzecz zbrojeń, jak i budowy w Azji sieci antychińskich sojuszy wojskowo-politycznych.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl 7432f6a181

Portugalia

Wielka lewica

W Portugalii odbyły się wybory prezydenckie. W drugiej turze wygrał w nich kandydat lewicowej Partii Socjalistycznej António José Seguro, zdobywając ok. 66 proc. głosów. Do rundy finałowej wszedł także lider prawicowej partii Chega (Dość) André Ventura, jednak uzyskał 34 proc. i musiał uznać wyższość swego rywala.

Ventura – choć otrzymał poparcie niemal dwukrotnie niższe niż jego przeciwnik – może uważać swój start za duży sukces. Położył bowiem kres duopolowi, który zdominował portugalską scenę polityczną na ostatnie kilkadziesiąt lat. W tym okresie krajem rządzili na przemian albo socjaliści, albo chadecy. Jako alternatywa dla tego układu w 2019 r. powstała Chega – partia konserwatywno-narodowa i eurosceptyczna, a zarazem liberalna gospodarczo. W pierwszych wyborach, w których uczestniczyła, zdobyła zaledwie 1,29 proc. głosów. Obecnie jest trzecią siłą w parlamencie, mając 60 posłów w 230-osobowym Zgromadzeniu Republiki. Popularność nowej formacji świadczy o rosnącym rozczarowaniu wielu obywateli dotychczasową klasą polityczną.

Wielce znamienna podczas ostatniej elekcji była postawa Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Ludowej. Chadecy, mając w drugiej turze wybór między kandydatem lewicy lub prawicy, zaapelowali do wyborców o głosowanie na socjalistę. Tym samym pokazali, jak daleko odeszli od ideałów swych założycieli. Ta decyzja wpisuje się jednak w szerszy trend, obserwowany w wielu krajach naszego kontynentu. Regułą staje się to, że ugrupowania należące do Europejskiej Partii Ludowej wolą współpracować i tworzyć koalicje z formacjami lewicowymi niż z konserwatywnymi, narodowymi lub suwerenistycznymi.

W ostatnich latach chadecy i socjaliści upodobnili się do siebie na tyle, że nie sposób ich odróżnić. Ta konwergencja zawsze odbywa się jednak kosztem wartości chrześcijańskich, systematycznie wypłukiwanych z programów partii, które u swych początków odwoływały się do katolickiej nauki społecznej. Dziś są one *de facto* częścią wielkiej lewicy.

Grzegorz Górny

Fot. António José Seguro/facebook

Brazylia

Żywność na rosyjskim paliwie

Krytycy umowy pomiędzy Unią Europejską a państwami Mercosur słusznie zwracali uwagę na to, że produkcja żywności w Brazylii jest napędzana rosyjskimi nawozami. W ten sposób – argumentowano – zniesienie europejskich ceł na brazylijskie produkty rolne przyczyni się do wzrostu dochodów Moskwy. Okazuje się jednak, że Brazylia sprowadza nie tylko rosyjskie nawozy – jest także jednym z największych importerów oleju napędowego z Rosji.

Według danych przytoczonych przez agencję Bloomberg w styczniu dostawy rosyjskiego oleju napędowego do Brazylii wynosiły ok. 151 tys. baryłek dziennie (najwięcej od czerwca ub.r. i prawie trzykrotnie więcej niż w grudniu). Jednocześnie gwałtownie spadł brazylijski import tego surowca ze Stanów Zjednoczonych, osiągając poziom 20 tys. baryłek dziennie.

Brazylia importuje rosyjskie paliwa od 2023 r. Skłoniły ją do tego duże rabaty oferowane przez Moskwę, która szukała nowych kupców swoich produktów naftowych po wyrzuceniu jej z rynku europejskiego. Konsekwencją tej polityki było jednak poważne zaostrzenie relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Latem ub.r. prezydent Donald Trump podniósł cła na handel z Brazylią do 50 proc., a wkrótce potem podwoił cła na towary indyjskie, wyraźnie wskazując w tym ostatnim przypadku, że jest to kara za zakupy rosyjskich surowców energetycznych. To skłoniło Brazylię do ponownego przemyślenia swoich dostaw.

Decyzję w tej sprawie ułatwiły ukraińskie ataki na rosyjskie rafinerie ropy naftowej, co ograniczyło możliwości eksportowe Moskwy. Jednocześnie produkcja w amerykańskich rafineriach zaczęła gwałtownie rosnąć, osiągając korzystne marże. W takich okolicznościach Brazylia powróciła do amerykańskich paliw. Jak podaje Bloomberg, udział Rosji w brazylijskim imporcie oleju napędowego, spadł z 70 proc. w czerwcu do zaledwie 19 proc. w listopadzie 2025 r. W tym samym czasie udział USA wzrósł z 20 proc. do ponad 50 proc. Trwało to jednak bardzo krótko.

Rosja, która po zahamowaniu dostaw do Indii rozpaczliwie szuka kupców swoich paliw, zdecydowała się na wojnę cenową i po raz kolejny obniżyła marżę na swój olej napędowy. A ponieważ w Brazylii rozpoczynają się właśnie zbiory soi, postanowiono skorzystać z okazji i powrócić do tanich dostaw z Rosji. Niewykluczone, że ma to związek z umową między Unią Europejską i państwami Mercosur – w związku z planowanym otwarciem rynku unijnego działające w Brazylii korporacje rolne chcą jeszcze bardziej zbić ceny produkowanej żywności. Tanie rosyjskie paliwo – podobnie jak nawozy – z pewnością na to pozwolą. A koszty tej nierównej konkurencji poniosą europejscy rolnicy.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl 7432f6a181

Brukselskie bajki, czyli przemysł UE w zielonej pułapce

To był wzruszający widok. 11 lutego w Antwerpii europejscy przemysłowcy zebrali się na kolejnym szczycie, by lamentować nad swoją dolą. Rytualnie kolejny już raz narzekali na ceny energii i CO_2, ostrzegali przed bezrobociem i grozili wyniesieniem się z Europy

Von der Leyen przybyła z miną zbawicielki, chwaląc się podwojeniem inwestycji w dekarbonizację do 115 mld euro. Ale co z tego? Branże energochłonne drżą przed bankructwem, bo ceny prądu w Europie dwukrotnie przewyższają te w USA i Chinach. Szefowie koncernów błagali o ulgi, a ona kazała im lepiej łączyć sieci energetyczne. Toż to komedia. Minęły dwa lata od deklaracji antwerpskiej, raportów Letty i Draghiego, a Europa nadal tonie w biurokracji oraz boryka się z wysokimi kosztami energii i emisji.

Następnego dnia w zamku Alden Biesen liderzy UE urządzili „strategiczną burzę mózgów". Prawili mądrości o jednolitym rynku, deregulacji i walce z nieuczciwą konkurencją. Żadnych decyzji, tylko puste apele o pilne działania. Przewidywalnie, bo Bruksela woli gadanie od czynów. Zamiast chronić fabryki przed chińskim dumpingiem, pcha fanatyczny Zielony Ład. A Komisja, Rada i Parlament dopiero co uchwaliły redukcję emisji o 90 proc. do 2040 r. Von der Leyen nazywa to pragmatycznym planem. Pragmatycznym? To gwóźdź do trumny dla hut, cementowni, zakładów ceramicznych czy chemicznych.

Bruksela ślepo brnie w klimatyczny obłęd. Podatki klimatyczne uniemożliwiają Europejczykom normalne życie, a biurokracja broni ETS jak świętości. Europejski przemysł płaci kosmiczne rachunki, podczas gdy Chiny zalewają Europę tanimi towarami bez kosztów CO_2. Ich fabryki rosną, nasze zamykają się w tempie milionów ton produkcji rocznie. USA śmieją się z Europy – dzięki mądrej polityce energia jest tam o połowę tańsza. Gdzie unijna strategia? Gdzie ochrona przed azjatyckim zalewem? Zamiast tego rytuały konferencji i obietnice bez pokrycia.

W Polsce rząd Tuska klęka przed tą farsą z gracją służalczego lokaja. Zamiast bronić naszych interesów i walczyć jak poprzednicy o suwerenność energetyczną, Tusk poddaje się von der Leyen z uśmiechem na ustach. Krytykuje Zielony Ład słowami, ale nie blokuje niczego. Efekt? Ceny ogrzewania czy prądu dla zwykłych Polaków rosną do absurdalnych poziomów. Ten serwilizm – przepraszam – „europejska solidarność" kosztuje miejsca pracy w kopalniach, hutach i fabrykach, a my dostajemy w prezencie bezrobocie i gigantyczne rachunki.

Prezydent Nawrocki słusznie grzmi – UE gasi własną gospodarkę z entuzjazmem samobójcy. Czas na odwagę, jaką pokazało PiS. Trzeba stawiać na węgiel, atom i gaz, nie na brukselskie fanaberie. Inaczej Europa zamieni się w ekologiczny skansen, gdzie jedynym przemysłem będzie produkcja pustych obietnic, a my, Polacy, zapłacimy najwyższą cenę za cudzą głupotę.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 7432f6a181

Którą drogą chcą pójść Polacy?

Marta Kaczyńska-Zielińska

10 lutego Parlament Europejski formalnie przyjął cel, którym jest redukcja emisji gazów cieplarnianych o 90 proc. do 2040 r. w porównaniu z poziomem z 1990 r. Trzeba zaznaczyć, że żadna z dużych gospodarek spoza UE nie ma podobnego prawnie wiążącego celu na 2040 r.

Życie codzienne w Europie – od jazdy samochodem po mieszkanie – staje się coraz droższe i mniej dostępne dla przeciętnego obywatela. Nowy cel jest „nierealny" (tzw. źródła odnawialne nie są w stanie funkcjonować samodzielnie i wymagają wsparcia emisyjnych paliw kopalnych, najlepiej gazowych), a wszelkie działania podejmowane, by go zrealizować, zniszczą europejską gospodarkę oraz skażą miliony ludzi na ubóstwo energetyczne i brak perspektyw znalezienia zatrudnienia.

Coraz częściej można natrafić w mediach na informacje dotyczące kolejnych publikacji naukowych traktujących o nadchodzącej „małej epoce lodowcowej" i ochłodzeniu klimatu na półkuli północnej. Wedle niektórych to zjawisko może być sprzężone z postępującym ociepleniem klimatu powodującym topnienie lodowców, mieszanie się wód, skutkującym ostatecznie osłabieniem ciepłego prądu morskiego warunkującego temperaturę m.in. w Europie Północnej. Inni naukowcy przypominają o zmianach klimatu na przestrzeni tysiąca lat, kiedy mieliśmy stosunkowo ciepłe średniowiecze, a następnie w ciągu ok. 20 lat klimat się ochłodził i nastąpiła mała epoka lodowcowa. Czy było to związane z nadmierną emisją CO_2 przez człowieka? Zapewne nie. Zmiany klimatu są bowiem elementem naturalnego cyklu życia Ziemi, do których to człowiek może się przygotować w bardziej lub mniej skuteczny sposób.

Zwolennicy tzw. energii odnawialnej do woli mogą wychwalać zalety „zielonej" polityki, ale gdy nadchodzi widoczna od wielu tygodni w Polsce mroźna zima, jeszcze bardziej się przekonujemy, że na rynku energii liczy się stabilność paliw kopalnych. Turbiny wiatrowe i panele słoneczne nie są w stanie zapewnić nam nieprzerwanego źródła energii i odpowiedniej mocy.

Unia Europejska zamierza się zbroić, a wdrażając zielone ograniczenia, uderza w hutnictwo niezbędne do produkcji sprzętu wojskowego. UE zamierza być nowoczesna, a dusząc konwencjonalną energetykę, nie tylko wypycha przedsiębiorstwa poza swe granice, lecz także ogranicza rozwój sztucznej inteligencji, której działanie wymaga nieprzerwanego dostarczania olbrzymich ilości energii. Unia z pewnością dostrzega, co się dzieje na bombardowanej przez Rosjan Ukrainie – ciepło i energia płyną tam do potrzebujących z generatorów zasilanych ropą i benzyną.

Europa nie może sobie pozwolić na przenoszenie produkcji do Ameryki czy Azji z powodu niższych kosztów energii elektrycznej i transportu. Utrzymanie obecnej tendencji nieuchronnie prowadzi co najmniej do stagnacji europejskiego PKB, wzrostu bezrobocia i pogłębiania się różnicy poziomu życia między USA a Europą. Warto zauważyć, że być może umowa z Mercosur zdusi europejskie rolnictwo w parze z ograniczeniem emisji. Dostatek energii umożliwia zwiększoną produktywność, wzrost plonów rolnych i wyższe zużycie. Dzięki dostępowi do stosunkowo niedrogiej energii rolnicy mogą wdrażać innowacyjne technologie i rozwijać alternatywne umiejętności.

Unia przyjęła już wiążące cele „klimatyczne" na lata 2030 i 2050. W ostatnich dniach uzupełniła je o 2040 r. Jesteśmy zmuszani do skupiania się na realizacji samobójczej polityki klimatycznej UE, podczas gdy powinniśmy rozmawiać o dywersyfikacji konwencjonalnych źródeł energii, bezpieczeństwie, obronności i konkurencyjności naszej gospodarki. Polska dzięki rozwojowi infrastruktury portowej i kolejowej może się stać gazowym hubem i rozwijać własne górnictwo. Może wdrażać nowoczesne rozwiązania poprawiające bezpieczeństwo i wydajność, np. poprzez automatyzację, sztuczną inteligencję, zastosowanie pojazdów autonomicznych, dronów. Nie wyklucza to oczywiście wymagającego więcej czasu inwestowania w elektrownie atomowe i małe reaktory modułowe (SMR).

REKLAMA

21/0126/F

eprasa.pl 7432f6a181

Walizka Daniela Chojnackiego

fotografa, miłośnika gadżetów i survivalu

Zacząłem uprawiać survival w wieku 15 lat, gdy postanowiłem wyprowadzić się od rodziców. Oczywiście pomysł nie został przyjęty z aplauzem i jakiś czas trwały negocjacje, ale finalnie zwyciężył mój upór. Pierwsze pieniądze zarabiałem, naprawiając komputery i rozdając ulotki. W 2001 r. obejrzałem z kolegami „Yamakasi – współcześni samurajowie" Luca Bessona. Głównych bohaterów filmu łączyła ekstremalna pasja – wspinaczki i akrobacje na budynkach, pokonywanie w biegu miejskich przeszkód. Posiłkując się filmikami pasjonatów takich aktywności, zaczęliśmy ćwiczyć parkour. Po kilku latach okazało się, że jesteśmy w Polsce jedną z pierwszych takich grup. Zaczęły się nami interesować różne marki, m.in. Red Bull, Nike, Cropp i Adidas. Stacje telewizyjne przeprowadzały wywiady, braliśmy udział w sesjach reklamowych. Obserwując wtedy fotografów, pomyślałem, że mógłbym tak pracować. Duży wpływ na mój sposób myślenia o fotografii i kreacji miał David LaChapelle. Całe moje życie marzyłem, by zamieszkać na bezludnej wyspie, gdzie m.in. musiałbym sam zdobywać pożywienie. To marzenie chciałem połączyć z romantycznymi oświadczynami, dlatego udałem się z moją dziewczyną na jedną z wysepek w Archipelagu Malajskim. Długo nie byliśmy jej jedynymi mieszkańcami, bo wkrótce przypłynęli piraci. Uzbrojeni w kałachy, ciemnoskórzy mężczyźni przez godzinę wypytywali nas o wszystko... po czym odpłynęli. Ta przygoda skutecznie wybiła mi z głowy pomysł na życie à la Robinson Crusoe.

„FOTOGRAFIA CYFROWA"

Książka, która zmieniła moje spojrzenie na fotografię i zainteresowała postprodukcją. Wydana w 2003 r. była pierwszą częścią „Fotografii cyfrowej. Edycja zdjęć". Tak jak jej autor Scott Kelby zacząłem poprawiać na zdjęciach rysy modelek i modeli, co zaczęło się bardzo podobać klientom i przełożyło się na większą liczbę zleceń.

Fot. Daniel Chojnacki, materiały promocyjne Adidas

eprasa.pl 7432f6a181

PARKOUR

Jako pionier tej aktywności w Polsce razem z przyjaciółmi brałem udział w kampaniach reklamowych i pokazach. Za pieniądze Adidasa przez kilka lat prowadziliśmy też weekendową szkołę parkour dla młodzieży. Zamiast pić piwo, dzieciaki ćwiczyły z nami akrobacje.

DRONY

Jestem gadżeciarzem, więc w mojej ofercie fotograficzno-filmowej nie mogło zabraknąć dronów. Oprócz prac o charakterze artystycznym wykonuję zdjęcia i filmy nieruchomości.

SURVIVAL

Ponieważ lubię się sprawdzać w ekstremalnych warunkach, często wybieram się w dzikie leśne ostępy, gdzie rozpalam ognisko krzesiwem, buduję szałas i spędzam noc. Niedawno przy -20 st. Celsjusza testowałem nocleg w namiocie rozstawionym na balkonie (na Ursynowie). Odzież, śpiwór Wojska Polskiego MON 729A, pompowany materac i namiot zdały egzamin.

CYBERBEZPIECZEŃSTWO

Kontynuacją mojej fascynacji komputerami jest zainteresowanie cyberbezpieczeństwem. Wynajęty przez klienta jako pentester jestem w stanie sprawdzić, czy w jego systemie IT, sieci lub aplikacjach występują jakiekolwiek luki, które mogą wykorzystać hakerzy.

ALBUM MODOWY

Nie skończyłem żadnej szkoły fotografii ani kursu. Całą wiedzę czerpałem z albumów, na które nie było mnie stać, a które godzinami wertowałem w księgarniach. Na ich łamach fotograficy udzielali wskazówek dotyczących ustawień aparatów i oświetlenia do zdjęć studyjnych czy reklamowych.

MODELKI

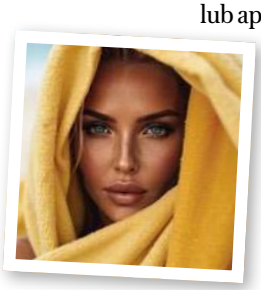

Po wykonaniu ok. 5 tys. sesji wystarcza mi jedno spojrzenie na modelkę, żeby ocenić, jak będzie się z nią pracowało. Lubię dziewczyny, które są energiczne i którym nie muszę nic mówić. Widząc ciuch, make-up i znając mój zamysł, wiedzą, jak mają grać przed obiektywem.

SIEKIERA

Przydaje się do postawienia szałasu.

APARAT

Zawsze byłem wierny aparatom Sony, bo są małe, lekkie i wytrzymałe. Wprawdzie pierwsze modele nie ustawiały ostrości tak szybko jak Nikon ani nie dorównywały nasyceniem kolorów Canonowi, ale po mojej postprodukcji zdjęć efekt finalny nie ustępował najdroższym aparatom na rynku.

MOUNTAINBOARD

Owocem zamiłowania do majsterkowania jest ten „mountainboard" o długości 1,28 m i wadze 28 kg. Swój ciężar zawdzięcza 130 bateriom litowo-jonowym, dzięki którym ma zasięg 100 km. Był czas, gdy jeździłem na niej 4 godziny dziennie.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Galeria Daniela Chojnackiego na Instagramie: @danchophoto

eprasa.pl 7432f6a181

Bezpieczeństwo czy zależność?

W polityce bezpieczeństwa diabeł rzadko tkwi w szczegółach – zwykle siedzi w warunkach umów. Tak jest z funduszem SAFE, przedstawianym jako historyczna szansa na miliardy dla armii. Problem w tym, że nie jest to prezent, lecz kredyt rozłożony na 45 lat. To zobowiązanie, które spłacać będą przyszłe pokolenia, a nie „dodatkowe pieniądze", jak sugeruje rządowa narracja.

Nie ma też pewności, że środki z SAFE realnie zwiększą budżet obronny. Mogą jedynie zastąpić finansowanie, które państwo potrafi zdobywać samodzielnie, choćby przez emisję obligacji. Skoro Polska pożyczała na rynkach na ok. 3 proc., a według zapowiedzi SAFE ma kosztować 3–4 proc., trudno mówić o finansowej okazji. Różnica polega raczej na tym, kto ustala zasady gry.

A zasady są polityczne. Mechanizm warunkowości pozwala Komisji Europejskiej wstrzymać wypłaty środków, jeśli uzna, że państwo nie spełnia określonych standardów. Z punktu widzenia planowania armii to ryzyko strategiczne – wojsko nie może opierać modernizacji na pieniądzach, które mogą zniknąć decyzją polityczną.

Do tego dochodzi kwestia zakupów. SAFE promuje sprzęt produkowany w UE i wymaga określonego udziału europejskich komponentów. W praktyce oznacza to ograniczenie możliwości kupowania uzbrojenia tam, gdzie jest ono dostępne szybciej lub taniej, np. w USA czy Korei Południowej. Zwolennicy mówią o wzmacnianiu europejskiego przemysłu, krytycy – o uzależnianiu armii od jednego rynku.

Najbardziej niepokoi jednak brak przejrzystości. Lista projektów finansowanych z SAFE nie jest znana, a szczegóły mają być dopiero negocjowane. Tymczasem chodzi o decyzje finansowe na dekady. Obywatele mają prawo wiedzieć, na co państwo chce się zadłużyć na niemal pół wieku, a dziś nie wie tego ani Sejm, ani prezydent państwa!

Spór o SAFE nie jest techniczny, lecz strategiczny. Dotyczy pytania, czy bezpieczeństwo państwa powinno się opierać na maksymalnej swobodzie wyboru finansowania i dostawców, czy na wspólnych mechanizmach politycznych. Zanim zapadnie decyzja, warto przeczytać drobny druk, bo to on decyduje, czy fundusz okaże się tarczą, czy kajdanami.

Arkadiusz Mularczyk

Energia nowego pokolenia

Z reżyserem Magnusem von Hornem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Podczas uroczystości ogłoszenia nominacji do 28. Polskich Nagród Filmowych Orły odczytał pan werdykt w najważniejszej kategorii. Które tytuły powalczą o statuetkę dla najlepszego filmu?

Magnus von Horn: „Brat" Macieja Sobieszczańskiego, „Dom dobry" Wojtka Smarzowskiego, „Franz Kafka" Agnieszki Holland, „Ministranci" Piotra Domalewskiego i „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" Emi Buchwald.

Z 69 ubiegłorocznych premier fabularnych członkowie Polskiej Akademii Filmowej 13 nominacjami docenili „Dom dobry", po 10 nominacji przyznając „Bratu", „Franzowi Kafce" i „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej"; 9 – „Ministrantom" i 8 – filmowi „Chopin, Chopin". Z obecności którego z tych filmów najbardziej się pan ucieszył?

„Nie ma duchów...". Są tu i tradycje europejskiego arthouse'u, i poczucie nowego pokolenia, które ma coś do powiedzenia, jest w stanie złapać życie. Podobnie jak w „LARP..." Kordiana Kądzieli – ważne tematy są tu pokazane w sposób przyjazny dla widza. Te filmy mają pozytywne nastawienie i energię do życia. To bardzo ważne. Ale podobali mi się też „Ministranci". Fascynuje mnie umiejętność zrobienia filmu mainstreamowego, który jednocześnie dotyka tak mrocznych tematów.

Rok temu za film „Dziewczyna z igłą" odbierał pan zarówno Orły, jak i nominację do Oscara dla filmu międzynarodowego. Czy nagrody dodają skrzydeł?

Każda nagroda daje poczucie większej siły i pewności, by ufać swojej intuicji. Mam prawie gotowy scenariusz do kolejnego filmu. Powstanie z tą samą ekipą, w Polsce, ale gdzie – to jeszcze tajemnica.

Gala Orłów 9 marca. Tydzień później – Oscary. Komu życzy pan zwycięstwa na tych ostatnich?

Bardzo podobał mi się „Hamnet" – i wizualnie, i aktorsko jest bardzo zgodny oraz mocno połączony z tematem i emocjami.

Fot. Teodor Klepczyński/PNF Orły

eprasa.pl 7432f6a181

TRENDY I OWĘDY

Sekta Platforma

Ryszard Makowski

Na Polę Bełtowską, polską reprezentantkę na igrzyska zimowe Mediolan-Cortina, wylał się internetowy hejt! Zawodniczka startowała w dyscyplinie jeszcze do nie dawna zarezerwowanej dla płci uznawanej za brzydszą – skokach narciarskich. Według Wikipedii ta 19-letnia dziewczyna jest „skoczkinią narciarską i kombinatorką norweską". Na najważniejszych zawodach współczesnego sportu nie poszło jej najlepiej. W turnieju indywidualnym zajęła ostatnie, 50. miejsce, a w trochę dziwacznej konkurencji, zwanej w tenisie mikstem, w której drużynę stanowią kobieta i mężczyzna, też oddała na tyle słaby skok, że nasza para była bez szans.

Wywołało to furię kibiców, spotęgowaną tym, że akurat nasz skoczek Kacper Tomasiak sięgnął po srebrny medal i oczekiwania były rozżarzone jak piec hutniczy. Jednak intensywność wpisów w internecie zaskoczyła wszystkich. Sama zawodniczka oświadczyła: „To jest taki hejt, że nie spodziewałam się, iż ludzie mogą pałać do mnie aż taką nienawiścią".

Młoda dziewczyna może być zaskoczona, jednak dla obserwatora naszej rzeczywistości jest to efekt wynikający z całokształtu. Państwo Tuska i sekty Platforma jest napędzane hejtem i nienawiścią. „Uśmiechnięci" muszą kogoś zbluzgać, kimś pogardzać, żeby czuć się lepszymi. Normą stało się, że ton nadają zawodowe trollownie, a potem zdolni amatorzy niosą zło po sieci. Tutaj wystarczyła iskra, by frustraci mogli dać upust swoim fobiom, wyżywając się na bogu ducha winnej osobie. Trudno przypuszczać, żeby ktoś o prawicowych poglądach do tego dołączył. To zło jest domeną lewaków i sekty Platforma.

ZDJĘCIE TYGODNIA Gdynia świętuje stulecie

Fot. PAP

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: MARYSIA ZAWADA/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, DIEGO DELSO/WIKIPEDIA, JOHN BINGHAM/X.COM, SHUTTERSTOCK/TOSE, SASIRIN PAMAI

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 7432f6a181

W co gra towarzysz Czarzasty

epresa.pl 7432/a181

Zarówno Izraelczycy, jak i Amerykanie nie od dziś mają skłonność do bagatelizowania komunistycznej przeszłości polityków z Europy Środkowej i Wschodniej (w przeciwieństwie do choćby Włoch czy Francji, gdzie zwykli przywiązywać do tego sporą wagę), bo wydaje im się, iż ci bywają nawet bardziej filosemiccy i usłużni wobec Ameryki od innych, jak faktycznie bywało w Polsce z Leszkiem Millerem czy w Rumunii z Adrianem Năstase. Ale po pierwsze, czasy się zmieniły, a w Europie „bycie na lewicy" mierzy się dziś antytrumpizmem, a nawet coraz częściej – antysemityzmem. A po drugie, przypadek Czarzastego to całkiem inna polityczna historia.

NIECH MNIE ZOBACZĄ

Mike Johnson i Amir Ohana nie zdawali sobie z tego sprawy, pisząc do Czarzastego jako politycznego sojusznika i przyjaciela. Marszałek Sejmu jest nieprzyjacielem Izraela, czego w ciągu ostatniego roku wielekroć dawał wyraz, próbując wymusić na polskim gabinecie, aby wraz z innymi lewicowymi rządami unijnymi – np. hiszpańskim – stanął na czele antyizraelskiej kampanii w związku z wojną w Strefie Gazy. To mu się nie do końca udało, gdyż Tusk i Sikorski rozsądnie woleli, aby akurat Polska, mająca odwieczne i powikłane więzi z Żydami, nie jawiła się na scenie światowej jako polityczny wróg Izraela.

Z kolei gdy idzie o USA, to Czarzasty nie od dziś szukał okazji, aby wybić się nie tylko w Polsce, lecz także w Europie jako zaciekły antytrumpista, gotów wspierać każdą, nawet samobójczą z polskiej perspektywy akcję polityczną przeciw Ameryce i jej prezydentowi. Marszałek Sejmu nie należy bowiem do tego gatunku postkomunistów, którzy swoją dawną usłużność wobec Sowietów chętnie zamienili na podobny stosunek względem USA. Wychowany w latach 80. XX w. na zaciekłej nienawiści wobec wspierającego Solidarność Ronalda Reagana, ma antyamerykanizm „we krwi". A budowany dziś w Europie lewicowy front przeciw Ameryce i Trumpowi jest dlań ideowym punktem odniesienia i – jak myślę – autentyczną tożsamością.

Jeśli Johnson i Ohana by to wiedzieli, to z łatwością przewidzieliby, że Czarzasty łatwo zrobi z ich listu antyamerykańską hecę. Nobel dla Trumpa? Ależ amerykański prezydent nań „nie zasługuje"! Dlaczego? Bo „łamie standardy i wartości". I dla Czarzastego tym lepiej, im bardziej Trump wraz z amerykańską dyplomacją zabiega o tę nagrodę. Waszyngton, skłócony z Berlinem i Paryżem, potrzebuje teraz takiej, wywodzącej się właśnie z Europy, prestiżowej legitymizacji swej polityki. Ale jak zwykle prezydent USA robi to w sposób dość bezceremonialny, wypisując np. listy z pretensjami do norweskiego premiera. Spektakularnie odrzucając inicjatywę przewodniczących parlamentów USA i Izraela, można więc tym bardziej ośmieszyć Trumpa i upokorzyć amerykańską dyplomację, na razie bezskutecznie czyniącą starania o Nobla dla prezydenta. Czarzastemu w to graj! Teraz za zamkniętymi drzwiami muszą sobie nieźle kpić z naiwnej wiary Johnsona i Ohany w polskiego rzekomego „sojusznika".

Przewodniczący parlamentów USA i Izraela wykazali się sporą naiwnością oraz słabą znajomością polskiej polityki, kiedy uznali, że list otwarty w sprawie Nagrody Nobla dla Donalda Trumpa mogą podpisać wspólnie z marszałkiem polskiego Sejmu. Najwyraźniej nie wiedzieli, co to za figura polityczna ten Włodzimierz Czarzasty i nie zadali wcześniej takiego pytania służbom specjalnym swoich krajów

JAN ROKITA

Czarzasty ma tu zresztą podwójny polityczny interes. Pierwszy – iż jego nieznana w świecie figura lidera schyłkowego i marginalnego lewicowego stronnictwa musiała w końcu zostać dostrzeżona w antytrumpistowskim światku europejskiej lewicy. A w tych kręgach Polska jest tradycyjnie niepopularna, gdyż uważa się ją za „amerykański lotniskowiec", który nie wiadomo, dlaczego dwie dekady temu zacumował w Unii Europejskiej. Jeśli zatem w Polsce na urzędzie przewodniczącego parlamentu pojawia się zaciekły antytrumpista, to taka polityczna figura od razu zostaje zauważona. Czarzasty może się teraz spodziewać rozmaitych gestów życzliwości i uznania ze strony najróżniejszych antyamerykańskich oraz lewicowych partii europejskich. W końcu polski polityk, który spostponował prezydenta USA i dał po nosie amerykańskiej dyplomacji, to rzecz tyleż rzadka, co atrakcyjna dla lewicy.

NAŚLADOWCA PALIKOTA

Myślę jednak, że kalkulacja Czarzastego dotyczy przede wszystkim jego statusu w polityce krajowej. Marszałek nie od dziś próbuje pozycjonować się w roli rzecznika, a chętnie także politycznego lidera SokuzBuraka, wściekłych sędziów, antypisowskich fanatyków i różnych innych „sierotek po Palikocie", którym ciągle doskwiera niedosyt upokorzeń i szyderstw z polskiej prawicy oraz jej przywódców. Niedościgłym mistrzem był tu właśnie Palikot, który potrafił sprowadzać przeciwników do parteru, poniżać ich, przedstawiać jako zakompleksionych przygłupów. Tylko on umiał dostarczyć gawiedzi taką radość, jaką było opowiadanie o prezydencie Lechu Kaczyńskim jako o rozpuszczonym bachorze w piaskownicy, któremu trzeba dać w tyłek i zabrać zabawki.

Od jakiegoś czasu Czarzasty próbuje (dodajmy – na razie nieudolnie) naśladować „mistrza" Palikota w stosunku do prezydenta Karola Nawrockiego. Tę zależność dostrzeże każdy, kto widział filmik propagandowy marszałka, w którym z sarkastycznie naiwnym uśmiechem pyta Nawrockiego: „Co oni panu zrobili? Czemu pan mści się na ludziach?".

Fot. Stach Antkowiak/REPORTER

eprasa.pl 7432f6a181

Jednak nieustanne zaczepianie Nawrockiego jest trochę ryzykowne. Po pierwsze, prezydent wyrobił sobie (i chyba nie bez powodu) reputację „nieprzemakalnego", a po drugie, jest blisko, jest silny i w każdej chwili może się nieprzyjemnie odwinąć, tak jak to zrobił dopiero co, wpisując w porządek zebrania Rady Bezpieczeństwa Narodowego badanie wschodnich konszachtów biznesowych marszałka Sejmu.

A dla Czarzastego nie ma chyba nic bardziej fatalnego niźli badanie jego biznesów, i to nie od teraz, ale od czasu, gdy z cynizmem i sprytem „sprywatyzował" sobie spory fragment teoretycznie skonfiskowanego przez państwo majątku PZPR, tworząc zeń nomenklaturowe wydawnictwo Muza. Przesłuchując go w niegdysiejszej komisji śledczej badającej aferę Rywina, pytałem, jak to możliwe, że młody asystent z politologii nagle stał się milionerem. Otrzymałem wtedy klasyczną odpowiedź Czarzastego, podszytą cynizmem i tupetem (z której się w duchu uśmiałem, bo w tym przypadku była prawdziwa): „Bo ja umiem robić pieniądze, a pan umie tylko o nich opowiadać".

W przeciwieństwie do Nawrockiego Trump jest daleko, a jego jakakolwiek reakcja stanowi polityczne marzenie Czarzastego. Marszałkowi pewnie marzyło się, iż Trump, rozeźlony kwestionowaniem w Polsce jego prawa do Nagrody Nobla, swoim zwyczajem nocą napisze jakąś złośliwość przeciw polskiemu marszałkowi na platformie X albo Truth Social. Czarzasty dopiero miałby prawdziwą radochę! No, ale tak się nie stało. Zamiast Trumpa odezwał się „tylko" ambasador Rose, ale i z tego marszałek musiał być zadowolony. Dzięki Rose'owi odrzucenie inicjatywy Johnsona i Ohany nabrało rozgłosu, o który Czarzastemu chodziło. Ambasador musiał zareagować, kiedy przewodniczący parlamentu sojuszniczego kraju postponuje prezydenta USA i dezawuuje starania amerykańskiej dyplomacji. Poza tym Rose, amerykański Żyd, miał po temu własne, dodatkowe powody: przecież nie od dziś antyizraelska aktywność Czarzastego musiała wzbudzać abominację w ambasadzie przy Al. Ujazdowskich.

W tym wszystkim moje zdziwienie wzbudziła tylko postawa Tuska, gdyż osobista i partyjna kalkulacja Czarzastego jest najzupełniej czytelna. Lansując się atakami na Nawrockiego, a teraz na Trumpa, marszałek próbuje przejąć kontrolę nad frakcją „wściekłych" w obozie Tuska, licząc, że w ten sposób upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu: przesunie kilka procent najbardziej radykalnych głosów z Platformy na Lewicę oraz wybije się na pozycję głównego wasala premiera, bez którego szef rządu nie będzie już mógł się obyć. Paradoksalnie zatem atakami na Trumpa Czarzasty zachodzi Tuska od tyłu, próbując wejść w jego buty tam, gdzie premier, chcąc nie chcąc, musi się mitygować i trzymać na uwięzi własną zaciekłą wrogość wobec prezydenta USA. Tusk nie może już jak niegdyś strzelać Trumpowi z dwóch palców w plecy, bo zbyt jaskrawie rujnowałby polską pozycję w świecie. Czarzasty chciałby go zatem zastąpić na tym polu.

> Lansując się atakami na Nawrockiego, a teraz na Trumpa, Czarzasty próbuje przejąć kontrolę nad frakcją „wściekłych" w obozie Tuska, licząc, że w ten sposób przesunie kilka procent najbardziej radykalnych głosów z KO na Lewicę oraz wybije się na pozycję głównego wasala premiera, bez którego ten nie będzie już mógł się obyć

Dlatego spodziewałem się, że Tusk szybko uciszy antyamerykański wyskok Czarzastego, skoro w polityce krajowej funkcjonalnie służy on jedynie osłabieniu Platformy (czyli obecnej Koalicji Obywatelskiej) i wzmocnieniu Lewicy. Przecież nie od dziś wiadomo, że przepływy elektoratów między Platformą i Lewicą – podobnie jak niegdyś między PO i upadłą już partią Hołowni – zawsze dają sumę mniej więcej bliską zeru.

Postponując Trumpa, Czarzasty nie robi nic złego – co oczywiste – Ameryce, w żaden sposób nie dotyka interesów polskiej prawicy, ale próbuje uszczknąć co nieco dla siebie z Platformy, wyrosłej ostatnio sondażowo ponad swą zwyczajną miarę. Jeśli upadek Hołowni sprawił, że Tusk odwojował co nieco poparcia „w środku" sceny politycznej, to Czarzasty chce wyrównać ten rachunek na „lewym skrzydle". Tymczasem premier zachował się tak, jakby nie rozumiał tej zależności: zamiast spokojnie, ale stanowczo uciszyć Czarzastego, poszedł na jego lep i zabrał się za „uciszanie" amerykańskiego ambasadora. Z perspektywy partyjnych interesów obozu Tuska jest to z gruntu nieracjonalne postępowanie.

CYNIK I POLSKIE INTERESY

Antyamerykański wyskok Czarzastego ma jeszcze jeden aspekt, zapewne najistotniejszy w całej sprawie. Jego akcja być może sprzyja interesom Lewicy, ale z pewnością nie służy interesom Polski. To trzeba powiedzieć z całkowitą jasnością: nie ma nawet najmniejszego polskiego interesu w tym, aby to nasz kraj publicznie przeciwstawiał się staraniom amerykańskiej dyplomacji o Nagrodę Nobla dla prezydenta USA. Nawet w takich państwach jak Francja czy Niemcy, które mają powody, aby waśnić się z Trumpem, gdyż cały czas wskazuje im miejsce w szeregu i poddaje krytyce ich politykę, żaden prezydent, premier czy szef parlamentu nie przeciwstawił się publicznie amerykańskim staraniom o tę nagrodę. A już zwłaszcza Polska – która w retoryce Trumpa zawsze pojawia się jako wzór, przykład i pozytywny bohater – działa na szkodę własnych interesów, z premedytacją niszcząc ową dobrą koniunkturę w relacjach z przywódcą Ameryki.

Prawdę mówiąc, nie sądzę, aby skrajny cynik Czarzasty, który do partii komunistycznej wstępował w 1983 r., czyli w tym czasie, gdy w Warszawie zamordowano Grzegorza Przemyka, przejmował się tego typu rzeczami. Ale już lewicowi wyborcy z pewnością winni mieć świadomość, iż ich lider ignoruje oczywiste polskie interesy narodowe.

eprasa.pl 7432f6a181

Antyamerykanizm mają we krwi

Donald Tusk odpalił agresywną kampanię antyamerykańską. Jej twarzą jest Włodzimierz Czarzasty, bo premier woli się sam nie narażać. Nagonka na USA ma cele doraźne, czyli uderzenie w prezydenta Karola Nawrockiego i PiS. Ma też wymiar globalny jako część walki europejskiego liberalnego establishmentu z prezydentem Donaldem Trumpem. Niestety tym razem stawką nieodpowiedzialnych działań Tuska i jego sprzymierzeńców jest kwestia najważniejsza, czyli bezpieczeństwo Polski

Kampania antyamerykańska nie jest sprawą ostatnich dni. To, co się dzieje teraz, to jej spektakularna eskalacja. A brutalne zwarcie między Włodzimierzem Czarzastym a ambasadorem Tomem Rose'em nie jest jej początkiem, lecz konsekwencją. Trudno nawet jednoznacznie ustalić, kiedy się to wszystko zaczęło, bo jeśli chodzi o Donalda Tuska, to zawsze był zdystansowany wobec sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Mowa oczywiście nie o deklaracjach – bo te były zawsze dostosowane do tego, czego oczekiwali wyborcy – ale o faktycznych działaniach. A w przypadku stosunku Tuska do obecnego prezydenta USA przecież wiadomo, że krytykował go publicznie, zaczepiał, a nawet obrażał już od wielu lat. Przy czym rzeczywiście jest tak, że obecna kadencja Trumpa stała się czasem szczególnie nieprzyjaznych gestów wobec Ameryki.

Jest faktem, że Donald Trump to postać, którą łatwo przedstawić w karykaturalnym, zdeformowanym obrazie. Sam się do tego przyczynia. Z jednej strony jest ekscentrykiem lekceważącym sprawy wizerunkowe, z drugiej – najbardziej słuszne cele potrafi realizować w sposób arogancki, zrażając opinię publiczną w krajach sojuszniczych. To wszystko daje łatwość gry na negatywnych emocjach, w oderwaniu od faktów i efektów polityki Trumpa. Te bowiem – do czego jeszcze wrócimy – w przypadku naszego kraju są całkowicie pozytywne.

Także opinia publiczna w Polsce bez entuzjazmu zareagowała na niektóre działania Trumpa, np. presję w sprawie Grenlandii. I ta okoliczność ośmieliła ekipę Tuska do rozpętania kampanii antyamerykańskiej. To wydarzenie bez przesady historyczne, bo przez cały okres po 1989 r. Polska traktowała USA jak najważniejszego sojusznika. Najbardziej pewnego gwaranta naszego przetrwania. Do tej pory prezentowanie bliskich relacji z Białym Domem było atutem, o który polscy politycy bili się między sobą. Tusk nie ma szans na wygraną w tej grze, więc postanowił kopnąć w stolik. Tym bardziej że nie lubi

PIOTR GURSZTYN

Ameryki i w jej roli – jako gwaranta bezpieczeństwa – usiłuje obsadzić Unię Europejską. Czyli Niemcy i w pewnej mierze Francję.

UDERZENIE W NAWROCKIEGO

Dlatego kontrowersje wywołane ekscentrycznymi zachowaniami Donalda Trumpa stały się „walorem" w wojnie przeciw prezydentowi Karolowi Nawrockiemu. Bliskie relacje z prezydentem USA to jeden z najmocniejszych atutów Nawrockiego. Zgodnie zatem z naczelną zasadą brutalnego marketingu politycznego w tę stronę poszło uderzenie.

> Rozpętanie antyamerykańskiej kampanii to wydarzenie bez przesady historyczne, bo przez cały okres po 1989 r. Polska traktowała USA jak najważniejszego sojusznika. Najbardziej pewnego gwaranta naszego przetrwania

Strona rządowa od początku ma spory kłopot z dobrymi relacjami prezydenta Nawrockiego z Białym Domem. Poparcie Nawrockiego jeszcze jako kandydata w wyborach prezydenckich było zdarzeniem bezprecedensowym i jednym z ważniejszych czynników, który doprowadził do przegranej Rafała Trzaskowskiego. Dotychczasowe próby zmiany stanu rzeczy były bezskuteczne. Nie udało się dezawuowanie kontaktów polskiego prezydenta jako nieważnych i przypadkowych. Zaproszenie na spotkanie G20 całkowicie unieważniło te usiłowania. Nie udały się też próby pokazania, że rząd utrzymuje relacje na tym samym poziomie, o co mocno starał się szef MSZ. Jednak lista „dokonań" Radosława Sikorskiego ograniczyła się do jednego przecięcia w korytarzu z Marco Rubio. Następnie niedawno rzeczywiście poważnego spotkania w Waszyngtonie w szerszym gronie w sprawie porozumienia o dostępie do surowców strategicznych. Zdjęcie Sikorskiego z Rubio wyglądało godnie, ale potem przyszła informacja, że amerykański sekretarz stanu odwiedzi Węgry i Słowację, a Polska zostanie pominięta.

Przedstawianie awantury wywołanej przez Włodzimierza Czarzastego jako tylko incydentu to nieprawda. Wręcz manipulacja, gdy jest sprowadzane do rzekomo skandalicznej reakcji ambasadora Toma Rose'a jako przyczyny kryzysu dyplomatycznego. To kolejny rozdział w antyamerykańskiej polityce Tuska. A nie zaczęła się ona od tego, że prezydentem USA został nielubiany przez liberałów i lewicę Donald Trump.

NIECHĘĆ DO USA

Tutaj trzeba się cofnąć o prawie dwie dekady, gdy w 2008 r. Tusk pozorował negocjacje z Amerykanami w sprawie budowy elementu tarczy przeciwrakietowej w Redzikowie. Przeciągał rozmowy, co strona amerykańska szybko zauważyła. W opublikowanych przez WikiLeaks depeszach ambasadora USA Victora Ashe'a czytamy o Tusku, że „nie jest wielkim fanem obrony przeciwrakietowej i nie jest przywiązany do polsko-amerykańskiej współpracy strategicznej jak jego poprzednicy". Jawną manifestacją niechęci do USA było ogłoszenie przez Tuska, że uważa sprawę obecności tarczy w Polsce za nieaktualną. Zrobił to 4 lipca 2008 r., czyli w Dniu Niepodległości USA. Miał jednak takiego pecha, że miesiąc później Rosja napadła na Gruzję i wtedy rząd polski w panice podpisał umowę.

Fot. Jacek Dominski/REPORTER, WOJCIECH STROZYK/REPORTER

eprasa.pl 7432f6a181

Tusk nie dbał o dobre stosunki także wtedy, gdy w Białym Domu zasiadali prezydenci bliżsi mu ideologicznie. Zdjęcia ze słynnej podwójnej wizyty – prezydenta Andrzeja Dudy i premiera Donalda Tuska – u Joe Bidena są prawdziwym obrazem tamtej sytuacji. Uśmiechnięty i ciągle rozmawiający z Bidenem Duda i obok naburmuszony Tusk. Premier wpadł do Waszyngtonu jak po ogień, nie znalazł czasu nawet na to, aby udzielić wywiadu jakiejś przyjaznej mu telewizji, np. CNN, mimo że Sikorski ma tam dobre wejścia.

Epoka „drugiego Trumpa" pozwala Tuskowi połączyć przyjemne z pożytecznym. Z jednej strony daje upust antyamerykańskim emocjom, z drugiej – wpisuje się w politykę Niemiec i Francji zmierzających do konfrontacji z USA. Europejski establishment obraził się na całą Amerykę, nie tylko na Trumpa, z tego powodu, że ta przestała się godzić na nierówne taryfy celne. A przy tym kończy się nadużywanie amerykańskiego parasola ochronnego w zakresie militarnym przy minimalnych wydatkach państw zachodnioeuropejskich na obronę.

W tej kwestii Polska nie była pasażerem na gapę i stanowi to nasz atut w relacjach z USA. Konflikt Berlina i Paryża z Waszyngtonem nie jest naszą sprawą. Wejście Polski w ten konflikt jest efektem decyzji Tuska, a nie obiektywnych okoliczności. Nasz kraj ma wybór: może stanąć po stronie USA, może też stanąć z boku. Tusk jednak wybrał konfrontację. Konsekwencje dla bezpieczeństwa Polski mogą być nieprzewidywalne. Opinia publiczna słyszy ostatnio frazy, że „globalna architektura bezpieczeństwa ulega przebudowie" i raczej je lekceważy. Tymczasem to zapowiedź nadchodzących ruchów tektonicznych, a może nawet katastrof. Znakiem nadchodzącej zmiany są pomysły zachodnioeuropejskich elit, aby w sporze z USA „lewarować się" współpracą z Chinami, czyli głównym sponsorem putinowskiej Rosji. Łatwo sobie wyobrazić, co to oznacza dla Polski i całego regionu, a mimo to pomysły te znajdują posłuch w koalicji rządowej. Jako coś pozytywnego przedstawiał je Czarzasty podczas spotkania z dziennikarzami, które miało miejsce po publikacji gniewnych wpisów ambasadora Rose'a.

Zresztą dzięki mediom liberalnym wspierającym Tuska i Czarzastego w ich antyamerykańskiej krucjacie wiemy, że prowokacyjne wystąpienie marszałka Sejmu nie było przypadkiem, lecz wyreżyserowanym spektaklem. Przy pełnej akceptacji Tuska. Nastąpił podział ról – Tusk jako premier musi być bardziej wstrzemięźliwy, Sikorski też musi zachować pozory, a Czarzasty uznał to za swoją szansę. On i jego współpracownicy mówili o tym zupełnie otwarcie na wspomnianym już spotkaniu z dziennikarzami. Zachwycony marszałek z ogromną pewnością siebie prezentował starcie z ambasadorem jako swój osobisty sukces i punkty dla partii. „Nastroje społeczne w Polsce są coraz mocniej anty-Trumpowe, a szef rządu bardzo mocno na to patrzy" – mówiła cytowana przez portal Interia prawa ręka Czarzastego, szefowa klubu parlamentarnego Lewicy Anna Maria Żukowska.

> Strona rządowa od początku ma spory kłopot z dobrymi relacjami prezydenta Nawrockiego z Białym Domem. Dlatego właśnie w tę stronę poszło uderzenie, którego wykonawcą został Czarzasty

Pytanie jednak, jak długo uda się podtrzymywać antyamerykańską histerię. Wspominaliśmy na wstępie, że ekscentryczny i często arogancki Trump wzbudza niechęć. Ale nie dotyczy to Polski. Obecny prezydent USA nie wypowiedział ani jednego złego słowa o naszym kraju. Zdarzyła mu się fatalna wypowiedź o udziale nieamerykańskich kontyngentów w Afganistanie. Miał rację, jeśli chodzi o udział wojsk niemieckich i hiszpańskich, ale wypowiedź była niewdzięczna i niesprawiedliwa wobec całej reszty, w tym żołnierzy polskich. Nie wymienił jednak nikogo. To jedyna wypowiedź Trumpa, o którą z punktu widzenia polskiej wrażliwości można mieć pretensje. Zresztą ci, którzy je najgłośniej wyrażają, zarzekając się troską o honor Wojska Polskiego, nigdy przedtem nie wykazywali się aktywnością w tej dziedzinie. A przecież były ku temu powody, więc widać tu i hipokryzję, i instrumentalne rozdmuchiwanie jednej jedynej wypowiedzi Trumpa.

Amerykański prezydent wielokrotnie mówił o Polsce w samych superlatywach. Nazywa nas „modelowym sojusznikiem", co skądinąd wskazuje, że nie miał na myśli polskich żołnierzy, krytykując innych uczestników misji afgańskiej. Podobnie jest z demonizowanym obecnie ambasadorem Rose'em. Widać, że ten spokojny i uśmiechnięty człowiek wkłada wielki wysiłek w nawiązanie jak najlepszych kontaktów w Polsce. Wcześniej też nie było znaków jego arogancji, niegrzeczności czy nerwów. Ma przy tym tę wielką zasługę, że narażając się swoim żydowskim współwyznawcom, gorliwie bronił dobrego imienia Polaków w kwestii odpowiedzialności za Holokaust. Wykazał się tu ogromną odwagą cywilną.

KURS NA KONFRONTACJĘ

Dlatego wróćmy do momentu kluczowego, czyli wystąpienia Włodzimierza Czarzastego. Zrekonstruujmy bieg zdarzeń: Czarzasty jako marszałek Sejmu otrzymał pismo w sprawie Pokojowej Nagrody Nobla dla Trumpa od przewodniczących amerykańskiego Kongresu i Knesetu. Nie przedstawił go ocenie Sejmu. Decyzję podjął sam, oficjalnie po konsultacji z MSZ. W swym wystąpieniu użył wielu określeń, które ambasador Rose uznał za obraźliwe, a na pewno nie były one przyjazne wobec prezydenta USA. Czarzasty zarzucił Trumpowi m.in. to, że destabilizuje sytuację międzynarodową i prowadzi politykę siły. „To wszystko powoduje,

eprasa.pl 7432f6a181

że nie poprę wniosku o Nobla dla prezydenta Trumpa, bo na niego nie zasługuje" – ogłosił. Wiemy, że MSZ zalecało mu bardziej dyplomatyczną odpowiedź. To znaczy, że Polska poczeka do momentu, gdy Trump zakończy wojnę rosyjsko-ukraińską. Czarzasty wybrał jednak konfrontację.

W odpowiedzi ambasador ogłosił, że nie będzie utrzymywał stosunków z Czarzastym. Wbrew histerycznej dezinformacji nie żądał mianowania innego marszałka, co jest ważnym szczegółem, bo pokazuje, w jakim stopniu antyamerykańska kampania bazuje na kłamstwach i rozbudzaniu negatywnych emocji. Rose w swym wpisie wyciągnął rękę do Tuska, pisząc o znakomitych stosunkach z jego rządem. Premier ja odrzucił, odpisując, że partnerzy nie mogą się nawzajem pouczać. Tymczasem awantura zaczęła się od tego, że to Czarzasty pouczał Amerykanów, więc ambasada otrzymała sygnał, że Tusk gra z nią tak, jak ze swoimi przeciwnikami politycznymi na krajowym podwórku. Czyli nieuczciwie.

Słowa Rose'a o „doskonałych" relacjach były bardzo kurtuazyjne, bo w istocie te relacje są słabe. Słyszymy pogłoski o tym, że Amerykanie namawiają PSL do opuszczenia koalicji i stworzenia rządu z PiS. Ale to tylko pogłoski, bez żadnego namacalnego dowodu. Jednocześnie mamy za to gesty jawnej nieprzyjaźni. Polska już od dwóch lat nie ma ambasadora w Waszyngtonie, a Tusk uparcie utrzymuje tam nieudolnego i niemiłego Amerykanom Bogdana Klicha. Strona amerykańska musiała odnotować to, że premier chciał wysyłać polskich żołnierzy na absurdalną wyprawę na Grenlandię. Miał go przed tym powstrzymać szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Nawet jeśli nie jest to prawda, to ochocze rozpowszechnianie tej wersji pokazuje, jak bardzo lider PSL chce się dystansować od amerykańskich awantur Tuska i Czarzastego.

Wcześniej mieliśmy idiotyczny atak Sikorskiego na Elona Muska za to, że Rosjanie nielegalnie używali Starlinków. Szef MSZ musiał wiedzieć, ile Ukraina zawdzięcza Muskowi, bo cała jej łączność – cywilna, a także wojskowa z rozpoznaniem – bazuje na systemach amerykańskiego multimiliardera. Zresztą Musk błyskawicznie rozwiązał problem nielegalnie pozyskanych Starlinków, za co wylewnie dziękował mu szef ukraińskiego MON. Tej sprawy nie można zlekceważyć, bo atak Sikorskiego jest dla Muska i Ameryki znakiem szczególnej złej woli. Hipokryta Sikorski nigdy np. nie skrytykował Niemiec za wspieranie Rosji czy działania przeciw Ukrainie.

Strona amerykańska widzi też kampanię nienawiści do Ameryki, którą prowadzą liberalne media. Nie jest przecież tajemnicą, jakie sympatie i jakiego właściciela ma wiodący w tym portal Onet. Widać też antyamerykańskie wzmożenie wielu tzw. osintowców, czyli youtuberów zajmujących się sprawami militarnymi. Starają się oni udowodniać, jak mało wartościowym sojusznikiem są wojska amerykańskie, ale za to jak rośnie potęga państw europejskich. Podstawą tego są fałsz i dezinformacja. Mały przykład. Jeden z tych youtuberów pokazuje, że więcej samolotów państw europejskich niż amerykańskich latało nad Polską w ramach tzw. air policing, ale nie informuje, że liczba amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Polsce sięga 10 tys., podczas gdy reprezentanci innych wojsk sojuszniczych to ok. 1 tys. żołnierzy zebranych z kilkunastu krajów. Zaangażowanie tzw. osintowców w antyamerykański hejt nie jest sprawą błahą, bo powszechnie wiadomo, że wielka część ich dochodów to sponsoring ze spółek Skarbu Państwa.

Podczas zwołanej przez prezydenta Karola Nawrockiego Rady Bezpieczeństwa Narodowego marszałek Sejmu „milczał w 13 jezykach", jak oznamił szef jego kancelarii Marek Siwiec
© Mikołaj Bujak/KPRP

> Czarzasty już nie jest tak zadowolony, jak okazywał wcześniej. Na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego siedział z nietęgą miną. Praktycznie nikt go tam nie bronił, a Tusk wyjechał szybciej, czyli *de facto* opuścił sojusznika

MURZYN ZROBIŁ SWOJE

Czy Tusk i Czarzasty wygrają na tej kampanii? Pierwsze chwile po wpisach ambasadora Rose'a zdawały się upajające. Dość szybko jednak po liberalnej stronie pojawiły się głosy zaniepokojenia. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz *de facto* odcięła się od akcji Czarzastego. „Mamy dzisiaj bardzo trudnego partnera w Stanach Zjednoczonych, ale też

eprasa.pl 7432f6a181

wiemy, że ten partner jest nam dzisiaj do bezpieczeństwa niezbędnie potrzebny" – stwierdziła. Kilku liberalnych publicystów zauważyło, że Czarzasty nie musiał odpowiadać w konfrontacyjny sposób. Mógł zwlekać z odpowiedzią lub sformułować odmowę w sposób przyjęty w dyplomacji. Występujący w telewizji Polsat byli premierzy bez wyjątku skrytykowali obecną awanturę. „Marszałek Sejmu nie zajmuje się polityką zagraniczną. Można było te sprawy przeprowadzić dużo bardziej dyplomatycznie" – mówił Waldemar Pawlak. Wreszcie odezwało się PSL, również dystansując się wobec Czarzastego. Co więcej, Kosiniak-Kamysz manifestacyjnie pojechał do ambasady USA, aby spotkać się z Tomem Rose'em. W ciepłej atmosferze – jak podkreślono w komunikacie.

To złe znaki dla Czarzastego. Murzyn zrobił swoje. Tusk w imię jakiejś doraźnej poprawy stosunków z USA może potraktować marszałka Sejmu jako kozła ofiarnego. Szczególnie, że stał się on idolem Silnych Razem i w ogóle wyborców KO. Wszedł na poletko Tuska, pilnie przez niego pielęgnowane.

Czarzasty nie jest już tak zadowolony, jak okazywał wcześniej. Na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego siedział z nietęgą miną. Praktycznie nikt go tam nie bronił, a Tusk wyjechał szybciej, czyli *de facto* opuścił sojusznika. Tego samego dnia jego rosyjskimi kontaktami zajął się życzliwy rządowi dziennik „Rzeczpospolita". Już nie może mówić, że sprawa Swietłany handlującej mieniem FSB jest pseudoaferą rozdmuchiwaną przez prawicowe media. Wrócił temat jego życiorysu. Opinia publiczna przypomniała sobie o tym, że wstąpił do PZPR praktycznie w czasie stanu wojennego. W sieci zaczęły krążyć dokumenty na temat jego oficjalnych wizyt w ZSRS. Dla rządu Tuska, w propagandzie którego oskarżenie o kontakty z Rosją jest najczęściej stosowaną pałką, to sprawa kłopotliwa. Po 1989 r. prowadził szereg biznesów, które można nazwać „nomenklaturowymi". To może być źródło kontrowersji pogrążających Czarzastego, na co wskazuje jego niechęć do poddania się procedurom sprawdzającym. Jest też afera Rywina. Media, które dzisiaj są po stronie marszałka, wówczas pisały o nim tylko źle. Każdy Polak znajdzie te teksty w internecie i zada pytanie, dlaczego wtedy tak o nim pisano, a teraz nazywa się go „mężem stanu". Nawiązując do „Mistrza i Małgorzaty": czy Annuszka już rozlała olej, na którym wywróci się Czarzasty? Wygląda na to, że tak, choć nie wiadomo, jak szybko te sprawy się rozstrzygną.

> Kampania antyamerykańska może obrócić się przeciw jej inspiratorom. Jest zbyt wulgarna, lekceważy doświadczenia historyczne Polaków. Czy Polacy chcą – tak jak Tusk i Czarzasty – wypchnięcia USA z Europy? Wątpliwe

Kampania antyamerykańska może obrócić się przeciw jej inspiratorom. Jest zbyt wulgarna, lekceważy doświadczenia historyczne Polaków. „Broń Czarzastego może być obosieczna, bo może i Polacy źle oceniają Trumpa, ale wciąż sympatyzują z Ameryką jako taką. I rozumieją wagę sojuszu z najpotężniejszym państwem globu, na którym wciąż opiera się siła NATO" – zauważyła sympatyzująca obecnie z Czarzastym „Gazeta Wyborcza".

Emocje szybko mijają i następuje powrót do rzeczywistości. Czy Polacy chcą – tak jak Tusk – wypchnięcia USA z Europy? Wątpliwe. Także wielu liberałów ma świadomość tego, jak słaba jest Europa i że przez długie lata nie będzie w stanie zbudować dostatecznych zdolności obronnych. „Putin boi się obecnie tylko Trumpa. To fakt... nie boi się Europejczyków" – powiedział niedawno prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski i to jest podsumowanie całej powyższej kwestii.

Weźmy pierwszy przykład z brzegu. Kilka dni temu MON pochwaliło się, że Wojsko Polskie ma już 262 czołgi typu Abrams. Pierwsze zamówienie na nie zostało podpisane w kwietniu 2022 r. Zastanówmy się, ile byśmy mieli czołgów Leopard, gdyby wtedy je zamówiono. Liczby – według dość skomplikowanych szacunków – wahają się od 0 do maksimum 30 maszyn. Taka jest bowiem wydajność niemieckiego przemysłu.

Wracając do drażniącego obrazu Trumpa, trzeba zaznaczyć, że strach Putina przed nim wynika właśnie z tego. Z celowo stosowanej nieprzewidywalności. Czym innym jest teatralna ekspresja amerykańskiego prezydenta, a czym innym realne działania. A tu – w krótkim czasie ok. 10 miesięcy obecnej kadencji – lista jego dokonań jest imponująca. Zdemolował budżet Rosji. Jej dochody z ropy i gazu, czyli podstawy eksportu, spadły o 65 proc. licząc rok do roku. Niemal całkowicie zlikwidował rosyjskie strefy wpływów. Pogodził Armenię z Azerbejdżanem, przeciągając je na swoją stronę. Skompromitował reżim irańskich ajatollahów. Ośmieszył Rosję, wyciągając Nicolása Maduro z jego własnej sypialni. Trump często opowiada drażniące rzeczy, ale dokonał więcej niż miły i kulturalny Joe Biden.

Jest jeszcze jedna zła wiadomość dla Czarzastego i Tuska. Dłużej klasztora niż przeora – bo nie chodzi tylko o Trumpa. Związany z poprzednią administracją Mike Brzezinski dał teraz dwa sygnały. Najpierw przyznał rację Rose'owi w sporze z Czarzastym. I od razu przypomniał, że cała Ameryka – nie tylko Trump – negatywnie odniesie się do forsowanego przez Lewicę podatku cyfrowego.

Wiadomo, że stawiający na Niemcy Donald Tusk ma osobisty interes w konflikcie z USA. Można się domyślać, jakie partyjne kalkulacje czynił Włodzimierz Czarzasty, atakując Donalda Trumpa. Ale nie ma dobrej odpowiedzi na pytanie, jaki zyski z tego może mieć cała Polska. Bo jest oczywiste, że ich nie ma. Mogą być tylko straty spowodowane egoistycznymi i bezmyślnymi działaniami obu polityków.

eprasa.pl 7432f6a181

Niewinny jak Nowak

Ta sprawa miała wykazać, że w czasie pierwszych rządów Donalda Tuska patologia korupcji w centrum władzy była systemowa. Skazano w niej już nawet kilka osób. Afera była jedną z najbardziej niebezpiecznych dla premiera. Nic dziwnego, że potraktowano ją ekstraordynaryjnie i umorzono, zanim rozpoczął się proces

MAREK PYZA

Sławomir Nowak pozujący na ofiarę politycznych prześladowań na kozetce u arcykapłanki propagandy – ta scena była tylko kwestią czasu, odkąd przed dwoma laty z naruszeniem prawa zmieniono kierownictwo prokuratury. Główny proces byłego ministra wciąż się toczy, umorzono mu jedynie tzw. wątki polskie. A odbyło się to w niezwykle zuchwały sposób.

Łzawe opowieści Nowaka snute przed tygodniem w studiu TVP Info w permanentnej likwidacji były przeplatane licznymi manipulacjami, z którymi trzeba się rozprawić. Ale najpierw wprowadźmy naszego bohatera, bo jego dossier mogło się nieco zatrzeć w pamięci.

Jego pierwszym pseudonimem politycznym był „Lolo Pindolo". Mieli go tak nazywać w samej Platformie Obywatelskiej z powodu wielkiej wagi przykładanej przezeń do wyglądu – dobrych garniturów, wypielęgnowanej fryzury czy drogich zegarków. Zamiłowanie do tych ostatnich wygenerowało kolejne ksywki: „Zegarmistrz" czy „Pan Tik-Tak". Z biegiem czasu został też „bohaterem narodowym Ukrainy", bo „tak zadbał o ukraińskie drogi, że Ruscy nie doszli do Kijowa".

Ze „złotego chłopca Platformy" stał się dla partii Donalda Tuska i samego szefa formacji olbrzymim balastem. Kojarzył się z aferami, mówiono o nim w tonie wyłącznie drwiącym.

A przecież w ciągu kilku poprzednich lat zrobił jedną z największych karier politycznych. Pomiędzy 2007 a 2014 rokiem był szefem kampanii PO do parlamentu (2007) i prezydenckiej Bronisława Komorowskiego (2010), ministrem w KPRM i szefem gabinetu politycznego premiera (2007–2009), ministrem w kancelarii prezydenta (2010–2011) i ministrem transportu (2011–2013).

Wszystko załamało się w 2013 r. po tym, jak Sławomir Nowak nie wpisał do kilku oświadczeń majątkowych luksusowego czasomierza. Doprowadziło to do jego odejścia z polskiej polityki, postawienia mu zarzutów i skazania na 20 tys. zł grzywny. W drugiej instancji wyrok złagodzono do 5 tys. zł, sprawę warunkowo umorzono, ale podtrzymując winę Nowaka.

Gdy posypała się kariera w kraju, odnalazł się na Ukrainie. W 2016 r. został szefem Ukrawtodoru, rządowej agencji zajmującej się budową i remontami dróg. Przyjął ukraińskie obywatelstwo i rozgościł się w kijowskim gabinecie. Aż za bardzo.

Z KIJOWA PRZEZ NIKOZJĘ

Wyłudzać łapówki miał zacząć krótko po objęciu stanowiska. Korupcyjną aferę szybko też odkryło polskie Centralne Biuro Antykorupcyjne. W 2017 r. jeden z analityków, badając przepływy finansowe, miał natrafić na lewe interesy byłego ministra transportu. CBA założyło Nowakowi kontrolę operacyjną. W 2018 r. rozpoczęło się prokuratorskie śledztwo.

Nowak miał przyjąć blisko pół miliona złotych od Aleksandra Tislenki, przedstawiciela Altcomu, jednej z największych ukraińskich firm

eprasa.pl 7432f6a181

budowlanych. Pieniądze miały trafić na konto Jacka P. – chodziło o kwoty 20,2 tys. euro (w październiku 2017 r.) oraz 50 tys. dol. (w marcu 2018 r.). Trzecią transzę Nowak miał otrzymać w gotówce (49,5 tys. dol.), również poprzez P. Taka miała być cena wsparcia Altcomu przez szefa Ukrawtodoru przy przetargach na budowę i remonty dróg.

Kolejny przypadek korupcji dotyczy przetargów, w których startowała turecka firma Onur Taahhut Tasimacilik Insaat Ticaret Ve Sanayi. Podobnie jak w pierwszej sprawie Nowak miał tu działać ze swoją asystentką Wirą Biczują (przedstawicielką Kulczyk Foundation – również została zatrzymana). To ona miała w jego imieniu żądać łapówki od Emre Karaahmetoglu, właściciela tureckiej spółki (też zatrzymany w tej sprawie). Do tej transakcji wykorzystano spółkę DSBS CY LTD, założoną na Cyprze na polecenie Nowaka przez Dariusza Z., byłego dowódcę jednostki GROM. Turecka spółka podpisała z cypryjskim podmiotem umowę na fikcyjne usługi doradcze, w ramach której na konto tego ostatniego przez dwa lata miało wpływać po 45 tys. euro miesięcznie, co razem dałoby równowartość 4,6 mln zł.

Spółka na Cyprze miała być też wykorzystana do wyprania pieniędzy z łapówki od polskiej spółki ECM Group za przetargi dotyczące opracowania kosztorysu remontu dwóch ukraińskich dróg. Prowizja dla grupy Nowaka miała wynieść 10 proc. od kontraktu o wartości 1,6 mln euro.

Dodatkowo Nowak miał polecić Jackowi P. założenie spółki Onur Polska. Zarejestrowano ją w listopadzie 2018 r. Obejmując w niej 30 proc. udziałów, P. wpłacił 182 tys. zł, które wcześniej miał otrzymać w gotówce (w euro) od Turków. Pozostałe 70 proc. udziałów (o wartości 700 tys. zł) objął turecki Onur. Na papierze prezesem podmiotu został Karaahmetoglu, a P. – członkiem zarządu. W sumie miano zalegalizować w ten sposób blisko 900 tys. zł łapówek.

OGROM DOWODÓW

Gdy w lipcu 2020 r. zatrzymano Nowaka, Jacka P. i Dariusza Z., sprawa zaczęła puchnąć. Trzy miesiące później zatrzymani zostali Jacek K. (były prezes ORLENU, podejrzany o wręczenie Nowakowi 200 tys. zł za załatwienie dobrego kontraktu w naftowym gigancie), Wojciech T. (były prezes PGE i Energi, który też miał się opłacać za stanowiska w tych spółkach). W przekazywaniu pieniędzy miał też uczestniczyć Leszek K., trzeci z wówczas zatrzymanych.

Po kolejnych trzech miesiącach zarzuty usłyszały kolejne osoby: Łukasz Z. (według prokuratury były asystent Donalda Tuska i szef doradców premier Ewy Kopacz miał czterokrotnie w porozumieniu z Nowakiem przyjąć łącznie ok. 1,3 mln zł za pośrednictwo w załatwieniu spraw oraz zapewnienie przychylnego potraktowania spółek w postępowaniach m.in. administracyjnych, arbitrażowych oraz o charakterze międzynarodowym) oraz Grzegorz W. (współpracownik byłego szefa CBA Pawła Wojtunika). W sumie oskarżenie objęło 15 osób. Nowakowi postawiono 17 zarzutów.

To, że sprawa tak się rozwijała, było z jednej strony efektem zgromadzonego materiału dowodowego, w tym tego z kontroli operacyjnej, której został poddany Nowak (za zgodą sądu) w latach 2017–2019. Dziś skarży się on, że był jedną z pierwszych osób podsłuchiwanych Pegasusem w trakcie kampanii prezydenckiej w 2020 r. Tyle że według byłego ministra koordynatora specsłużb Mariusza Kamińskiego to nieprawda, bo kontrolę zakończono po tym, jak Nowak przestał kierować Ukrawtodorem.

Jednocześnie otwarcie tzw. wątków polskich umożliwiła otwartość w śledztwie wspólników Nowaka. Były minister twierdzi dziś, że umorzona sprawa opierała się wyłącznie na zeznaniach Jacka P., licząc na to, że opinia publiczna nie pamięta, iż na układ ze śledczymi poszedł również Dariusz Z. Ten ostatni w 2022 r. usłyszał łagodny wyrok trzech lat pozbawienia wolności w zawieszeniu na pięć lat oraz 60 tys. zł grzywny za żądanie milionowych łapówek we współpracy z Nowakiem. Wyrok był niski, bo Z. do wszystkiego się przyznał i dobrowolnie poddał karze, aby uniknąć procesu. Do czego zatem mógł się przyznać, skoro był oskarżony o udział w zorganizowanej grupie przestępczej kierowanej przez Nowaka?

Analogicznie zakończyła się sprawa Jacka P. To u niego w domu znaleziono kilka milionów złotych w gotówce znajdującej się w skrytkach ukrytych w meblach, niczym w filmie „Vabank". Dodatkowo w śledztwie ustalono, że na gumkach, którymi były związane banknoty, znaleziono ślady DNA Nowaka. Dziś twierdzi on, że te ślady były wyłącznie na pudełku po butach, które P. musiał wynieść z jego domu.

Nowak przekonuje, że wszystkie jego kłopoty wzięły się z zeznań jednego człowieka, który zdecydował się skorzystać ze statusu małego świadka koronnego. Jak opisaliśmy wyżej, to nieprawda. Wersję byłego ministra podważa również fakt, że sądy trzykrotnie orzekały o osadzeniu eksministra w areszcie, a nawet ten czwarty, który areszt uchylił, uznał, że materiał dowodowy jest na tyle przekonujący, że Nowak musiał zapłacić za wolność 1 mln zł poręczenia. No i były jeszcze wspomniane wyroki skazujące P. oraz Z. – składy sędziowskie w tych sprawach nie kwestionowały ich zeznań.

SŁAWEK WRACA DO GRY

W rozmowie z Nowakiem prowadzonej przez Dorotę Wysocką-Schnepf kilkakrotnie usłyszeliśmy, że „zapadł wyrok" uniewinniający Nowaka w tzw. polskich wątkach korupcyjnych. Tyle że żadnego wyroku nie było, bo nie było żadnego procesu, który mógłby się skończyć jakimś wyrokiem. Sąd wydał postanowienie (a nie wyrok) o umorzeniu postępowania przed rozpoczęciem przewodu sądowego. A zatem tej sprawy w ogóle nie zbadano przed sądem, uznawszy, że nie ma czego badać.

Najpierw jesienią ub.r. taką decyzję podjął Sąd Rejonowy w Warszawie (powodem był „oczywisty brak podstaw oskarżenia"). Szokujące, że do planu umorzenia przychyliła się prokurator Małgorzata Ceregra-Dmoch, wiceprezes do spraw organizacyjnych stowarzyszenia Lex Super Omnia, znanego z walki z reformą sądownictwa za rządów PiS oraz współpracy z obecnym ministrem sprawiedliwości Waldemarem Żurkiem. A wręcz zapowiedziała, że śledczy nie będą skarżyć tego postanowienia. To oświadczenie

eprasa.pl 7432f6a181

było tak kuriozalne, że prokuratura musiała wykonać jakiś ruch, choćby pozorowany. I wykonała: złożyła zażalenie, ale tylko na fakt, że w pierwszej instancji decyzja zapadła podczas posiedzenia organizacyjnego. Nie podjęto argumentów merytorycznych, nie broniono materiału dowodowego, w tym zeznań własnego świadka koronnego.

Decyzja Sądu Okręgowego z początku lutego była więc tylko formalnością. Zażalenie odrzucono, a Nowakowi przybito stempel niewinności (choć – przypomnijmy – wciąż toczy się druga sprawa związana z jego domniemanymi przestępstwami na Ukrainie).

Dziś pełni on funkcję prezesa własnej spółki konsultingowej Europe Partners (wcześniej zarządzał nią m.in. wspomniany wyżej Łukasz Z.). Jest też wiceszefem rady nadzorczej budowlanego Texomu. Firma ta aktualnie m.in. buduje koszary dla polskiego wojska, nowe kwatery dla funkcjonariuszy Służby Więziennej w Raciborzu, siedzibę prokuratury w Katowicach, modernizuje pawilony laboratoryjne Centrum Zdrowia Dziecka, wykonuje też zlecenia dla lotniska wojskowego w Malborku. Tylko w 2025 r. Texom pozyskała 9 zamówień publicznych o łącznej wartości blisko 95 mln zł, a od początku br. zdobyła już kolejne zlecenie za ponad 9 mln zł.

Sławomir Nowak wrócił na dobre. I znów gra o duże pieniądze.

> W rozmowie z Nowakiem prowadzonej przez Wysocką-Schnepf kilkakrotnie usłyszeliśmy, że „zapadł wyrok" uniewinniający Nowaka w tzw. polskich wątkach korupcyjnych. Tyle że żadnego wyroku nie było, bo nie było żadnego procesu, który mógłby się skończyć jakimś wyrokiem

Złe języki szepczą, że ze wszystkich śledztw Donaldowi Tuskowi najbardziej mogło zależeć na zamknięciu dwóch. Pierwszą jest afera wyprowadzenia pieniędzy z Polnordu, bo w niej centralną postacią miał być Roman Giertych. A premier absolutnie nie chce jego krzywdy. I nie dlatego, że mecenas jest jego pełnomocnikiem, reprezentującym go w wielu sprawach. Nie dlatego też, że to Giertych stworzył i dyryguje internetowym towarzystwem Silnych Razem, narzucającym hejterskie narracje wymierzone w przeciwników Tuska. Dlaczego więc? Bo Giertych za dużo wie o Tusku. Wiedza zaś w połączeniu z bezwzględnością syna doradcy Jaruzelskiego jest zbyt ryzykowna do niekontrolowanego użycia.

Drugim śledztwem było to dotyczące Nowaka. Wyłania się z niego bowiem korupcyjny system, jaki stworzono na szczytach władzy u boku samego premiera. Rzecz dotyczy wszak jednego z jego najbliższych współpracowników, który miał na prawo i lewo brać łapówki w zamian za rozdawanie publicznych stanowisk. Patologie miały obejmować największe polskie przedsiębiorstwa państwowe, strategiczne dla bezpieczeństwa państwa.

Skazanie Nowaka oraz ważnych menedżerów z publicznych koncernów kazałoby spytać, ile wiedział o tym Tusk, dlaczego nie zapewnił parasola antykorupcyjnego swojemu pupilowi, kto naprawdę zarządzał Skarbem Państwa w czasie jego pierwszych rządów?

Z afery pozostał więc na razie wielki smród oraz wyroki skazujące byłego dowódcę jednostki GROM oraz przyjaciela i współpracownika Nowaka, których wyjaśnienia sądy uznały za w pełni wiarygodne. Mamy też otwarty proces dotyczący milionów przekazywanych pod stołem na Ukrainie. To wciąż pewne zagrożenie, ale już oddalające cień z okolic samego Tuska.

Ktoś musiał zapewne uznać, że warto było zatem podjąć ryzyko i brutalnie przejąć prokuraturę, nie oglądając się na przepisy. Bo przecież cel uświęca środki.

eprasa.pl 7432f6a181

Im częściej prezes PSL jest namawiany do zmiany układu rządzącego i objęcia funkcji premiera, tym bardziej staje się to nierealne

Ostatnie kuszenie Władysława

STANISŁAW JANECKI

To Szymon Hołownia odpowiedział na pytanie skierowane właściwie do Władysława Kosiniaka-Kamysza – chodziło o kuszenie, by zmienić koalicję i doprowadzić do odwrócenia rządzącego układu. Założyciel Polski 2050 chciał ukraść show prezesowi Polskiego Stronnictwa Ludowego, dlatego powiedział: „Do mnie PiS przychodzi siedem razy dziennie i pyta, kiedy zrobimy koalicję, a ja odpowiadam tak samo: we czwartek, niezależnie, jaki mamy dzień tygodnia". Kosiniak-Kamysz by tak nie odpowiedział. Dlaczego?

Może dlatego, że opowiadanie o tym, iż już za chwilę PSL wykona woltę, porzuci Donalda Tuska i zawiąże koalicję z obecną opozycją, ma już tyle odcinków, ile turecki bądź brazylijski serial. Najnowszy to reakcja na tekst „Rzeczpospolitej" z 5 lutego 2026 r. Mówi się w nim, że PiS po raz kolejny zaproponowało PSL utworzenie tzw. rządu technicznego z obecnym wicepremierem, szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem na czele. Aby to uwiarygodnić, sypią się plotki (zresztą po raz kolejny), jakoby za ofertą dla prezesa PSL stali Amerykanie. To także kolejna odsłona koncepcji, iż administracja Donalda Trumpa mogłaby ograniczyć kontakty szefa MON z Pentagonem i Białym Domem, jeśli ten nie zdecyduje się na zmianę układu rządzącego. Podaje się nawet szczegóły (raczej wymyślone), że ambasador USA Tom Rose rozważa – a nawet próbuje – obalić rząd Tuska,

Fot. Andrzej Wiktor

by wciągnąć szefa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza w budowę nowej koalicji – z PiS i Konfederacją lub z PiS i Polską 2050. Pogorszenie relacji z USA po „wyskokach" Włodzimierza Czarzastego miałoby się stać dobrym pretekstem do wykonania politycznej wolty, co podobno jakiś ważniak (oczywiście tajny) z Waszyngtonu tłumaczył Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi. A potem zaczęły się insynuacje, że skoro relacje PSL z Lewicą są złe, a będą jeszcze gorsze, zaś stosunki z Koalicją Obywatelską są skrajnie złe, nie ma na co czekać.

Już w czerwcu 2025 r. pojawiły się plotki, że Amerykanie sondują możliwość stworzenia koalicji PiS z PSL i Polską 2050. Miały temu służyć spotkania Szymona Hołowni i Michała Kamińskiego z Jarosławem Kaczyńskim w domu Adama Bielana. Nie podano tylko, kto reprezentował Amerykanów, choć podejrzewani byli i Kamiński, i Bielan.

ZA, A NAWET PRZECIW

W PiS dominuje przekonanie, że obecnie – gdy Polsce 2050 grozi rozpad, a większość klubu to zwolennicy Donalda Tuska, którzy nie zamierzają zmieniać rządzącego układu – trudno liczyć na rozbicie koalicji rządzącej. Mówi się też, że Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak z Konfederacji nie mają interesu w tworzeniu teraz rządu, bo jeśli poczekają, wezmą znacznie większą pulę. Oczywiście kosztem Prawa i Sprawiedliwości. Okazało się też, że Władysław Kosiniak-Kamysz wcale się nie wyrywa, by stanąć na czele „rządu technicznego", choć nie wszyscy ludowcy wykluczają nową koalicję.

Pozytywnie o Kosiniaku-Kamyszu wypowiedział się wiceprezes PiS Joachim Brudziński, który stwierdził (w Polsat News), że gdyby Polską rządził prezes PSL, a nie Donald Tusk, nasz kraj „byłby w innym miejscu". Dlatego, że „przy całym moim krytycznym stosunku do PSL, do Kosiniaka-Kamysza, uważam, że mniej szkodzi Polsce niż Donald Tusk". Na słowa Brudzińskiego odpowiedział senator PSL Jan Filip Libicki, który stwierdził: „Bylibyśmy gotowi rozmawiać z PiS o wspólnym rządzie pod jednym warunkiem – że prezesem PiS nie będzie Jarosław Kaczyński, bo jest to człowiek, który koalicję rozumie wyłącznie w ten sposób, że zawiera ją tylko dlatego, żeby pożreć koalicjanta". Co oznacza, że w PSL nie chcą żadnej koalicji z PiS, ale senator Libicki nie należy do tych polityków, którzy są w wąskim kręgu wtajemniczenia. Bo koledzy uważają, że „za dużo gada", a jeszcze więcej robi, żeby podpuszczać albo mylić tropy. Nawet poseł Marek Sawicki – o wiele bardziej miarodajny, gdy chodzi o dostęp do tajemnic PSL niż senator Libicki – przestał mówić o ewentualnej zmianie koalicji, choć wcześniej robił liczne „wycieczki" w tej sprawie, czyniąc zamieszanie w opozycji, koalicji oraz szeregach własnej partii. Aż wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski musiał zapewniać, że Sawicki może mówić, co chce, a rządząca obecnie koalicja nie musi na to reagować.

Dotychczas za opowieściami o rychłej zmianie koalicji nic nie szło. A nawet słyszeliśmy zapewnienia prezesa Kosiniaka-Kamysza, że jest suwerenny i samodzielny, więc nikt go nie będzie wpychał w żadne układy, sam zaś wpychać się nie chce. „PSL nie było, nie jest i nie będzie niczyim wasalem" – grzmiał Władysław Kosiniak-Kamysz 20 lipca 2024 r. na posiedzeniu Rady Naczelnej Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jedni zinterpretowali to tak, że ludowa partia nie chce być skazana na bezwzględne podporządkowanie się Donaldowi Tuskowi. Inni przeciwnie – że nic się nie zmieni. Głównie dlatego, że Kosiniak-Kamysz jest fundamentalnie niezdolny do politycznego ojcobójstwa Donalda Tuska. Nawet gdyby premiera nie traktować jak ojca Kosiniaka-Kamysza, to na Brutusa nie nadaje się tym bardziej. O ile ktokolwiek w PSL się na to nadaje.

Przecież zapowiedzi buntu to żadna nowość w historii Polskiego Stronnictwa Ludowego po 1990 r. (wtedy partia zaczęła formalnie działać jako PSL), choć rzadko skutkująca rozpadem koalicji rządzącej. Wprawdzie 3 marca 2003 r. ministrowie z PSL w rządzie Leszka Millera zostali odwołani „za wywoływanie konfliktów" i gabinet stał się mniejszościowy, a potem lewica poniosła klęskę, ale Stronnictwo jest bardzo ostrożne i zachowawcze, gdy chodzi o zmianę politycznych układów.

TEATR LUDOWY

Gdy Polskie Stronnictwo Ludowe współrządzi, jego manewry to najczęściej tylko teatr, bo najważniejsze dla tej partii jest utrzymanie się u władzy. Teatrem był także „numer" partii Władysława Kosiniaka-Kamysza, gdy pomogła w utrąceniu w Sejmie ustawy dekryminalizującej aborcję – PSL nie ponosiło wtedy żadnego politycznego ryzyka. Przez większą część swego istnienia w III RP Polskie Stronnictwo Ludowe było nastawione na współpracę z lewicą. Jego działacze przypominali sobie o swoim konserwatyzmie i dziedzictwie Wincentego Witosa w ważne święta narodowe, hucznie obchodzone rocznice i kiedy chcieli coś na tym ugrać. Nie inaczej było w sprawie aborcji i związków partnerskich.

Obecnie PSL i jego prezes Władysław Kosiniak-Kamysz są na etapie podkreślania konserwatyzmu, co wynika z czystej kalkulacji: korzystne jest granie takiej roli w koalicji, w której pozostałe ugrupowania (Koalicja Obywatelska, Nowa Lewica, Polska 2050) pozostają lewicowo-liberalne. A sondaże pokazują, że przesuwanie się w lewo tylko powoduje straty. Ale nawet mimo tego koniunkturalizmu w PiS panuje powszechne przekonanie, że partia Kosiniaka-Kamysza to jedyne „słabe" ogniwo koalicji 13 grudnia – czyli takie, które nie będzie „ginąć za Tuska", nie będzie przy nim „stać do końca". Polska 2050 Szymona Hołowni, a także jej aktualna wersja pod wodzą Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz też nie jest skłonna „polec za Tuska", ale jak szef rozkaże, to w PSL pójdą za nim wszyscy, natomiast w Polsce 2050 – najwyżej połowa.

Na posiedzeniu Rady Naczelnej partii 20 lipca 2024 r. prezes Kosiniak-Kamysz mówił: „To my zdecydowaliśmy, że po raz kolejny premierem jest Donald Tusk. [...] Każda partia tworząca naszą koalicję [...] ma prawo do szacunku wobec swoich poglądów. Ma prawo do szacunku wobec swoich przekonań, do swoich myśli, światopoglądów, do tego, jak postrzega rzeczywistość. [...] I my to

eprasa.pl 7432f6a181

mówimy wprost tym, z którymi się nie zgadzamy w niektórych kwestiach, czy z naszego obozu, czy ze strony naszych oponentów politycznych". To oznaczało, że jednak nie ma zagrożenia dla obecnej koalicji.

Prezes PSL – zwykle kwieciście i melodramatyzując – dodaje sobie animuszu, gdy pojawiają się plotki o jego gotowości do „zdrady" Tuska: „My się w swoich działaniach nie obawiamy ani biskupów, ani lewaków, bo postępujemy zgodnie z własnym sumieniem. Gdybyśmy się bali jednych, nigdy nie weszlibyśmy w koalicję z Tuskiem. Gdybyśmy się bali drugich, nie bylibyśmy w stanie głosować za naszymi wartościami". Tyle że to tylko tekst „zaporowy", zastępujący prężenie muskułów, ale bez większego praktycznego znaczenia.

BUNTOWNIK BEZ BUNTU

Wprawdzie Donald Tusk nigdy nie zaatakował swego wicepremiera, ale w jego imieniu robią to inni, choćby prof. Magdalena Środa czy prof. Radosław Markowski. Po kłótni o aborcję Środa stwierdziła: „Minister wojny, katolik-rozwodnik, Kosiniak-Kamysz, znany powszechnie jako obrońca nienarodzonych, przeciwnik praw kobiet i osób LGBT+. Wrażliwość pana ministra na życie istot słabych i bezbronnych ogranicza się wyłącznie do ludzkich zarodków; zresztą w jego zawodowym życiu nie chodzi o obronę życia, a o zdobywanie głosów". Z kolei Markowski uderza w PSL twierdząc, że rolnicy to pasożyci, żyjący kosztem innych grup społecznych, a pomoc publiczna dla nich to właściwie złodziejstwo. Podobnie jak kompletnie bez sensu ma być unijna polityka rolna premiująca rolników.

Im więcej plotek o zdradzie, tym bardziej gra nimi prezes PSL, uważając je za argument przetargowy wobec premiera Tuska. „Pozwólcie mi działać, pozwólcie pokazać, że konserwatyści też mogą mieć w tym rządzie reprezentację, a stworzymy stabilny rząd, który przez lata będzie mógł rządzić Polską" – uderza prezes PSL w patetyczne tony. Tym samym daje do zrozumienia, że bez ludowców ani rusz, więc lepiej, żeby Donald Tusk go nie wkurzał. Nawet w PSL można jednak usłyszeć, że choć Tusk nieustannie denerwuje Kosiniaka-Kamysza, ten i tak nic nie robi, a już bunt czy zdrada w ogóle nie leżą w jego naturze. Przynajmniej wobec silniejszego, bo wobec słabszego jak najbardziej, o czym najboleśniej przekonał się Paweł Kukiz.

Przez ponad dwa lata udziału w rządzie Donalda Tuska Władysław Kosiniak-Kamysz w ogóle nie reagował na działania będące ewidentnym łamaniem prawa i konstytucji, demonstracją przemocy, a nie dialogu i poszukiwania pozytywnych rozwiązań. Jego problemem jest to, że w sytuacjach kryzysowych zwykle się boi, szczególnie przy atakach personalnych. A te mają go zmiękczyć, żeby całkowicie podporządkował się Donaldowi Tuskowi. Tak jak wtedy, gdy w drugim rządzie Tuska był ministrem pracy i polityki społecznej i firmował dwa najbardziej „antyspołeczne" posunięcia tego gabinetu, czyli podniesienie wieku emerytalnego i przejęcie 153 mld zł z Otwartych Funduszy Emerytalnych. Politycy PSL twierdzą, że ich prezes po raz drugi nie da się już tak wrobić, bo tamto upokorzenie i wykorzystanie pozostało w pamięci. A także wspomnienie o długoletnim koniunkturalizmie ludowej partii.

> PSL to partia chyba najbardziej establishmentowa, pozostająca u władzy najdłużej ze wszystkich, które dotychczas rządziły (przez prawie 17 lat). Dlaczego? Bo jest bardzo ostrożna i zachowawcza, gdy chodzi o zmianę układów politycznych

NA ZAWSZE ESTABLISHMENT

Pod praktycznie każdym przywództwem Polskie Stronnictwo Ludowe było najbardziej obrotową partią po 1990 r., czyli od jej przemalowania. Ludowi liderzy lubią pozować na konserwatystów i chełpią się programową odrębnością, a nawet opozycyjnością, tyle że PSL to partia chyba najbardziej establishmentowa, najdłużej pozostająca u władzy ze wszystkich, które dotychczas rządziły (przez prawie 17 lat). Stronnictwo współrządziło albo z lewicą (w latach 1993–1997 oraz 2001–2003), albo z liberałami (w latach 2007–2015), albo w wielkiej koalicji liberałów i lewicy (po 13 grudnia 2023 r.).

W PiS liczą na to, że właśnie establishmentowość PSL – a przede wszystkim jego przywiązanie do władzy – można wykorzystać przeciw Tuskowi. Jego trzeci rząd traci najwięcej i w najkrótszym czasie, co widzą także liderzy PSL. To mogłoby stanowić podstawę do negocjacji w sprawie zmiany układu rządzącego, ale przez dwa ostatnie lata nie stanowiło. Politycy PiS zakładają, że każde „spiskowanie" z PSL jest ryzykowne, ale jeśli to jedyna możliwość przerwania rządów Tuska, gra jest warta podjęcia. To także może być teatr w wydaniu polityków PSL, ale w 2003 r. podobny teatr doprowadził do przesilenia, a dwa lata później do zasadniczej zmiany układu rządzącego Polską. Tylko że wtedy PSL prezesował Jarosław Kalinowski, który wprawdzie był cwany, ale nie tak jak Władysław Kosiniak-Kamysz. Nawet bliscy współpracownicy mówią, że to wielki cwaniak, cyniczny do szpiku kości, będący w stanie zmylić wszystkich, którzy go nie znają i biorą za dobrą monetę jego pozowanie na politycznego „prawdziwka". Inni mówią, że „Władkowi najlepiej wychodzi granie poczciwiny, otwartego na nowości. Pod warunkiem, że to »piosenki, które znamy«". A w repertuarze PSL i jego prezesa nie jest znana żadna piosenka opowiadająca o choćby szczątkowym uczuciu między Prawem i Sprawiedliwością a Polskim Stronnictwem Ludowym.

eprasa.pl 7432f6a181

Nawrocki kole ich w oczy

Karol Nawrocki cieszy się zaufaniem ponad połowy Polaków. Nikt inny w polskiej polityce nie osiąga dziś takich wyników. Donald Tusk zrobi więc wszystko, aby zohydzić wizerunek prezydenta, uderzyć w jego autorytet i tym samym pozbawić go siły politycznej

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zgodnie z pierwotną, jeszcze starożytną ideą igrzyska olimpijskie miały być chwilą wytchnienia od wojny. W ich trakcie rywalizacja powinna mieć charakter wyłącznie sportowy. Oczywiście dziś nikt tego nie przestrzega, ale podczas igrzysk warto przynajmniej odsunąć polityczne konflikty na dalszy plan.

Obecna ekipa rządząca nie zdołała zdać nawet tego – wydawałoby się – bardzo prostego egzaminu z powściągliwości. Podczas ceremonii otwarcia zimowych igrzysk olimpijskich Mediolan-Cortina we Włoszech dwaj komentatorzy telewizji rządowej, Piotr Sobczyński i Marek Rudziński (jeśli wierzyć Wikipedii, ten ostatni zajmuje się sportem w mediach państwowych od czasów stanu wojennego), postanowili „nie zauważyć" obecności prezydenta Karola Nawrockiego na uroczystości. Ich sokole oczy dostrzegły za to ministra sportu Jakuba Rutnickiego, który biegał po trybunach z wymiętoloną flagą narodową. „W ceremonii otwarcia bierze udział minister sportu i turystyki Jakub Rutnicki, który reprezentuje rząd podczas tych igrzysk" – deklamował na antenie Piotr Sobczyński.

I choć szef TVP Sport Jakub Kwiatkowski zaprzeczał, jakoby ktokolwiek wywierał naciski na komentatorów, to przecież trudno uwierzyć, że sami z siebie wykazali się tak skrajną niekompetencją. Zdaniem dawnego komentatora sportowego TVP Krzysztofa Miklasa prawdopodobnie zdecydował o tym strach przed utratą pracy.

> Taktyka opluwania prezydenta działa nie tylko na motłoch. Dzięki niej przesuwane są granice przyzwoitości – czy może raczej nieprzyzwoitości – w życiu publicznym

MACHINA PROPAGANDY

Ponadtrzygodzinną ceremonię otwarcia zimowych igrzysk olimpijskich obejrzało w TVP ponad 2,5 mln widzów. I w tej liczbie tkwi odpowiedź na pytanie, dlaczego telewizja publiczna w wiecznej likwidacji postanowiła „nie zauważyć" Karola Nawrockiego. Prezydent został bardzo dobrze przyjęty, dlatego nie wolno było o tym wspominać. Promowano za to drugoligowego ministra od Tuska – człowieka przypadkowego i bez większego znaczenia.

To nie pierwszy taki eksces politruków z Woronicza. W grudniu 2025 r. przerwano transmisję przemówienia Karola Nawrockiego w chwili, gdy podczas obchodów rocznicy powstania wielkopolskiego wspomniał on o konieczności obrony zachodniej granicy Polski. Cenzura była ostentacyjna, ewidentnie wyglądało to na szybki telefon od kogoś z góry.

Neo-TVP od dawna blokuje prezydenta, co oczywiście nie oznacza, że jest on nieobecny na tej antenie. Nawrocki pojawia się w telewizji rządowej bardzo często, ale wyłącznie w roli tarczy strzelniczej – jako obiekt ataków i oszczerstw. Było to szczególnie widoczne podczas kampanii prezydenckiej, gdy ekipa z Woronicza na bieżąco relacjonowała rynsztokowe afery sprokurowane przeciwko ówczesnemu kandydatowi prawicy.

Politrucy z Woronicza – podobnie zresztą jak inne telewizje głównego nurtu – szczerze nie znoszą prezydenta i często mają osobiste powody, aby obawiać się jego popularności. Najbardziej zaś boją się jego publicznych wystąpień i spontanicznych kontaktów ze zwykłymi ludźmi, bo to właśnie w ich trakcie ujawnia się charyzma Karola Nawrockiego.

Oczywiście nie oznacza to, że mamy tu do czynienia z własną linią polityczną funkcjonariuszy reżimowej telewizji. Bo choć fanatyków obecnej władzy wśród nich nie brakuje, to TVP w likwidacji jest przede wszystkim częścią machiny propagandowej nakręcanej przez ekipę Tuska. Dlatego nic nie dzieje się tam przypadkiem. Jeśli trwa nagonka na Karola Nawrockiego, to z inspiracji lub wskutek poleceń płynących z góry. Z realizacją misji publicznej ma to niewiele

eprasa.pl 7432f6a181

TVP nie zauważyła prezydnta Karola Nawrockiego na otwarciu ZIO we Włoszech

Pogarda i rytualna odraza do Nawrockiego mieszają się z zazdrością i podziwem. Bo on jest fajniejszy, ma twardy kręgosłup, charyzmę – cechy, o których przedstawiciele liberalnych elit mogą tylko pomarzyć

wspólnego. Zamiast tego widzimy wielki kombinat pracujący na rzecz obecnego rządu oraz samego Tuska.

Premierowi musi na nim bardzo zależeć – wystarczy policzyć, ile pieniędzy przepuszczono na propagandę. Zohydzanie PiS i kampania przeciw Nawrockiemu to przecież strategiczna inwestycja, która ma się zwrócić podczas kolejnych wyborów. Jeśli tak na to spojrzymy, to incydent z otwarcia zimowej olimpiady przestaje być już tylko „drobną uszczypliwością", a staje się elementem szerszego planu politycznego.

ZADŻUMIONY

Tusk zawsze uważnie czytał sondaże. Wynika z nich, że Karol Nawrocki cieszy się zaufaniem ponad połowy Polaków (52 proc. według ostatniego badania CBOS). Nikt inny w polskiej polityce nie osiąga dziś takich wyników. Szef rządu zrobi więc wszystko, aby zohydzić wizerunek prezydenta, uderzyć w jego autorytet i tym samym pozbawić go siły politycznej. Zaplecze medialne KO ma spore doświadczenie w wylewaniu pomyj – dowodem była brutalna kampania oszczerstw rozpoczęta przed ostatnimi wyborami prezydenckimi. Zresztą wszystko wskazuje na to, że nigdy nie została ona odwołana i teraz powraca w nowej odsłonie.

Oczywiście pozostają w niej wątki plugawe, adresowane do najbardziej prymitywnej części elektoratu KO: o kibolskich ustawkach, gangsterach, alfonsach, wśród których miał się obracać Nawrocki. Niewiele brakuje, aby fanatycy tego rządu umieścili go wśród bohaterów afery Epsteina. Kto zresztą wie, czy groteskowy zespół śledczy powołany w tej sprawie przez Tuska nie znajdzie „dowodów" na kontakty prezydenta z ludźmi od tego przestępcy seksualnego? W końcu Donald Trump miał epizod znajomości z nieżyjącym seksaferzystą, a ponieważ Nawrocki zna prezydenta USA, to dlaczego nie ułożyć tego w jedną całość? W sam raz na poziom intelektualny ośmiogwiazdkowego motłochu.

Taktyka opluwania głowy państwa działa jednak nie tylko na motłoch. Dzięki niej przesuwane są granice przyzwoitości – czy może raczej nieprzyzwoitości – w życiu publicznym. Trochę przypomina to dawne wyczyny palikociarzy w stosunku do Lecha Kaczyńskiego, którzy posuwali się w swoich łajdactwach coraz dalej, aż w końcu stały się one normą.

Spójrzmy na posła tzw. Nowej Lewicy Tomasza Trelę. Publicznie nazywa prezydenta „panem Karolem" i wygraża mu „lewym sierpowym". To oczywiście chamstwo, ale ma swój cel. Chodzi o to, aby taki język w stosunku do prezydenta przestał budzić oburzenie i stał się czymś powszechnym, a w każdym razie akceptowalnym. Oczywiście gdyby na czele państwa stał Rafał Trzaskowski albo ktoś inny z otoczenia Tuska, o takich ekscesach nie byłoby mowy. Skoro jednak w wyborach zwyciężył Karol Nawrocki, to trzeba demonstrować wobec niego brak szacunku i werbalnie go delegitymizować. Bo przecież w sformułowaniu „pan Karol" jest zawarta delegitymizacja. Ktoś, kto nazywa tak Nawrockiego, daje do zrozumienia, że nie uważa go

Fot. ©Mikołaj Bujak/KPRP

eprasa.pl 7432f6a181

za prezydenta. To zresztą nic nowego – przerabialiśmy to w czasach rządów PiS, gdy w liberalnych mediach i na kodziarskich demonstracjach, również odmawiano uznania ówczesnej władzy.

Dziś znów próbuje się stworzyć taką atmosferę. Była mowa o ignorowaniu głowy państwa przez neo-TVP, ale zjawisko jest szersze. Podobnie zachowała się przecież dyrekcja Muzeum Auschwitz, gdy podczas rocznicy wyzwolenia obozu nie dopuszczono do głosu prezydenta Nawrockiego. Władze placówki tłumaczyły się pokrętnie zasadami „protokołu", wyjaśniając m.in., że nie przewiduje on publicznych wystąpień gości, choć dla wiceszefa Google zrobiono wyjątek.

Karol Nawrocki ma być traktowany jak zadżumiony. Jeśli ktoś zbliży się do prezydenta, odniesie się do niego z szacunkiem i kurtuazją, naraża się na środowiskowy ostracyzm. To metoda, którą liberalny salon stosuje od początku istnienia III RP. Każdy z tego kręgu doskonale o tym wie, dlatego nigdy nie będzie ryzykował. Mówimy przecież o tchórzach, konformistach i karierowiczach, którzy drżą na samą myśl o tym, że ktoś mógłby im wytknąć nieprawomyślność.

PIZZA Z TUSKIEM

Co ciekawe, ta pogarda i rytualna odraza do Nawrockiego mieszają się z zazdrością i podziwem. Bo on jest fajniejszy, ma twardy kręgosłup, charyzmę – cechy, o których przedstawiciele naszych liberalnych elit mogą tylko pomarzyć.

Tusk nie znosi Nawrockiego, bo ten odebrał mu – i całej dawnej Platformie – patent na bycie fajnym. Mimo to bardzo chce go naśladować. Szefa rządu musiał zaboleć słynny kebab, który prezydent zjadł z młodymi ludźmi w Wolanowie pod Radomiem. Warto tu przypomnieć, że Tusk już próbował udawać zwykłego faceta, gdy – jeszcze za swoich pierwszych rządów w latach 2007–2014 – kupił sobie hot-doga na stacji ORLEN. Tyle że w odróżnieniu od Nawrockiego zjadł go z dala od ludzi, na parkingu, gdzie samotnie pozował do zdjęcia. Trudno to nazwać spontaniczną sytuacją. Była to raczej jedna z wielu ustawek w rodzaju „premier zrobił zakupy w sklepie", które miały pokazać ludzkie oblicze antypatycznego Tuska.

Teraz znów uderzył w te tony, biorąc udział w ustawce z pizzą przyniesioną młodym piłkarzom w Gdańsku. Tuskowi spece od wizerunku nawet się nie wysilili na oryginalność i najzwyczajniej w świecie skopiowali pomysł Nawrockiego.

Pizza miała być nagrodą za 500 tys. lajków zebranych pod filmem z Tuskiem, który zamieszczono na TikToku. I choć nie zebrał on tylu polubień, premier i tak przyszedł z pizzą. Jego gest przeszedł jednak bez echa. Nic dziwnego, bo to Nawrocki pierwszy wpadł na ten pomysł. Tuskowi pozostało tylko naśladownictwo.

GRA O WSZYSTKO

Pizza to jednak drobiazg. Tusk mocno zazdrości Nawrockiemu wigoru na arenie międzynarodowej, tym bardziej że on sam jest pozbawiony jakichkolwiek zdolności na tym polu. Chce więc zniszczyć rywala i wejść w jego buty. A to może mieć już bardzo poważne i potencjalnie groźne konsekwencje dla naszego bezpieczeństwa.

> Głównym celem Tuska jest zdobycie pełni władzy. Wszystko wskazuje na to, że będzie on gotów zaryzykować przyszłość całego państwa, aby w końcu pozbyć się Nawrockiego

Antyamerykański ton, który ostatnio mocno pobrzmiewa w polityce Tuska, nie jest wyłącznie elementem szerszej niemieckiej gry międzynarodowej – ma również związek z sytuacją w Polsce. Otóż w odróżnieniu od Tuska i jego podkomendnych Nawrocki potrafi aktywnie prowadzić politykę zagraniczną, co zresztą jest zauważane i doceniane przez dużą część polskiej opinii publicznej. Najważniejszym spośród aktywów prezydenta w tej kwestii jest dobry kontakt z Donaldem Trumpem, co niezależnie od oceny poszczególnych działań Białego Domu ma kluczowe znaczenie dla naszego bezpieczeństwa. Krótko mówiąc, to relacje Nawrockiego, a nie uniżone umizgi Tuska w Europie gwarantują Polakom poczucie bezpieczeństwa.

Szef obecnego rządu doskonale o tym wie, dlatego nie przejmując się trudną sytuacją międzynarodową, próbuje pozbawić prezydenta jego najważniejszego kapitału. Swoje relacje z obecną amerykańską administracją Tusk zdołał już zrujnować, więc nakręcając antytrumpowską spiralę, osobiście nie ma wiele do stracenia, może za to – jak sądzi – zyskać w kilku wymiarach. Po pierwsze, zapunktować u amerykańskich demokratów, po drugie, przysłużyć się Niemcom, a po trzecie – i z naszego punktu widzenia najważniejsze – usunięcie Amerykanów z Polski ma w oczach Tuska pokazać Polakom bezradność Nawrockiego i iluzoryczność jego dobrych relacji z Trumpem. Intryga polega więc na wypchnięciu prezydenta z polityki zagranicznej, aby głowa państwa przestała być jakąkolwiek alternatywą dla Tuska składającego pokłony w unijnych stolicach. Zmarginalizowanego i upokorzonego Nawrockiego byłoby wtedy łatwiej pokonać w kolejnych wyborach prezydenckich, szczególnie że jego rywalem ciągle chce być Radosław Sikorski – nieustannie przedstawiany przez prorządowe media jako rzekomy mistrz dyplomacji.

Głównym celem Tuska jest zdobycie pełni władzy. Dziś przeszkodą w realizacji tego planu jest już nie tylko PiS, lecz także – a może przede wszystkim – prezydent. To przecież zwycięstwo wyborcze Karola Nawrockiego najbardziej popsuło szyki ekipie Tuska, która gotowa była przeprowadzić zamach stanu, byle tylko zablokować tę prezydenturę. Od tamtej pory determinacja Tuska, aby dopiąć swego, wcale się nie zmniejszyła. Wszystko wskazuje na to, że jest odwrotnie i będzie on gotów zaryzykować przyszłość całego państwa, aby w końcu postawić na swoim. Niewykluczone, że z tego powodu czekają nas bardzo złe czasy.

eprasa.pl 7432f6a181

Miszalski zjednoczył wszystkich przeciwko sobie

Fot. Artur Barbarowski/East News

W Krakowie zmieniło się bardzo wiele: podniesiono ceny biletów, opłat za parkowanie. Dług narasta i to nie jest abstrakcyjny zapis księgowy. Na końcu wszyscy zapłacimy za to droższymi usługami publicznymi i nowymi opłatami

Z prawnikiem Janem Hoffmanem, przewodniczącym Rady i Zarządu Dzielnicy I Stare Miasto, jednym z inicjatorów referendum w Krakowie dotyczącym odwołania prezydenta miasta, rozmawia Jerzy Szmit

Dlaczego należy odwołać prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego?

Jan Hoffman: Po pierwsze, ze względu na kompletną nieumiejętność zarządzania, szczególnie finansami miasta. Nie przeprowadził pogłębionego, zewnętrznego audytu, który zapowiadał. W konsekwencji w niespełna dwa lata zadłużenie Krakowa wzrosło o niespełna 2 mld zł i wynosi prawie 8 mld zł. Nic nie wskazuje na to, aby obecny prezydent potrafił powstrzymać tę zapaść.

Może jednak te dodatkowe 2 mld zł coś zmieniły w Krakowie?

Zmieniło się bardzo wiele: podniesiono ceny biletów, opłat za parkowanie. Dług narasta i to nie jest abstrakcyjny zapis księgowy. Na końcu my wszyscy, mieszkańcy Krakowa, zapłacimy za to droższymi usługami publicznymi i nowymi opłatami. Będziemy musieli oddać każdą złotówkę wraz z odsetkami. Do tego dochodzi inna kwestia: sposób doboru kadr. W moim odczuciu problemem nie jest to, że wiele koleżanek i kolegów prezydenta znalazło zatrudnienie w miejskich instytucjach. Chodzi o to, jaką jakość prezentują. Prezydent zdaje się nie przywiązywać żadnej wagi do kompetencji, jakie powinny posiadać wskazywane przez niego osoby.

Proszę podać najbardziej rażący przykład.

Podam dwa: młoda dziewczyna, 19-latka, była asystentką społeczną prezydenta. Wygrała konkurs na Rzecznika Praw Ucznia. Media podawały, że co prawda najsłabiej napisała część pisemną, ale nadrobiła w części ustnej. Problem polega na tym, że rzecznik praw ucznia jest instytucją, która wymaga wiedzy prawnej, być może też psychologicznej i przede wszystkim doświadczenia życiowego. Pamiętajmy, że tam czasami trzeba rozstrzygać sprawy, których nie ma w podręcznikach licealnych. Zatrudnienie 19-latki na tym stanowisku jest po prostu niepoważne. Ta osoba mogłaby pracować w biurze rzecznika. Młode spojrzenie mogłoby być wartościowe, natomiast powierzenie jej funkcji Rzecznika Praw Ucznia wydaje się ośmieszać tę instytucję. Zwłaszcza że jest to pierwszy krakowski rzecznik. Drugi przypadek, jeszcze bardziej rażący. Mamy do czynienia z mężczyzną, który nazywa się Szczęsny Filipiak. Jest szefem krakowskich struktur PO i bliskim przyjacielem Aleksandra Miszalskiego. Dostał pracę w Krakowskim Holdingu Komunalnym, najważniejszej spółce miejskiej – jako doradca prezesa. Dziennikarze znaleźli informację, że Filipiak skończył zawodówkę fotograficzną. W wywiadzie dla

eprasa.pl 7432f6a181

jednego z lokalnych mediów stwierdził on, że może jest po takiej szkole, ale doradza w zakresie ubezpieczeń, a kiedyś je sprzedawał. Takie przypadki wydawały się niemożliwe, chyba że w „Karierze Nikodema Dyzmy" albo w „Misiu". Teraz przeżywamy to w Krakowie.

Czyli finanse i sprawy kadrowe?

Nie tylko. W Krakowie byliśmy przyzwyczajeni do poważnych prezydentów, którzy godnie reprezentowali urząd. Do perfekcji doprowadził to prezydent Majchrowski. A Miszalski rozpoczął swoją prezydenturę od festiwalu rolek. Kopał piłkę w urzędzie, zaprosił tam swojego psa, występował z mopem albo analizował różnice między preclem a obwarzankiem. Wydawało się, że to nieszczęśliwy początek, ale ta sytuacja narasta. W kolejnym roku zaśpiewał na dachu magistratu. Wystąpił też przed studentami, pozytywnie reagując na okrzyki, żeby pokazał pewną część ciała. To są rzeczy zupełnie nielicujące z powagą urzędu.

Było jeszcze osiem gwiazdek na czole Miszalskiego.

To było jeszcze zachowanie posła. Oczywiście parlamentarzyści też powinni się zachowywać w sposób kulturalny i stonowany, ale niestety nie jest to powszechnie praktykowanym zwyczajem. I ta uwaga dotyczy w zasadzie przedstawicieli wszystkich opcji politycznych, bo niestety w każdym klubie parlamentarnym poziom posłów jest mniej lub bardziej zróżnicowany. Natomiast we wspomnianych wcześniej przeze mnie sytuacjach mieliśmy już do czynienia z urzędującym prezydentem Krakowa. To niezwykle prestiżowa funkcja i oczekujemy od niego godnego zachowania oraz reprezentacji. Natomiast to, co opisałem, jest kompromitujące dla urzędu.

W Polsce głośnym echem odbiły się protesty przeciwko Strefie Czystego Transportu.

SCT to tylko jeden z wielu błędów administracji prezydenta Miszalskiego. Myślę, że nawet bez tej sprawy zdecydowalibyśmy się na referendum. Oczywiście sposób wprowadzenia Strefy budził niezadowolenie wielu mieszkańców Krakowa. Jej obszar narzucono administracyjnie, wbrew opinii Krakowian. Magistrat oświadczył: „Musimy to zrobić, więc nie będziemy was słuchać".

Dlaczego „musimy"?

Ze względu na przekroczenie normy zanieczyszczenia. Żaden przepis nie określa jednak wielkości strefy. W Warszawie obejmuje 7 proc. powierzchni miasta, a w Krakowie – 60 proc. Mógłbym długo wyliczać przykłady niespójności i braku logiki w regulacjach dotyczących SCT. Tu nawet nie chodzi o spór wokół samej idei strefy, ale o kiepską jakość przepisów, które zapisano w tej uchwale. Dla wielu osób są one rażąco niesprawiedliwe.

> W Krakowie byliśmy przyzwyczajeni do poważnych prezydentów, którzy godnie reprezentowali urząd. A Miszalski rozpoczął swoją prezydenturę od festiwalu rolek...

A co obiecywał Miszalski w czasie kampanii wyborczej?

Prezydent Miszalski złożył ok. 150 bardzo konkretnych obietnic skierowanych sektorowo do konkretnych środowisk. Np. obiecał bon na sport – teoretycznie dla mieszkańców – ale na końcu miało być wsparcie dla klubów. Obiecał roczny bilet na komunikację miejską dla studentów za 365 zł. W kampanii nagrywał rolki, pytając, co można kupić w Krakowie za złotówkę. No niewiele, ale mówił, że już wkrótce będzie można nabyć bilet całoroczny dla studenta w przeliczeniu na jeden dzień, czyli za 365 zł. Po czym wprowadził podwyżkę do 470 zł. Nie chodzi o to, czy te pomysły są dobre, czy złe, ale o to, że nie dotrzymał znacznej części obietnic.

Czyli chodzi o wiarygodność?

Tak. Nie wiem też, jak traktować wystąpienia prezydenta Miszalskiego, który wprowadzane przez siebie podwyżki przelicza na cenę piwa.

Taki luźny sposób bycia...

Może miał taki zamysł. Wrócę jeszcze do obietnic. Prezydent obiecywał też metro. Jako jedyny – podkreślam – kandydat mówił, że w 2028 r. wbijemy pierwszą łopatę. Wiadomo, że to niemożliwe, teraz jest już mowa o 2030 r. Taka korekta ma dla niego ten walor, że 2028 r. jest przed następnymi wyborami, a 2030 r. – już po wyborach. Cały czas nie mamy finansowania na metro. Nie wiemy, skąd przy tak zadłużonym budżecie wziąć wkład własny wynoszący ok. 1,5 mld zł. Nie ma żadnej specustawy, żadnego programu rządowego na taki cel.

A może trwają prace przygotowawcze, koncepcyjne?

Na razie powołał 4 zespoły, ostatni 67-osobowy, z czego bodaj 8 osób ma się zajmować PR. To hasło brzmiące jak propaganda rodem z PRL zmieszana z ChatemGPT: „Kraków wchodzi w tryb projektowy". Czytelnikom zostawiam ocenę, czy to tragedia, farsa, czy tragifarsa.

Wobec sposobu zarządzania Krakowem pada też zarzut, że wszystko zostało podporządkowane turystyce.

Ogólnie Kraków potrzebuje turystyki – na pewno pod względem ekonomicznym. Natomiast chodzi o to, żeby ograniczyć koszty społeczne tego, co ona przynosi. Mieszkańcom żyje się trudniej – mówię tutaj zwłaszcza w imieniu Starego Miasta, jestem przewodniczącym Rady tej dzielnicy.

Mieszkańców Krakowa przybywa czy ubywa?

W skali miasta przybywa, a na Starym Mieście – ubywa. To proces obserwowany także w ośrodkach turystycznych. Mieszkańcom trudniej się tutaj żyje. W zeszłym roku dotarłem natomiast do informacji, że w czasie, gdy prezydent pełnił funkcję przewodniczącego komisji turystyki i promocji Rady Miasta, był jednocześnie wspólnikiem w prywatnej

eprasa.pl 7432f6a181

spółce. Spółka ta – mówiąc kolokwialne – robiła interesy z miastem, zawierała z gminą liczne umowy. Radnemu nie wolno prowadzić działalności gospodarczej na majątku gminy, ale może być udziałowcem takiej spółki. Moim zdaniem to luka prawna. Nie stawiam zarzutu złamania prawa, ale uważam, że takie zachowania nie są pożądane w przestrzeni publicznej. Nawet jeżeli przepis tego nie zabrania, oczekiwałbym samoograniczenia w takich przypadkach.

Stawia się też zarzuty, że Krakowem rządzą deweloperzy.

Nie chcę tutaj oskarżać, bo nie mam bezpośrednich wskazówek świadczących o powiązaniach prezydenta z tą branżą. Prezydent wywodzi się z branży turystycznej, to oczywiste. W przypadku jego ewentualnych związków z branżą deweloperską jako prawnik nie mogę podpisywać się pod jakimiś twierdzeniami, nie mając pewności. Wiele środowisk podnosiło jednak kwestie niezwykłego rozmachu kampanii wyborczej, którą prowadził. Kandydat Miszalski był wszędzie, zdominował przestrzeń publiczną. To musiało kosztować, ale nie śledziłem źródeł finansowana jego kampanii.

Są jednak ustawowe limity wydatków w kampanii wyborczej.

Tak, są. Widocznie prezydent jest bardzo zręcznym negocjatorem i był w stanie wynegocjować stawki, które pozwoliły mu się zmieścić w limitach i zorganizować kampanię, która zalała całe miasto i skutecznie przyćmiła innych kandydatów.

Na temat kampanii wyborczej w Krakowie powstał film Mariusza Pilisa „Człowiek z dachu", wyszła książka Andrzeja Gajcego i Wojciecha Muchy „Kampania. Jak wygrać wybory i nie dać się złapać". Czy mają one wpływ na ocenę prezydentury Miszalskiego?

To interesujące pozycje, ale trudno mi szacować ich wpływ na nastroje w Krakowie.

Nie ma głosów: „Zostaliśmy oszukani i dlatego prezydentem został Miszalski"?

W bańce polityczno-medialnej takie głosy się pojawiają, ale uważam, że główne emocje w Krakowie wywołuje to, jakim prezydentem jest Miszalski, a nie sposób, w jaki został prezydentem.

Miszalski jest młodym politykiem, jego rywale również. Czy to pokoleniowa próba sił, kto przez długie lata będzie rządził w Krakowie podobnie jak prezydent Majchrowski?

Gdyby prezydent Miszalski był sprawnym zarządcą, miałby na to szanse. W Polsce stan prawa jest taki, że szefowie samorządów są bardzo trudno usuwalni. Mamy dwa przykłady: Wrocław – podjęto tam próbę referendalną, ale zbieranie podpisów nie wyszło. Najprawdopodobniej mieszkańcy są zadowoleni z prezydenta. I Zabrze – tam zbiórka podpisów szła bardzo dobrze. Widocznie ludzie nie byli zadowoleni ze sposobu zarządzania miastem i referendum się udało. Mam już natomiast pewność, że Krakowianie patrzą na Aleksandra Miszalskiego, podzielając bardziej emocje „zabrzańskie" niż „wrocławskie".

Wracając jeszcze do brudnej kampanii – czy boi się pan, że te metody wrócą, żeby przeszkodzić w referendum?

Oczywiście, są już pierwsze jaskółki wypuszczane z magistrackich pomieszczeń. To było do przewidzenia od początku. Np. kampania „Chroń swój pesel". Wiadomo, że jest on potrzebny, aby złożyć podpis popierający referendum. Gdyby to było szczere, należałoby nawoływać, aby mieszkańcy nie podpisywali się pod żadnymi listami w jakichkolwiek wyborach. A tu przecież jest oczywiste, że chodzi o zniechęcenie do popierania referendum. Poważniejszy problem stanowi to, że dochodzi już do pojedynczych fizycznych ataków na wolontariuszy. Nie oskarżam o nie prezydenta, ale jest dla mnie jasne, że robią to popierające go osoby. Dlatego zwróciliśmy się do niego z prośbą, aby wystosował apel do swoich zwolenników o powstrzymanie się od ataków, zwłaszcza fizycznych, na wolontariuszy zbierających podpisy. Niestety nasza prośba nie spotkała się do tej pory z pozytywnym odzewem. Prezydent po raz kolejny nie skorzystał z okazji do pokazania klasy.

Jak partie polityczne podchodzą do referendum?

Jako Komitet nie jesteśmy partyjni, ale działamy obok partii politycznych. Referendum nie jest przeciwko Donaldowi Tuskowi ani przeciwko poprzedniemu czy przyszłemu rządowi – jaki by nie był. To nasz krakowski problem z Aleksandrem Miszalskim. Ktoś musiał zainicjować proces sanacji życia politycznego w Krakowie i podjęliśmy się tego zadania.

Jakie siły wspierają referendum?

Z jednej strony popiera nas Aleksandra Owca, współprzewodnicząca partii Razem – krakowska radna zapowiedziała, że podpisze się pod referendum – a z drugiej strony w zasadzie wszystkie większe formacje prawicowe. Jeżeli patrzę na Konrada Berkowicza i Aleksandrę Owcę, to nie znajduję innych stycznych ich działalności niż to, że obydwoje podpiszą się pod listą referendalną i zakładam, że zagłosują za odwołaniem Aleksandra Miszalskiego. To coś niebywałego, że prezydent Krakowa potrafi zebrać przeciwko sobie tak różnych ludzi i środowiska.

Jak idzie zbieranie podpisów?

Na razie utrzymujemy tempo dwa razy większe, niż zakładaliśmy i mamy ponad 40 tys. podpisów. Chcemy zebrać ok. 100 tys. podpisów, bo zawsze jest potrzebna „górka".

Referendum jest jednocześnie za odwołaniem Rady Miasta?

Tak, każdy będzie dysponował dwoma głosami. Obecnie Rada jest całkowicie zdominowana przez Miszalskiego, w pełni realizuje jego politykę – stąd nasz wniosek.

Kto za Miszalskiego?

Ten, kto uzyska ponad połowę głosów w przyspieszonych wyborach. O naszych typach możemy porozmawiać po skutecznym odwołaniu Aleksandra Miszalskiego. Wskazywanie teraz jego potencjalnych następców spowodowałoby, że zostalibyśmy sklejeni z takim czy innym kandydatem. To jest referendum za odwołaniem złego prezydenta i o tym rozmawiamy. To się stanie.

eprasa.pl 7432f6a181

Weekend po polsku

Najświeższe informacje najlepszych publicystów i najśmieszniejsze formaty w polskiej telewizji czekają w każdy weekend na widzów wPolsce24

Tutaj w weekend po prostu trzeba zajrzeć. Najbardziej dynamicznie rozwijająca się stacja informacyjna w Polsce wprowadza nowe programy i dostarcza widzom to, do czego są przyzwyczajeni od dawna – jakość, prawdę i naprawdę polski, patriotyczny punkt widzenia.

NOWOŚCI I PUBLICYSTYCZNY OGIEŃ

Po jak zawsze wartym obejrzenia „Budzimy się", wiadomościach i prognozie pogody mamy bardzo mocne uderzenie. „Salon Dziennikarski" to absolutny top polskiej publicystyki telewizyjnej. Najlepsi konserwatywni komentatorzy, najważniejsze pytania, najbardziej pogłębione odpowiedzi – wszystko to co tydzień znajdziecie w programie naczelnego tygodnika „Sieci" Jacka Karnowskiego (emisja w każdą sobotę o godz. 9.15). Chętni na publicystyczną dokładkę powinni koniecznie skusić się na „Cogito... u Raczyńskiej", serwowane w każdą sobotę o godz. 13.55, a także „Bez Cenzury" (sobota i niedziela o godz. 17.05).

W międzyczasie zaś weekendowa nowość telewizji wPolsce24, a więc „Raport Extra" Marty Kielczyk. To przegląd najważniejszych wydarzeń tygodnia okiem kamery reporterów stacji. Kulisy polityki, zdobywane w najgorętszych momentach, komentarze, a także zwykłe sprawy zwykłych ludzi. W „Raporcie Extra" mogliśmy np. zobaczyć nocną wyprawę Piotra Czyżewskiego po skutej lodem Warszawie. Okazało się, że planeta jednak nie płonie, jak przekonywał jeszcze niedawno prezydent stolicy Rafał Trzaskowski. Przeciwnie – ona zamarzła, więc chodniki zamieniły się w tor łyżwiarski, autobusy z silnikami diesla kopcą na całego, a bezdomni z warszawskiej Strefy Czystego Transportu ogrzewają się w namiotach, do których prąd nie płynie bynajmniej z chińskiej fotowoltaiki czy niemieckich wiatraków, a ze starego, dobrego agregatu na ropę... Emisja „Raportu Extra" w każdą sobotę i niedzielę o godz. 10.00.

Wieczorem czas na weekendowe wydanie uwielbianego przez widzów „Minęła 20.05" (sobota, godz. 20.05) i często szalonego, gorącego, ale zawsze bliskiego ludzkim sprawom „Studia Magdaleny Ogórek" (niedziela, godz. 21.00).

TYLKO PRAWDA

Telewizja wPolsce24 to stacja informacyjna. Najgorętsze newsy nie mają wolnego, dlatego weekendowi widzowie na bieżąco otrzymują solidne porcje rzetelnych, przedstawianych z polskiego punktu widzenia wiadomości. Przygotowywany przez Mirosława Rogalskiego i spółkę „Tele-Ekspres" w sobotę i niedzielę nie tylko nie zwalnia, lecz wręcz przyspiesza ze swoim wyjątkowym zestawem najważniejszych tematów, rozrywki i zabawnych „michałków" (emisja o godz. 16.45). Najchętniej oglądany program informacyjny stacji, „Wiadomości", obejrzymy – jak w dni powszednie – o godz. 19.30. Do tego oczywiście „Raporty" i łączenia „na żywo", gdy tylko dzieje się coś naprawdę ważnego.

NA LUZIE

Weekend jest czasem odpoczynku, warto więc odsapnąć od codziennego napięcia, politycznych starć i komentatorskiej powagi. W sobotę i niedzielę telewizja wPolsce24 oferuje kilka bardzo lubianych, luźniejszych formatów. Widzowie bardzo polubili program Wiktora Świetlika, Wojciecha Surmacza i Marty Radziach „Zwalniamy Cię". W każdą niedzielę o godz. 14.00 autorzy „zwalniają" największych nieudaczników, leni i szkodników z rządu i okolic. A ponieważ tych nie brakuje, każdy program ma swoje tempo, a kolejne odcinki będą nam towarzyszyć jeszcze długo.

„Nie kryję, że inspirowaliśmy się programem »You're fired«, którego gwiazdą był

Autopromocja

eprasa.pl 7432f6a181

Donald Trump. A zwłaszcza jego nazwą. My też będziemy zwalniać, nie mogę się już tego doczekać" – śmiał się przed startem formatu Wiktor Świetlik. „Chcemy, żeby program był wesoły, bo sami jesteśmy wesołymi ludźmi. Ale będziemy dotykać spraw najważniejszych: niekompetencji rządzących, błędów, które popełniają i wpływu, jakie ich decyzje mają na życie zwykłych ludzi" – dodawał współautor „Zwalniamy Cię".

Udało się – program jest jedną z najmocniejszych weekendowych propozycji stacji. Oddanych widzów ma także „Nawrocki w Polsce". Daniel Nawrocki, syn prezydenta Karola Nawrockiego, co tydzień przedstawia ciekawych, często zupełnie niezwiązanych z polityką ludzi w ich naturalnym otoczeniu. Raperzy, influencerzy, sportowcy, a także wybitni profesorowie mogą tutaj szczerze opowiedzieć o swoim życiu, planach, marzeniach i porażkach. „Nawrocki w Polsce" gości na antenie stacji w każdą niedzielę o godz. 18.15.

Zupełnie inną, choć równie ciekawą próbą przełamania konwencji jest „Naga prawda Marianny Schreiber". Kontrowersyjna celebrytka zaprasza na swój program w każdą sobotę o godz. 18.15.

W sobotę o godz. 16.00 przed telewizorami zasiadają fani kultowego już „Bez Spiny". Wojciech Biedroń i Konrad Hryszkiewicz są z widzami już od wielu lat, wznosząc na wyżyny trudną sztukę humorystycznego komentarza politycznego. Tutaj nie oszczędza się nikogo, sejmowa rzeczywistość jest przedstawiana w krzywym zwierciadle, ale zawsze prawdziwie i bez owijania w bawełnę.

W sobotę o godz. 16.00 przed telewizorami zasiadają fani kultowego już „Bez Spiny". Wojciech Biedroń i Konrad Hryszkiewicz są z widzami już od wielu lat, wznosząc na wyżyny trudną sztukę humorystycznego komentarza politycznego

Setki tysięcy Polaków co wieczór oglądają „Politykę na deser", a więc wyjątkowe, prowadzone na luzie podsumowanie wydarzeń dnia. Nie inaczej jest w weekend. Najlepsi publicyści zapraszają na program z udziałem widzów w każdą sobotę o godz. 21.45.

Skoro o hitach mowa, nie można zapomnieć o bijącym rekordy oglądalności programie Krzysztofa Feusette'a. „Hity Feusette'a" mają formę przeglądu wydarzeń tygodnia. Bardzo autorskiego przeglądu – dodajmy.

„Będziemy jak zwykle kontemplować, podziwiać i zasłuchiwać się w najgłupszych, najbardziej bulwersujących, najbardziej kontrowersyjnych i najbardziej idiotycznych – nie bójmy się tego słowa – wypowiedziach członków rządu i całej koalicji 13 grudnia" – zapowiada swój program publicysta znany doskonale z łamów tygodnika „Sieci".

A że jest wprawnym DJ'em, widzowie nigdy się nie nudzą. Od ostatniego do pierwszego miejsca na jego liście mamy prawdziwą kaskadę głupoty i śmiechu. Ale jak tu się nie śmiać np. z nieprzesadnie rozbuchanej inteligencji Witolda Zembaczyńskiego z Koalicji Obywatelskiej, który w co drugim zdaniu mówi o prezydencie Karolu Nawrockim, że ten jest „wetomatem" i przekonuje łamaną polszczyzną, iż głowa państwa „wetuje wszystko", kiedy w rzeczywistości prezydent podpisał 147 ustaw rządu Tuska, a zawetował 26 z nich? Jak nie śmiać się z człowieka-mema, czyli Ryszarda Petru, który w TVN porównuje się do bohaterów naszych powstań narodowych, bo próbował przeprowadzić groteskowy puczyk w mającej śladowe poparcie partyjce Polska 2050? Nie da rady, trzeba się śmiać. Dzięki „Hitom Feusette'a" śmiejemy się do rozpuku co tydzień – w każdą niedzielę o godz. 20.05.

(AT)

eprasa.pl 7432f6a181

Dobrym rozwiązaniem byłby iloraz podatkowy. To system, w którym podatek dochodowy jest obliczany dla gospodarstwa domowego przy uwzględnieniu liczby dzieci i osób zależnych. W takich rozwiązaniach podatkowych chodzi zasadniczo o to, żeby rodzice, gdy już posiadają więcej dzieci albo chcą się decydować na kolejną pociechę, nie musieli stawiać czoła pogarszającej się sytuacji materialnej

Rząd jest ślepy na problem demografii

Z dr. hab. Michałem A. Michalskim, profesorem UAM, prezesem Fundacji Instytut Wiedzy o Rodzinie i Społeczeństwie oraz członkiem Rady Rodziny i Demografii przy prezydencie Karolu Nawrockim, rozmawia Dorota Łosiewicz

Dlaczego warto podejmować takie inicjatywy jak Dekalog Narodowego Przetrwania?

Michał A. Michalski: Sytuacja demograficzna Polski jest tak dramatyczna, że musimy o niej głośno mówić. Takich głosów powinno być więcej. Potrzebujemy i narodowej debaty o demografii, i konkretnych działań, bo inaczej sytuacja się nie zmieni. Nie ma dziś pilniejszego i ważniejszego tematu niż demografia. A określenie „Dekalog Narodowego Przetrwania" trafia w sedno problemu, adresuje go w sposób zintegrowany i odważnie nazywa wyzwania. Dziś potrzebujemy odważnych działań. Bez poważnego podejścia do demografii rozwiązywanie innych problemów nie ma sensu, są one bowiem wtórne wobec wyzwań demograficznych. Dekalog ma charakter spójny, adresuje problem w sposób zintegrowany i co ważne, nie sprowadza demografii wyłącznie do kwestii finansowych czy prawnych.

Pomówmy więc o jego kolejnych punktach: propaganda antyrodzinna.

To niezwykle istotne. Panuje kulturowy i medialny klimat, który jest wybitnie antyrodzinny. To nie tylko utrudnia życie rodzinom, lecz przede wszystkim kształtuje postawy młodych ludzi. To ich po prostu zatruwa, obrzydza im rodzinę. W sferze mediów młode Polki i młodzi Polacy mają dziś niewielkie szanse, by zetknąć się z przekazem pokazującym pozytywny obraz małżeństwa i rodziny. Mówiąc inaczej, obraz medialny nie tylko jest bardzo jednostronny, lecz także – co ważne – nie ma potwierdzenia w rzetelnych badaniach naukowych. I to jest bardzo nieuczciwe w odniesieniu

Fot. Radek Pietruszka/PAP, Shutterstock

eprasa.pl 7432f6a181

do młodego pokolenia, które często nie ma szans, by dotrzeć do autentycznych informacji i przekazów. Bardzo ciekawy jest także postulat przyznania rodzinom z dziećmi większych praw politycznych. Chodzi o to, aby rodzice mogli dokonywać wyborów politycznych w imieniu swoich nieletnich dzieci. Każdy, kto głosuje, dokonuje przecież wyboru dotyczącego przyszłych pokoleń, a w przypadku rodziców – także własnych dzieci. Według prawa dzieci nie mają głosu w sprawie swojej przyszłości, ale wydaje się, że byłoby sprawiedliwe, gdyby w ich imieniu mogli go zabierać rodzice. Warto o tym rozmawiać. Zresztą – i to warto podkreślić – autorzy „Dekalogu" nie twierdzą, że ich postulaty są jedynymi słusznymi i mają charakter skończony, ale że raczej wskazują kluczowe tematy do rozmowy. I to na pewno jest jeden z takich tematów.

Laicyzacja życia społecznego. Przekłada się na demografię?

Dowodzą tego wszelkie badania. Także te, które prowadziliśmy w Instytucie Wiedzy o Rodzinie i Społeczeństwie. Wynika z nich, że szczególnie w odniesieniu do młodych ludzi czynnikiem decydującym o tym, czy chcą zakładać rodzinę i kiedy chcą to zrobić, czy chcą mieć dzieci i czy chcą mieć ich więcej, jest właśnie religijność. Istnieje silna korelacja między wyższym poziomem religijności a wyższym wskaźnikiem dzietności. Osoby religijne częściej posiadają więcej dzieci. I jest to prawidłowość widoczna w skali światowej, co wynika m.in. z wyjątkowego statusu więzi małżeńskiej, dostrzegania wyjątkowości każdego życia, pielęgnowania wartości rodzinnych, bardziej tradycyjnego postrzegania ról oraz wsparcia wspólnoty. Należy podkreślić, że także system edukacji przyczynia się do tego, czy widzimy rodzinę jako coś pożądanego, czy wręcz przeciwnie. A w obecnym systemie edukacyjnym rodziny praktycznie nie ma. Uważam, że polska szkoła – niestety od lat – bardziej formatuje młodych ludzi do rynku pracy a nie do życia rodzinnego i budowania trwałych, autentycznych relacji, dających o wiele większą satysfakcję niż sukcesy materialne czy zawodowe.

NASZA AKCJA

Dekalog Narodowego Przetrwania

NASZA AKCJA

To inicjatywa zaproponowana przez redaktora Jacka Karnowskiego i socjologa Marka Grabowskiego, będąca odpowiedzią na dramatyczną sytuacją demograficzną naszego kraju. Zawiera propozycje działań, które mogą zahamować ten proces:

1. Zakaz propagandy antyrodzinnej.
2. Przyjęcie założenia, że misją każdej kobiety i mężczyzny jest posiadanie potomstwa.
3. Przyznanie rodzinom z dziećmi większych praw politycznych.
4. Progresywne programy socjalne.
5. Wychowanie młodego pokolenia maksymalnie poza wpływem mediów społecznościowych.
6. Wzmocnienie treści narodowych i wspólnotowych w edukacji szkolnej.
7. Obowiązkowe przeszkolenie wojskowe.
8. Powstrzymanie laicyzacji życia społecznego.
9. Zaprzestanie wykorzystywania zagrożeń geopolitycznych i zdrowotnych jako narzędzi destabilizacji społecznej.
10. Przyjęcie założenia, że emigracja na stałe z Polski nie może być dalej postrzegana jako rzecz neutralna.

Gdy mówimy o kryzysie demograficznym, często wskazuje się na źródła ekonomiczne. Czy jednak procesy kulturowe nie mają tu większego znaczenia?

Nie mam wątpliwości, że tak właśnie jest. Laicyzacji, o której mówiliśmy, dziś praktycznie nie zauważamy, bo nie zaczęła się pięć czy dziesięć lat temu. A to ona najbardziej wpłynęła na przebudowę świadomości i mentalności współczesnych społeczeństw, w tym polskiego. Trzeba pamiętać, że w jakimś stopniu jej następstwem jest przesadny indywidualizm i związane z nim przekonanie o nadrzędnej roli własnego szczęścia i wygody. Odchodzenie od wartości religijnych to także osłabianie postawy służby i bezinteresownej miłości wobec drugiego człowieka, bez których przecież nie można sobie wyobrazić bycia małżonkiem i rodzicem. Ponadto jestem zdania, że rodzinie i jej kondycji dużo zła wyrządziło tzw. państwo opiekuńcze. Wychodząc ze szczytnych założeń, zbudowano system, który, choć w wielu aspektach poprawił warunki życia i bezpieczeństwo ludzi, to w powszechnej świadomości wyeliminował przekonanie, że państwo może się rozwijać i spełniać swoje obietnice – a więc być „opiekuńczym" – tylko dzięki temu, że w rodzinach będą się rodziły dzieci. Dobrym przykładem tej zmiany mentalności w kierunku antyrodzinnym i w rezultacie antydemograficznym są systemy emerytalne, które bardzo skutecznie i z dramatycznym wpływem na zastępowalność pokoleń rozerwały ten związek. I trzeba głośno przyznać, że obecnie niektóre rozwiązania systemowe wręcz premiują niezakładanie rodzin.

Mówi pan o potrzebie konkretnych działań. Jakie będzie podpowiadała prezydentowi Rada Rodziny i Demografii?

Na razie jesteśmy na etapie wyznaczania obszarów i zagadnień, które realnie można podjąć. Musimy pamiętać o możliwościach, jakie ma prezydent. Jako głowa państwa jest on bardzo ważnym ośrodkiem, który może nadawać ton dyskusji i według mnie lansować modę na rodzinę, budując wokół niej pozytywną komunikację. Myślę, że było to już widoczne w kampanii prezydenckiej. Może też proponować konkretne rozwiązania. Według mnie jednym z pierwszych mogłoby być wsparcie kondycji młodego pokolenia poprzez ograniczenie dostępu do smartfonów (przynajmniej w szkole) i mediów społecznościowych (ograniczenia wiekowe). Ten temat także pojawia się w „Dekalogu" i myślę, że w tej kwestii jako społeczeństwo dochodzimy do konsensusu. Z badań przeprowadzonych przez CBOS w marcu 2025 r. wynika, że 73 proc. Polaków popiera wprowadzenie zakazu korzystania ze smartfonów w szkołach. 71 proc. badanych uważa, że wprowadzenie jednolitych zasad obowiązujących we wszystkich placówkach byłoby skuteczniejsze niż obecna indywidualna polityka szkół. Myślę, że będziemy

eprasa.pl 7432f6a181

nad tym pracować. Rację ma prof. Andrzej Zybertowicz, który alarmuje: „Jeśli nie nauczymy młodych żyć bez ekranów, to ekrany nauczą ich żyć bez nas" i nie będzie dla kogo reformować Polski. Kilka czy kilkanaście lat temu, gdy te technologie dopiero wchodziły, nie znaliśmy ich skutków. Dziś już nie możemy się zasłaniać niewiedzą. Mamy dość badań, żeby wiedzieć, jak social media i smartfony pogarszają kondycję emocjonalną i umysłową młodych ludzi. Utrudniają budowanie relacji społecznych czy rozwijanie wrodzonych talentów. Oczywiście są narzędziem, które może być pożyteczne, ale gdy jest nadużywane i niekontrolowane, może być wprost destrukcyjne.

Jakie dodatkowe zachęty podatkowe mogłyby skłaniać do posiadania dzieci?

Po pierwsze, iloraz podatkowy. We Francji „iloraz rodzinny" to system, w którym podatek dochodowy jest obliczany dla gospodarstwa domowego przy uwzględnieniu liczby dzieci i osób zależnych. Dochód jest dzielony przez liczbę „jednostek". System ten obniża opodatkowanie rodzin. W takich rozwiązaniach podatkowych chodzi zasadniczo o to, żeby rodzice, gdy już posiadają więcej dzieci albo chcą się decydować na kolejną pociechę, nie musieli stawiać czoła pogarszającej się sytuacji materialnej. Po drugie, progresywne programy socjalne. „Dekalog" mówi o tym w pkt. 4. Tu już nie chodzi o podatki, a finansowe premiowanie dzietności przez państwo. Kolejna rzecz to system emerytalny i przywrócenie sprawiedliwości w ramach polityki państwa. Chodzi o bonus emerytalny, polegający na tym, że z podatków każdego dziecka, które rodzic przyjmie na świat i wychowa, jakaś kwota co miesiąc wędrowałaby na poczet emerytury rodzica. To byłby jasny komunikat, że decyzje rodzicielskie mają przełożenie na sytuację finansową na starość. Dziś system emerytalny niestety karze za posiadanie dzieci. Ludzie, którzy podejmowali decyzje o rodzicielstwie i musieli przeformatować swoją karierę zawodową, mają po prostu niższe emerytury. Warto dodać, że proponowane powyżej rozwiązania to nie stawianie rodziców w pozycji uprzywilejowanej, ale wymóg sprawiedliwości społecznej, wynikający z tego, że to dzieci urodzone w rodzinach będą realnie wypracowywać bogactwo, na którym w przyszłości będzie bazować budżet państwa, a więc także np. system opieki zdrowotnej i ubezpieczeń społecznych, z których przecież korzystają wszyscy, nie tylko osoby będące rodzicami.

> Mamy klimat kulturowy i medialny, który jest wybitnie antyrodzinny. To nie tylko utrudnia życie rodzinom, ale przede wszystkim kształtuje postawy młodych ludzi. To ich po prostu zatruwa, obrzydza im rodzinę

Mamy też wielką lukę edukacyjną. Młode kobiety są coraz lepiej wykształcone, wyjeżdżają do dużych ośrodków i mają problem ze znalezieniem partnera odpowiadającego ich aspiracjom.

Luka edukacyjna wiąże się poniekąd z nierównomiernym rozwojem kraju. To widać właśnie w edukacji w obszarze szkolnictwa wyższego. Na studia do dużych ośrodków częściej wyjeżdżają młode kobiety, podczas gdy w mniejszych ośrodkach częściej zostają młodzi mężczyźni i to rzeczywiście generuje problem w kwestii budowania związków. Szansą byłoby np. lokowanie ośrodków akademickich w mniejszych ośrodkach. Dlatego w jakimś zakresie potrzebna by była deurbanizacja jako odejście od modelu rozwoju wyłącznie dużych aglomeracji i bardziej zrównoważony rozwój kraju w tym względzie. Obecnie duże miasta są silnym magnesem przyciągającym młodych ludzi, którzy często już tam zostają, podczas gdy reszta kraju słabnie w sensie demograficznym i rozwojowym.

Czy dla obecnego rządu demografia jest ważna? Likwiduje się porodówki. Jeśli kobiety będą się bały rodzić, to kryzys się pogłębi. W obszernej Strategii Demograficznej 2040, którą przygotowała w 2022 r. wiceminister Barbara Socha, była m.in. mowa o standardach okołoporodowych.

Dobrze, że przypomina pani tę strategię. Wielką stratą dla przyszłości Polski jest to, że ten świetnie przygotowany i kompleksowy dokument, bazujący na wielu solidnych badaniach, kompleksowo adresujący problemy demograficzne, nie jest realizowany. Trzeba powiedzieć głośno, że dla obecnego rządu problem demograficzny nie istnieje. Nie widać żadnych realnych działań czy decyzji, które by dotyczyły dramatycznej sytuacji demograficznej Polski. Gdyby ktoś z zewnątrz popatrzył na politykę państwa, mógłby odnieść wrażenie, że nasz kraj nie ma problemu demograficznego. Należy podkreślić, że dziś nie istnieje pilniejsza kwestia, od której zależy nasze wspólne „być albo nie być". I pierwszym krokiem w rozwiązywaniu tego problemu powinno być realne postawienie na rodzinę. Polityka państwa często kojarzy się z tym, że trzeba umiejętnie godzić potrzeby i odpowiednio traktować różne obszary, grupy społeczne czy zawodowe: np. edukacja, służba zdrowia, seniorzy, górnicy, rolnicy itd. W tym katalogu pojawia się także rodzina. Gdybyśmy wyobrazili sobie państwo jako autobus, a rząd jako kierowcę, to ten proces rządzenia może przypominać to, w jaki sposób rządzący decydują, gdzie posadzić konkretnych pasażerów, czyli różne wspomniane wcześniej grupy. Co do rodziny – czasem kierowca zastanawia się, czy posadzimy ją po środku, czy na przedzie, a może bardziej z tyłu i w zależności od miejsca, zaoferujemy jakieś rozwiązania, pogramy. Otóż jeśli chodzi o rodzinę, to popełnia się zasadniczy błąd. Rodzina nie jest jednym z pasażerów tego autobusu, lecz jego silnikiem, bez którego nigdzie nie pojedziemy! I naprawdę nie jest ważne, jak pousadzamy innych pasażerów.

eprasa.pl 7432f6a181

Panie na lewo, panowie na prawo

Na świecie powiększają się różnice światopoglądowe między mężczyznami a kobietami. W Polsce są one pogłębiane przez dodatkowe czynniki

GRZEGORZ GÓRNY

W krajach zachodnich wśród młodzieży poniżej 30. roku życia dochodzi do ostrego rozjazdu światopoglądowego między reprezentantami obu płci. Tak wynika z badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Stanforda w USA. Światopogląd młodych kobiet bardzo mocno przesuwa się w stronę wartości lewicowych i liberalnych, natomiast młodych mężczyzn może nie tak mocno, ale także wyraźnie w stronę wartości konserwatywnych. Prof. Alice Evans ze wspomnianej uczelni mówi, że pokolenie Z (czyli urodzeni w latach 1995–2012) to w rzeczywistości nie jedna, lecz dwie odrębne generacje: męska i żeńska.

Przepaść ideologiczna między przedstawicielami obu płci jest dziś obserwowana na wszystkich kontynentach. W Stanach Zjednoczonych jest obecnie o 30 proc. więcej liberalnych kobiet niż mężczyzn w przedziale wiekowym między 18. a 30. rokiem życia. Wspomniana luka powstała i rozszerzyła się w ciągu ostatnich sześciu lat. W Niemczech ta różnica również wynosi 30 proc., a w Wielkiej Brytanii – 25 proc.

KOŚCIÓŁ „MĘSKOKATOLICKI"

To zjawisko można też zaobserwować w życiu religijnym. Z krajów takich jak Francja, Hiszpania czy USA dochodzą wieści o odrodzeniu duchowym wśród tamtejszych katolików. Jest to jednak w głównej mierze zasługa młodych mężczyzn. Między 2018 a 2024 r. na Wyspach Brytyjskich odsetek katolików, którzy regularnie uczęszczają do kościoła, wzrósł z 23 do 31 proc., zaś w przedziale wiekowym 18–24 lata – z 4 do 16 proc. W tej ostatniej grupie co niedzielę bierze udział we mszy 21 proc. mężczyzn i tylko 12 proc. kobiet.

W Anglii coraz częściej można zobaczyć katolickie świątynie, w których dominują nie starsze kobiety, lecz młodzi mężczyźni. Ci ostatni jeszcze niedawno mieli trudność z odnalezieniem się w Kościele „żeńskokatolickim". Teraz odnajdują w nim przestrzeń realizacji własnej męskości, poczucie *sacrum*, wezwanie do walki ze swoimi słabościami oraz pierwiastek rycerskości, których brak w zsekularyzowanym świecie.

Także w Hiszpanii po raz pierwszy od dekad nastąpiło odwrócenie dominującego trendu, który zmierzał do zerwania identyfikacji młodych ludzi z Kościołem. Od kilku lat socjologowie obserwują wyraźny powrót do praktyk religijnych, za który są odpowiedzialni głównie mężczyźni poniżej 45. roku życia.

W wielu krajach zachodnich zmienia się struktura duszpasterstw młodzieżowych. Do tej pory bazowały one głównie na grzecznych dziewczętach z dobrych domów, natomiast obecnie coraz częściej ton wspólnotom katolickim nadają młodzi mężczyźni, którzy wprowadzają takie praktyki religijne jak np. męski różaniec czy ekstremalna droga krzyżowa. Także w Polsce obserwujemy napływ młodych mężczyzn do takich formacji duchowych jak Wojownicy Maryi czy Zakon Rycerzy św. Jana Pawła II Wielkiego.

ŻYJEMY W ALTERNATYWNYCH ŚWIATACH

Rozjazd światopoglądowy między przedstawicielami obu płci dotyczy nie tylko państw Zachodu. Podobna sytuacja panuje w innych regionach świata, np. w Tunezji czy Korei Południowej. Badacze zwracają uwagę zwłaszcza na ten ostatni kraj, gdzie różnice ideowe pozostają tak wielkie, że młodzi mężczyźni i kobiety bardzo często nie są w stanie odnaleźć wspólnego języka. W efekcie gwałtownie zmalała tam liczba zawieranych małżeństw, a wskaźnik urodzeń spadł w 2023 r. do 0,72 na kobietę (w Seulu nawet do 0,55), czyli do najniższego poziomu spośród wszystkich państw na świecie. Korea Południowa jest ekstremalnym przypadkiem, ale stanowi ostrzeżenie dla innych krajów przed tym, co może się wydarzyć, gdy światy młodych kobiet i mężczyzn przestaną się ze sobą pokrywać. To bardzo poważne zagrożenie dla spójności społecznej.

Analogiczne zjawisko obserwujemy także w Polsce, gdzie podczas ostatnich wyborów parlamentarnych zanotowano nadreprezentację głosów oddanych na Lewicę i Razem wśród młodych kobiet oraz głosów oddanych na Konfederację wśród młodych mężczyzn. Dziewczyny, gdy buntują się przeciw pokoleniu rodziców, skręcają bardziej na lewo, a chłopcy – na prawo.

Preferencje wyborcze są jednak tylko odpryskiem szerszego problemu, za którym kryje się świat wartości. Sytuacja sprawia wrażenie, jakby obie płcie żyły w różnych światach. Chociaż fizycznie przebywają obok siebie, w tych samych miastach, budynkach, salach, a nawet przy tych samych stolikach kawiarnianych, to jednak funkcjonują w równoległych, alternatywnych, często nieprzystających do siebie rzeczywistościach, tworzonych przez sieci społecznościowe. W bańkach medialnych, w których tkwią kobiety, obecna jest nie tylko konsumpcja i rozrywka, lecz także silna dawka ideologicznego

eprasa.pl 7432f6a181

przekazu związanego z feminizmem, teorią gender i walką płci, oczywiście podanego w zgrabnej popkulturowej formie. Dla odmiany w męskich bańkach internetowych dominują sport, militaria, historia, patriotyzm czy poszukiwanie ekstremalnych doznań.

LEWOSKRĘTNOŚĆ ŻEŃSKA

Skręt na lewo wśród przedstawicielek płci pięknej stanowi zerwanie z zasadą, która w XX stuleciu była uważana za żelazne prawo polityki. We Francji prawa wyborcze dla kobiet wprowadzono dopiero w 1944 r., a najmocniej sprzeciwiała się temu tamtejsza lewica. Socjaliści uważali bowiem, że kobiety są z natury bardziej konserwatywne niż mężczyźni, dlatego danie im możliwości udziału w wyborach przyniesie sukces prawicy. Jako przykład podawano elekcje parlamentarne w innych krajach, np. w Polsce, gdzie pierwsze wybory do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1919 r. zdecydowanie wygrały partie centroprawicowe (z endecją na czele) dzięki walnemu wsparciu płci pięknej.

Tego typu diagnoza przez dziesięciolecia uchodziła za pewnik. W 1973 r. para niemieckich autorów, Klaus Liepelt i Hela Riemenschnitter, w swej pracy na temat preferencji wyborczych kobiet pisała: „Już dawno udowodniono statystycznie, że wśród wyborców partii lewicowych dominuje element męski, natomiast w partiach katolicko-konserwatywnych przeważa pierwiastek żeński. Odnosi się to w równym stopniu do Republiki Weimarskiej, jak i Republiki Bońskiej, jest równie prawdziwe w odniesieniu do Niemiec, jak i innych krajów zachodnich".

Dziś nastąpiło jednak zerwanie z tym modelem, zwłaszcza w pokoleniu Z. Okazuje się, że dla dziewcząt coraz mniejsze znaczenie ma założenie rodziny, zawarcie małżeństwa i posiadanie dzieci, a więc to, co było głównym pragnieniem ich matek i babć. Zmieniło się otoczenie kulturowe, w jakim funkcjonuje dziś kobiecość. W modzie zamiast delikatności jest wulgarność. Zachowania jeszcze niedawno uważane powszechnie za obsceniczne stają się normą obyczajową. Zanika poczucie wstydu. Szpetota zamienia się w estetyczny ideał. Kobiety z takim nastawieniem do rzeczywistości nie przyciągają zazwyczaj mężczyzn pragnących związać się z kimś na całe życie.

BIZNESWOMAN SZUKA MĘŻA

W Polsce na ten ideowy podział płci nakładają się dodatkowe czynniki. Pierwszym jest nierównowaga liczebności mężczyzn i kobiet dotycząca miast i obszarów wiejskich. Migracja wewnętrzna ludności nie jest bowiem równomierna. Z prowincji do metropolii częściej wyjeżdżają dziewczęta niż chłopcy. W dużych ośrodkach, takich jak Warszawa, Kraków czy Gdańsk, przewaga liczebna kobiet nad mężczyznami w grupie wiekowej 20–40 lat wynosi kilkanaście procent. Z kolei we wsiach i małych miasteczkach jest nadreprezentacja młodej populacji męskiej.

Mężczyźni częściej niż kobiety dziedziczą po rodzicach majątki rolne, są więc przywiązani do swoich gospodarstw. W związku z tym często mają kłopot ze znalezieniem w najbliższej okolicy towarzyszki na całe życie. W tym kontekście zrozumiały staje się sukces programu telewizyjnego „Rolnik szuka żony". To nie tylko rozrywkowy reality show o randkowaniu, lecz także odpowiedź na konkretne zapotrzebowanie społeczne, wynikające z odpływu kobiet do miast, nadwyżki młodych mężczyzn na obszarach wiejskich i trudności w znalezieniu partnerki w obrębie lokalnej społeczności. Przekłada się to na strukturalny problem samotności na wsi.

Jednocześnie nikt do tej pory nie nakręcił programu zatytułowanego „Bizneswoman szuka męża", choć znalezienie stałego partnera przez wykształcone kobiety w wielkich miastach staje się w ostatnich latach coraz większym wyzwaniem. Ze zwykłej arytmetyki wynika, że wiele z nich jest skazanych na samotność.

CORAZ MNIEJ MAŁŻEŃSTW

Kolejnym czynnikiem, który nie sprzyja spoistości społecznej, jest nierównowaga w poziomie wykształcenia między mężczyznami a kobietami. Przez długie dziesięciolecia w szkolnictwie wyższym istniała przewaga płci męskiej nad żeńską. W okresie PRL na uczelniach było 55–60 proc. studentów i 40–45 proc. studentek. Od początku XXI w. ta struktura płci uległa zmianie. Obecnie 57–60 proc. wszystkich osób studiujących w Polsce stanowią kobiety. Wspomniany trend wynika głównie z dynamicznego rozwoju kierunków humanistycznych, pedagogicznych, społecznych, zdrowotnych i usługowych, bardziej atrakcyjnych dla przedstawicielek płci pięknej. Co prawda mężczyźni nadal są liczniejsi na kierunkach ścisłych i technicznych, ale nie równoważy to ogólnej przewagi kobiet.

Z wyższym wykształceniem wiążą się też wyższe oczekiwania, potrzeby

eprasa.pl 7432f6a181

i aspiracje. Ponieważ większość kobiet preferuje partnerów na porównywalnym poziomie, oznacza to, że liczba kandydatów do stałego związku statystycznie maleje. Ekonomiści nazywają to strukturalną nierównowagą podaży i popytu. Na coraz większą liczbę kobiet z wyższym wykształceniem i dużymi aspiracjami przypada coraz mniejsza liczba mężczyzn o analogicznych walorach. Niedopasowanie między rynkiem edukacyjnym a rynkiem matrymonialnym nabiera cech strukturalnych.

Dominujący od wieków wzór doboru partnerów opierał się na określonych preferencjach: kobiety szukały mężczyzn o wyższym statusie ekonomicznym, a mężczyźni – kobiet młodszych lub mniej „konkurencyjnych" statusowo. Szybki i masowy awans edukacyjny płci pięknej sprawił, że ten tradycyjny model przestał być symetryczny. Najbardziej „pożądani" mężczyźni, czyli wykształceni i stabilni finansowo, mają dziś szeroki wybór, natomiast duża część kobiet nigdy nie znajdzie dla siebie partnerów na miarę swych oczekiwań i aspiracji.

Ich szanse zmniejsza dodatkowo konkurencja zza wschodniej granicy. W ostatnich latach do Polski napłynęła duża fala imigrantów z Ukrainy. Wśród nich są także młode, atrakcyjne, wykształcone kobiety, które chcą ułożyć sobie życie w bezpiecznym miejscu. Coraz częściej wychodzą więc za mąż za Polaków. Z oficjalnych danych wynika, że wśród wszystkich małżeństw mieszanych zawieranych w naszym kraju aż 80 proc. dotyczy ukraińskich kobiet, a tylko 20 proc. – ukraińskich mężczyzn.

Sukces edukacyjny Polek zwiększył ich autonomię finansową i zmniejszył presję ekonomiczną na szybkie małżeństwo. Z wiekiem pojawiają się jednak coraz większe oczekiwania wobec partnera i coraz mniejsza skłonność do „kompromisowych" wyborów. Na dodatek wielu mężczyzn nie czuje się dobrze w relacjach z kobietami o wyższym statusie i stara się unikać związków, w których nie są „głównymi żywicielami". Rozjazd między realiami społecznymi a normami kulturowymi powiększa się.

Coraz większe niedopasowanie między przedstawicielami obu płci przekłada się na mniejszą liczbę zawieranych małżeństw i malejący wskaźnik dzietności, a więc skutkuje pogłębieniem kryzysu demograficznego. Plagą społeczną staje się samotność, która generuje wiele problemów psychologicznych

DESTRUKCYJNY PROCES TRWA

Wspomniane wyżej zjawiska wywierają kolosalny wpływ na kondycję społeczeństwa i przyszłość państwa. Rozjazd światopoglądowy między mężczyznami a kobietami zagraża spójności wspólnoty politycznej u samych jej podstaw. Coraz większe niedopasowanie między przedstawicielami obu płci przekłada się na mniejszą liczbę zawieranych małżeństw i malejący wskaźnik dzietności, a więc skutkuje pogłębieniem kryzysu demograficznego. Plagą społeczną staje się samotność, która generuje wiele problemów psychologicznych.

Niestety nic nie wskazuje na to, byśmy mieli do czynienia ze zjawiskiem przejściowym. Obserwujemy raczej proces, który pogłębia się wraz z rozwojem mediów społecznościowych, wirtualną separacją obu przestrzeni kulturowych oraz kreowaniem postaw i wartości sprzyjających polaryzacji. Czy ktoś jest w stanie zatrzymać lub odwrócić ten trend? Wydaje się, że obecnie zbyt wielu siłom zależy raczej na kontynuowaniu tych tendencji.

eprasa.pl 7432f6a181

Państwo musi zatrzymać pustynnienie prowincji. Zamiast zaludniających się megalopolis wspierać współpracę sieci niezliczonych małych ośrodków miejskich. Miast o ludzkich proporcjach

MACIEJ WALASZCZYK

Nie megalopolis, ale miasto na ludzką miarę

Dobra wspólnota polityczna może żyć i rozkwitać tylko w miastach. A idea znana już Grekom mówiła, że społeczności ludzkie mogą być szczęśliwe i odnosić sukcesy tylko wtedy, gdy potrafią zachować ludzką skalę. Jak przypomina prof. Maurizio Viroli, europejskie miasto stanowiło centrum wartości etycznych, a w konsekwencji politycznych i obywatelskich – główną arenę ludzkiego doświadczenia w historii. Od czasów starożytnych do wczesnej nowożytności praktykowane w nim formy organizacji, ustrojów, obyczajów faktycznie oddziaływały na całe państwo.

Jak jednak zauważa Ferenc Hörcher w swojej niezwykle ciekawej pracy „Filozofia polityczna europejskiego miasta", w czasach nowożytnych głównym podmiotem politycznym stało się państwo, spychając życie miejskie na margines i podporządkowując je sobie w sposób absolutny. Nie bez politycznych konsekwencji. Rozrost Paryża – szczególnie w XIX w. – sprawił, że jako centralny ośrodek polityczny i kulturalny stał się on areną niekończących się rewolucji i wstrząsów. Rewolucja francuska, wydarzenia lat 1830, 1848 czy Komuny Paryskiej, a potem 1968 r. stały się problemem politycznym całej Europy. Jest to szczególnie ważne dziś, gdy rozrastające się ponad miarę miasta stały się polem sojuszu mas miejskich i lewackiej awangardy dominującej w mediach, polityce i kulturze oraz biznesie. Wskazują na to wszystkie wybory we wszystkich krajach Zachodu.

W dobie globalizacji masy zamieszkujące miasta zostały wtłoczone w gospodarczy i kulturowy porządek, w którym nie tylko utraciły dawne cnoty, lecz także zacierają w nich swą tożsamość. Dzisiejszy miejski moloch jest rodzajem nowotworu, kontrast zaś między nowoczesnością w mieście a konwencjonalnym sposobem życia na prowincji, głównie na wsi, ma konsekwencje społeczno-polityczne i kulturowe, co zawsze wyrażało się w ostro zarysowanych formach– w modach, języku, popkulturze oraz polityce.

PUSTYNNIENIE PROWINCJI

To, co wydarzyło się na przełomie lat 90. XX w., rozpoczęło proces wyludniania się prowincji. Likwidacja przemysłu, a potem połączeń kolejowych, autobusowych, różnych instytucji, m.in. poczty, policji, szpitali, stawiała przed trudnym wyborem – zostać czy wyjechać i wyrwać siebie z korzeniami. Polska powiatowa się wyludnia, a także starzeje, co – jak wskazują socjolodzy – ma bezpośrednie konsekwencje dla lokalnych rynków usług, systemu opieki zdrowotnej czy edukacji. Ze względu na malejącą liczbę mieszkańców samorządy są zmuszone do zamykania szkół, przedszkoli, ograniczania połączeń komunikacyjnych. W następnych dekadach kolejne pokolenia również decydują się na ucieczkę. Co więcej, firmy, które powstawały w latach 90., nie zawsze mają szanse, by przetrwać – ich twórcy umierają, odchodzą na emeryturę, a dzieci nie zawsze chcą przejmować po nich stery.

eprasa.pl 7432f6a181

Fot. Shutterstock

Siła globalnej gospodarki jest niwelująca, a do tego forsowana w Polsce doktryna stawiała wyłącznie na duże miasta jako centra rozwojowe. To właśnie ów „model polaryzacyjno-dyfuzyjny", tak krytykowany przez Jarosława Kaczyńskiego, zgodnie z którym „bogactwo" wytworzone w największych aglomeracjach – zwłaszcza w Warszawie – miało również spływać na prowincję. Tak to jednak nie działało. Co więcej, śródmieścia wielkich miast, gdzie funkcjonuje rozwinięta komunikacja miejska, sieć sklepów, urzędów, szkół, przedszkoli, przychodni lekarskich i szpitali, wyludniają się. A kolonizuje je ludność migrująca – turyści, imigranci, ludzie wynajmujący mieszkania od tych, którzy je masowo skupują. Krakowianie od dawna narzekają na wysokie ceny nieruchomości, podbijane przez inwestorów chcących zarobić na wynajmie krótkoterminowym. Tamtejszy rynek jest jednym z najsilniej wyludniających się obszarów kraju.

Zjawisku pustoszenia centrów towarzyszy szerokie rozlewanie się przedmieść wraz z tysiącami nowych domów stawianych bez sensownych koncepcji urbanistycznych. Także w Warszawie mamy do czynienia z wyludnianiem się Śródmieścia i okalających go dzielnic na rzecz tych peryferyjnych, a także najbliższych przedmieść. Ta choroba trawi również Poznań, Łódź czy Wrocław, czego symbolicznym przykładem jest Jagodno. Jednak już aglomeracja katowicka ma wyraźne problemy, bo straciła mieszkańców zarówno w miastach centralnych, jak i na przedmieściach. Ogólnie dawne miasta wojewódzkie zaliczyły wielki regres, a problemy mają nawet te, którym udało się zachować rangę wojewódzką po reformie z 1998 r.

WSPÓŁGRANIE CIVITAS I URBS

Podróżujący po Europie zachwycają się układem dawnych ulic i placów, rozmieszczeniem kościołów, szpitali i ratusza tak samo jak cudami natury. Czytelność zabudowy mówi im o składzie społecznym wspólnoty czy lokalnych tradycjach. Dzisiaj tego nie widać, architektura stała się zaś bezduszna i jałowa. Tymczasem rozwój europejskiej cywilizacji – jej instytucje, infrastruktura – to właśnie rozwój wspaniałych miast i niezwykle witalnej koncepcji wolności, zrodzonej w starożytności i rozwijanej w czasach średniowiecza oraz wcześniej nowożytności. Wraz z nią rodziła się różnorodność architektury i rzemiosła, klasztory, uniwersytety i kościoły, handel, banki i giełdy. Miasto nigdy nie było samowystarczalne, potrzebowało kontaktów ze światem zewnętrznym – wsią, innymi ośrodkami miejskimi. W nim ukształtował się mieszczanin, tworzący grupy konkurujących i współpracujących ze sobą obywateli miejskiej polis, którzy stanowili jej siłę twórczą. To w niej kumulowała się mądrość polityczna, powstała teologia, nauka i filozofia.

Dlatego to miasto – jako siedlisko burżuazji będącej ostoją dawnego porządku – zostało zaatakowane przez marksizm i neoromantyków. Tomasz Mann czuł się prawnukiem niemieckiej kultury mieszczańskiej, szukał w niej tożsamości i oparcia, gdy jego krajowi zagroził przewrót nazistowski i komunistyczny. Miasto tworzy bowiem jego wspólnota. Element ludzki jest podstawowy, bo chodzi o poczucie wspólnego sensu, przyjaźnie i więzi, a także możliwość gubienia się tłumie, bycia zarówno bezstronnym obserwatorem, jak i aktywnym podmiotem.

Miasto działa prawidłowo, gdy wspólnota – *civitas* – nie jest uzależniona od kaprysów oligarchów, np. deweloperów czy inwestorów. Musi panować nad *urbs*, a więc swym materialnym otoczeniem. Jeśli *civitas* i *urbs* współgrają ze sobą, ośrodek miejski rozkwita, jeśli równowaga jest zachwiana – następuje kryzys. Dlatego Jean-Jacques Rousseau uważał wielkość Genewy za optymalną. Świetnie odmalował to w swych książkach Sándor Márai, dla którego węgierska Kassa (Koszyce) i życie ówczesnych mieszczan jawią się jako imponująca wizja stabilności społecznej Europy Środkowej przed I wojną światową. Miasto miało charakter zamkniętego mikrokosmosu z własną wewnętrzną kulturą i stylem.

Na przykładzie Kassy można obserwować ciekawe zjawisko: akces niemieckich osadników do węgierskości i trójwarstwowy model lojalności politycznej, na którą składało się miasto jako najbardziej intymny krąg przynależności, po nim ojczyzna, a w końcu Europa – jako najszersza podstawa i źródło wspólnej kultury. Okazuje się, że takie miasto wchłania różne wpływy, a także jest odporne na ideologiczne wstrząsy i wykorzenienie.

WYRODZONA METROPOLIA

Gwałtowne przyspieszenie końca XIX w. budzi do życia wielkie aglomeracje przemysłowe, a obok burżuazji i mieszczan pojawiają się masy proletariuszy. Nieludzkie *urbs* wyradza się w zbyt dużą formę, a ostatecznie triumfuje gigantyzm, wymuszony nie tylko industrializacją, lecz także specyfiką nowinek

eprasa.pl 7432f6a181

ekonomiczno-finansowych i globalnej ekonomii. Zniesienie limitów dotyczących liczby mieszkańców, wielkości terytorium – tak silne jeszcze w miastach późnej nowożytności – pokazuje, że kapitalizm rodzi te same tendencje, które można było dostrzec w miastach projektowanych w nazizmie i komunizmie.

Żyjemy w epoce wykroczenia poza ową ludzką miarę, w epoce nagłej koncentracji przemysłu, handlu, kapitału i władzy politycznej. Roger Scruton (także jako estetyk) dostrzegał w nich nieproporcjonalną kumulację władzy – zarówno politycznej, jak i ekonomicznej – która współgrała z brzydotą destrukcji tradycyjnej zabudowy w imię postępu i wzrostu gospodarczego.

Ideą przewodnią architektury stalinowskiej było radykalne przekształcenie oblicza rosyjskich miast, wyrażające ideologiczne wizje nowego człowieka i państwa oraz perwersyjne pragnienia swego władcy. Skoro państwo bazowało na dążeniu do wzrostu, to zadania komunistycznych architektów również koncentrowały się na wzroście. Idea nadmiaru towarzyszy też urbanistyce faszystowskiej, w tym wizjom Alberta Speera, którego Germania jako stolica świata miała nosić ślady zarówno starożytnego Rzymu, jak i nowoczesnej technologii.

Widać to oczywiście w przerośniętych megalopolis ery kapitalizmu, szczególnie w Ameryce, gdzie nie tylko ideologiczne wizje, lecz także pieniądze dążą do rozrostu zbyt wielkiego miasta. Jego siłą napędową nie jest jakość życia, ale wielkość. Pojawienie się megalopolis stanowi ostatnią fazę historycznej transformacji kapitalizmu. Już Alexis de Tocqueville w czasie swych podróży do Ameryki dostrzegł, że tamtejsze relacje przestrzenne wpływają na życie ludzi. To tam – jak pisał – pojawiły się „nieprzebrane rzesze identycznych i równych ludzi", żyjących w izolacji i obojętnych wobec cudzego losu. Megalopolis – co dostrzegł Oswald Spengler – „wchłonęły całą treść Historii".

Od tego czasu prowincja słabnie, a coraz słabiej zaludniona – pustynnieje. Podobnie twierdził amerykański historyk Lewis Mumford, zauważając, że idealne miasto uformowane w średniowieczu ustąpiło nowoczesnemu megalopolis, będącemu w rzeczywistości współczesną wersją Rzymu i którego koniec będzie podobny. Przerost miasta prowadzi do swego rodzaju alienacji, utraty domu i przynależności, a owa utrata staje się podstawowym doświadczeniem jego mieszkańców. Mieszczanin ginie we własnym środowisku, w przerośniętym *urbs*. Relacje ludzkie ulegają zniekształceniu, a wieloletnie międzyludzkie więzi zostają zastąpione przez krótkie interakcje ekonomiczne (centra handlowe). Społeczność zastępuje masa, która staje się ślepa, głucha, znieczulona na krzywdę i okrucieństwo, podatna na zepsucie, wynikające z nieznanego wcześniej poziomu luksusu. To także uzależnienia, prostytucja, masowa przestępczość – również nieletnich – wysoki poziom ubóstwa i załamanie się higieny publicznej (dziś ekologii).

> Przerost miasta prowadzi do swego rodzaju alienacji, utraty domu i przynależności, a owa utrata staje się podstawowym doświadczeniem jego mieszkańców. Relacje międzyludzkie ulegają zniekształceniu, zostają zastąpione przez krótkie interakcje ekonomiczne (centra handlowe)

Rozwój amerykańskich metropolii z przerażeniem obserwował Howard Phillips Lovecraft. Był nie tylko autorem powieści grozy, lecz także krytykiem cywilizacji, który już przeszło 100 lat temu dostrzegł przeobrażenie się „starego" Nowego Jorku w centrum kulturalnego rozkładu i zaniku tradycji, miejsce rosnącego wpływu obcych ras. W jego oczach miasta te stały się martwymi „labiryntami", „wieżami Babel pełnymi chaosu i brudu", ze wszystkimi możliwymi patologiami. Był zdania, że uboga w tradycje Ameryka nie obroni swojego europejskiego dziedzictwa, ale z ochotą będzie „wchłaniać zarodki własnej śmierci". Dziś jego obserwacje zdają się prorocze.

MAŁE, SILNE I ZSIECIOWANE

Dzisiaj – przekonuje Ferenc Hörcher – musimy powrócić do wielkiego dorobku miast włoskich, niemieckich, holenderskich z ich najlepszych czasów, by współczesne nam megalopolis znów stały się miastami „na ludzką miarę". W Europie potrzebujemy więc powrotu do miasta rozumianego jako ograniczona w swych rozmiarach *civitas*, w której ludzie mają szansę zarówno spotykać się twarzą w twarz, jak i efektywnie współpracować gospodarczo z innymi ośrodkami na zewnątrz. Statystyk i ekonomista Ernst Friedrich Schumacher twierdził, że jego maksymalna wielkość nie powinna przekraczać 500 tys. mieszkańców. Miasto bowiem ma szansę zachować swoją ludzką formę tak długo, jak długo zachowuje właściwą skalę – czyli taką, która odpowiada ludzkiemu życiu. Bez niego europejskie państwa mają mniejsze szanse na przetrwanie w niepewnym XXI w.

Węgierski autor twierdzi, że współczesne państwo zamiast zaludniających się megalopolis musi wesprzeć współpracę największej ilości sieciowanych ze sobą ośrodków miejskich. Niczym średniowiecznych klasztorów benedyktyńskich, które nie rozrastały się ponad miarę, ale współpracowały ze sobą, przypominając sieć spółdzielczą. A ścisły związek z otoczeniem tworzyły wytwarzanym przez siebie własnym polem grawitacyjnym. Nie centralizacja, lecz wielkie rozproszenie może się stać sposobem na przetrwanie mniejszych we współpracy z większymi na zasadzie pomocniczości.

eprasa.pl 7432f6a181

Sztuczna inteligencja na wojnie

Wojna w coraz większym stopniu będzie przypominać gry komputerowe, dlatego eksperci mówią o „gamifikacji" współczesnych konfliktów

MAREK BUDZISZ

Zdaniem ekspertów amerykańskiego think tanku RAND, jeśli chce się zrozumieć sztuczną inteligencję i jej wpływ na przyszłość świata – w tym na to, jak będą wyglądały wojny – trzeba raczej szukać porównań do sytuacji z końca XIX w., kiedy na szerszą skalę zaczęto stosować prąd elektryczny. Sztuczna inteligencja jest w tym porównaniu prądem, którego wynalezienie bardzo zmieniło ludzkie życie, choć na początku tej rewolucji nikt zapewne nie był w stanie opisać, do czego ona prowadzi. Zmiany z pewnością nastąpią bardzo szybko.

Kateryna Bondar, ekspertka amerykańskiego think tanku strategicznego CSIS, napisała w opublikowanym w ubiegłym tygodniu raporcie, że Rosjanie przebudowują swoje systemy dowodzenia, aby w nieodległej przyszłości móc posiłkować się sztuczną inteligencją. Chodzi o zdolności do zbierania, analizowania, przetwarzania i przesyłania danych związanych z sytuacją na froncie. Już obecnie każdy żołnierz jest również „sensorem", czyli podmiotem zbierającym dane zarówno w postaci nagranego obrazu, jak i innych informacji – począwszy od pogody, poprzez warunki topograficzne aż po działania przeciwnika. Mamy – i ta tendencja będzie narastać – do czynienia z terabajtami danych, stale przesyłanych do centrów obliczeniowych. Ci, którzy będą w stanie „spiąć" to wszystko w jeden system, wygrają. Choćby z tego powodu, że będą wiedzieć, co robi przeciwnik, gdzie się znajduje, a sztuczna inteligencja podpowie im też, jakie ma możliwości działania. Dowódca w wojnie przyszłości będzie w takich warunkach zdolny do wyprzedzania ruchów wroga. Sztuczna inteligencja zmieni też sytuację przed wybuchem konfliktu, bo zdaniem niektórych analityków będzie w stanie wykryć przygotowania rywala strategicznego do rozpoczęcia wrogiej akcji.

Oczywiście jak mówią wojskowi, „każda broń będzie miała swoją kontrbroń", co oznacza, że sztuczna inteligencja będzie używana, aby wzmocnić decepcję, czyli działania mające oszukać przeciwnika. To, kto w tym wyścigu będzie lepszy, zależy od tego, jak szybko będziemy w stanie zbierać, przetwarzać i dystrybuować dane. M.in. do tego sprowadza się rywalizacja w zakresie AI między supermocarstwami. Jest ona napędzana myślą, że ten, kto wygra w tym wyścigu, zdobędzie przewagę wojskową, a w konsekwencji na dziesięciolecia narzuci swoją dominację polityczną.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7432f6a181

ROZMAWIAJĄCE DRONY

Na ukraińskiej wojnie drony już zostały zaopatrzone w moduły sztucznej inteligencji. Pełnią one kilka funkcji. Są w stanie korygować kierunek lotu systemu bezzałogowego bez ingerencji człowieka. Testuje się też pierwsze operacje z rojami dronów. Jesienią ub.r. Rosjanie zaczęli używać grup shahedów, które porozumiewały się między sobą. Jeśli jeden z nich został zaatakowany przez ukraińską obronę przeciwlotniczą, pozostałe zaczynały manewrować i zmieniać trajektorię lotu. Amerykanie realizują program Loyal Wingman, który przewiduje współpracę F-35 z dronami naddźwiękowymi. Myśliwiec pilotowany przez człowieka odgrywa rolę „samolotu matki", platformy wynoszącej i uwalniającej systemy bezzałogowe, które później mogą już działać samodzielnie, zwłaszcza jeśli przeciwnik będzie zakłócał łączność.

Na innym polu sztuczna inteligencja znalazła rozwiązanie związane choćby z osłabianiem zdolności przeciwnika do maskowania swoich pozycji. Ukraińcy wprowadzili do AI wzory wszystkich siatek maskujących produkowanych na świecie i w efekcie ich drony „widzą" obiekty wroga – nawet te, które są nimi dokładnie osłonięte. W rezultacie Rosjanie – a także Ukraińcy – zaczęli wkopywać swe haubice w ziemię, budując głębokie bunkry. Paweł Aksionow, ekspert wojskowy rosyjskiej sekcji BBC, jest zdania, że w trakcie słynnej operacji Sieć Pająka, w toku której Ukraińcy zaatakowali rosyjskie lotniska strategiczne dronami ukrytymi wcześniej w dachach ciężarówek, również zastosowano sztuczną inteligencję. W tym przypadku systemy bezzałogowe miały zdolności do samodzielnego wyznaczania trasy swego przelotu i identyfikowania celów. Chodziło zarówno o „zmylenie" rosyjskiej obrony lotnisk, jak i trafienie w odpowiednie cele oraz uderzenie w miejsca, które skutkowały zniszczeniem samolotów, a nie tylko niewielkimi uszkodzeniami.

W czasie gry wojennej Ernstfall, zorganizowanej przez dziennik „Die Welt" i niemiecką akademię wojenną, która wzbudziła ogromny rezonans w świecie, stacjonujący w Rudnikach żołnierze Bundeswehry nie opuścili – mimo rosyjskiej agresji – swych koszar. Dlaczego? Jak przewidywał scenariusz tego ćwiczenia, Rosjanie zaminowali wszystkie drogi dojazdowe. To też będzie możliwe dzięki zastosowaniu sztucznej inteligencji. Uzbrojone drony przeciwnika mogą wlecieć w naszą przestrzeń powietrzną, zanim ktokolwiek podniesie alarm. Następnie wylądują, w odpowiednim momencie wzniosą się i już bez komendy operatorów – której przekazanie może być trudne, bo broniąc się, aktywujemy nasze systemy walki radioelektronicznej – wykonają swoją misję.

Krwawe ataki na pociągi czy ukraiński autobus z górnikami w Donbasie też mają związek z technologią AI. Ukraińscy specjaliści są zdania, że Rosjanie już używają jej w shahedach, które identyfikują cele i automatycznie podejmują decyzje o przeprowadzeniu uderzenia, nie „biorąc pod uwagę" okoliczności. W przyszłości roje dronów ze sztuczną inteligencją będą stale krążyć nad spornymi terenami, a na ziemi coraz częściej będą walczyły roboty. W ostatnim czasie w rejonie Kupiańska Ukraińcy walczyli, wykorzystując roboty bojowe, które też dostarczały zaopatrzenie, ale w przyszłości skala ich użycia tylko wzrośnie.

CYBERDOWÓDZCA

Jednak prawdziwą rewolucję sztuczna inteligencja wywoła w dowodzeniu, powodując jednocześnie przyspieszenie obiegu informacji i „spłaszczenie" systemu. Amerykanie już teraz zaczynają dyskutować, czy w armiach przyszłości hierarchicznie rozbudowany korpus oficerski będzie w ogóle potrzebny. Teraz informacje zbierane w czasie rzeczywistym szybko zostaną przetworzone, co pozwoli dowódcy uzyskać obraz sytuacji, użyteczny zarówno na poziomie sztabu, jak i walczących na pierwszej linii.

Wojna – o czym pisze w specjalistycznym portalu War on the Rocks Hadi Al. Majdalani z uniwersytetu w Dosze – zacznie w coraz większym stopniu przypominać gry komputerowe, dlatego eksperci mówią o „gamifikacji" współczesnych konfliktów. Na Ukrainie żołnierz atakujący wrogi cel dostaje przydzielane systemowo punkty, które sumują się na szczeblu jego jednostki i dowódca może kupować sprzęt, wykorzystując w tym celu specjalną platformę, którą minister obrony Mychajło Fedorow określa mianem „Amazonu dla wojska". Aby jednak punkty zostały przydzielone, trzeba dostarczyć dwa nagrania przedstawiające uderzenie i jego skuteczność. Miliony takich nagrań trafia każdego dnia do komputerów wspomaganych sztuczną inteligencją, by analizować intensywność ataków, nowe rozwiązania taktyczne przeciwnika, a nawet na podstawie zdjęć twarzy i postawy żołnierzy ocenia się, w jakiej są oni kondycji psychicznej i fizycznej.

W konfliktach przyszłości decydujące znaczenie będzie miał czas. Ten, kto okaże się szybszy, może wygrać. Już w czasie pokoju sztuczna inteligencja, dzień i noc analizując strumienie danych, na wczesnym etapie będzie w stanie wykryć – jak się uważa – przygotowania przeciwnika. W coraz większym stopniu będzie się też liczyć zdolność do wprowadzenia innowacji, bo te siły zbrojne i państwa, które wcześniej prawidłowo dostrzegą kierunki ewolucji i prawidłowo zareagują, mają szansę osiągnąć przewagę. Naturalny w przypadku sił zbrojnych konserwatyzm i powolność działania może drogo kosztować.

Elon Musk chce w ciągu najbliższych trzech lat umieścić w przestrzeni okołoziemskiej gigantyczne bazy danych, które przyspieszą rewolucję w dziedzinie AI. Sceptycy wątpią, czy trzyletnia perspektywa nie jest zbyt optymistyczna, ale sama idea nie budzi wątpliwości fachowców. „To jest projekt, którego czas nadchodzi" – powiedział dziennikowi „Financial Times" Will Marshall z konkurującej z Muskiem firmy Planet, współpracującej z Google.

Sama koncepcja umieszczenia centrów obliczeniowych o wielkiej wydajności w kosmosie nie jest nowa. Isaac Asimov, klasyk literatury science fiction, w opublikowanym w 1941 r. opowiadaniu przewidział tego rodzaju możliwości.

eprasa.pl 7432f6a181

Podobnie jak w wydanej w 1964 r. noweli „Niezwyciężony" Stanisław Lem opisał broń, nad którą dzisiaj w ramach koncepcji tzw. broni mozaikowej intensywnie pracują Amerykanie. W opowiadaniu Lema na odległej planecie misja ratunkowa zetknęła się z niewielkimi robotami, które łącząc się w chmury bojowe, tworzyły systemy walki o dowolnym kształcie i przeznaczeniu, dostosowane do lokalnych warunków i niezwykle groźne. Działały nagle, z zaskoczenia, bo małe elementy składowe nie były łatwe do wyśledzenia i miały zdolność do szybkiego rozpraszania się. Choć Lem nie używa terminu AI, ten pochodzący sprzed ponad 60 lat opis naszego rodaka-wizjonera dobrze oddaje zmieniającą się naturę przyszłej wojny, w której sztuczna inteligencja będzie oprogramowaniem umożliwiającym powstawanie takich chmur bojowych. Aby móc je stosować – zarówno na wojnie, jak i w życiu cywilnym, bo zacieranie granic między tymi światami to też jedna z cech mającej miejsce rewolucji – trzeba posiadać ogromne centra obliczeniowe oraz bazy danych. To dlatego dojrzałe państwa zaczynają chronić swoje dane wrażliwe – zarówno obywateli, jak przedsiębiorstw. Zupełnie inaczej działa Polska – realizując reformę systemu fakturowania, udostępniamy zarazem szczegółowe i pełne dane dotyczące naszej gospodarki firmie z Izraela. A później będziemy narzekać, że konkurencja wszystko o nas wie.

Jeśli mówimy o rywalizacji amerykańsko-chińskiej w zakresie mikroprocesorów, to wyścig ten jest prowadzony dlatego, że są one niezbędne, aby szybko zwiększać moce obliczeniowe, których potrzebują bazy danych. Ich rozwój – a dyskutując o europejskiej suwerenności strategicznej, trzeba pamiętać również o tym, że państwa naszego kontynentu w 90 proc. korzystają ze zdolności amerykańskich firm – jest uzależniony od dostępu do dwóch czynników: chipów najnowszej generacji i energii elektrycznej. Centra obliczeniowe i gigantyczne bazy danych trzeba bowiem chłodzić, co już doprowadziło do rozpoczęcia amerykańsko-chińskiego wyścigu w zakresie budowy nowych elektrowni. Ci drudzy zdecydowanie wygrywają, bo tylko w ubiegłym roku zwiększyli swe zdolności generacji prądu o 16 proc., oddając do użytku 543 GW nowych mocy.

Amerykańscy eksperci są zdania, że w ich przypadku do 2030 r. 38 proc. wzrostu zapotrzebowania na energię elektryczną będzie generowane przez bazy danych i centra obliczeniowe, które trzeba chłodzić.

> Obecnie każdy żołnierz jest również „sensorem", czyli podmiotem zbierającym dane zarówno w postaci nagranego obrazu, jak i innych informacji – począwszy od pogody, poprzez warunki topograficzne aż po działania przeciwnika

Europejczycy, hołdujący swej utopijnej wizji Zielonego Ładu, nie mają szans na wzięcie udziału w tym wyścigu – choćby z powodu cen i deficytu energii. Podobnie Rosjanie. Ci planują, że do 2042 r. powiększą swe zdolności o 10 proc., ale obecnie – co ma związek z wojną i sankcjami – ich możliwości w tym zakresie maleją, a nie rosną.

RYWALIZACJA NA ORBICIE

Sztuczna inteligencja, centra obliczeniowe i bazy danych nie będą przydatne bez systemów łączności. To, jaką przewagą dysponują dziś liderzy tego technologicznego wyścigu, dobrze widać na przykładzie zdolności Starlink. Firma Elona Muska umieściła już 11 tys. satelitów okołoziemskich na niskich orbitach, co gwarantuje dostępność, skuteczność i powszechne zastosowanie tego systemu. Zdaniem cytowanych przez „The Telegraph" brytyjskich ekspertów wojskowych po tym, jak amerykański przedsiębiorca „wyłączył" moduły, które znalazły się w rękach Rosjan, znacząco spadła intensywność rosyjskich ataków, bo zostali oni pozbawieni sprawnego i łatwego w użyciu systemu łączności.

Niemiecki Rheinmetall w ramach strategii budowania „europejskich zdolności" wojskowych również ma zamiar budować analogiczny do Starlinka system przeznaczony dla Bundeswehry. Na razie zabiegi tego niemieckiego koncernu ograniczają się do rozpoczęcia rozmów z firmą OHB, specjalizującą się w technologiach kosmicznych. Jak powiedział dziennikowi ekonomicznemu „Handelsblatt" Armin Fleischmann, koordynator ds. kosmosu w niemieckich siłach zbrojnych, sieć Bundeswehry zacznie być tworzona „w ciągu najbliższych kilku lat, głównie przy udziale niemieckich firm".

Za kilka lat Musk i Amerykanie będą mieć nie tylko kilkanaście tysięcy sprawdzonych terminali łączności satelitarnej. Jedna z kontrolowanych przezeń spółek umieści na orbicie 1 mln satelitów okołoziemskich (wystąpiła już o niezbędne pozwolenia). A przecież Musk nie jest jedynym amerykańskim przedsiębiorcą uczestniczącym w tym wyścigu.

Kiedy w ubiegłym roku byłem na Ukrainie i rozmawiałem z tamtejszymi konstruktorami i żołnierzami, mówili mi: „Macie trzy lata na dogonienie naszych, a także rosyjskich rozwiązań". Później „pociąg odjedzie", bo tempo zmian będzie tak szybkie, że nikt nie zdoła nadgonić straconego czasu. To dlatego Musk nie jest zwolennikiem patentów i działa w formule „open source" ujawniając swe technologie. Podobne opinie przedstawił też Denys Sztilerman, właściciel Fire Point – firmy, która dostarcza siłom ukraińskim najwięcej dronów dalekiego zasięgu i buduje rakiety Flamingo. Uważa on, że w przyszłości to nie bariery prawne i tajemnice państwowe będą decydowały o przewadze na froncie, ale „otwarte umysły" konstruktorów, ich pomysłowość i zdolność do innowacji. Z tych trzech lat minęło już sześć miesięcy. Co w tym czasie zmieniliśmy?

eprasa.pl 7432f6a181

Sądowy cios w aktywistów trans

Na zdjęciu Fox Varian

Fox Varian przeszła podwójną mastektomię, gdy miała zaledwie 16 lat, bo myślała, że jest chłopcem. Teraz sąd w Nowym Jorku przyznał jej za to 2 mln dol. odszkodowania w precedensowym wyroku. Setki podobnych pozwów czeka w USA na rozpatrzenie

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Fox Varian z Yorktown Heights w Nowym Jorku przeszła wyjątkowo burzliwe dzieciństwo. Jej rodzice rozstali się, gdy miała 7 lat, co zapoczątkowało brutalną, trzyletnią walkę sądową o opiekę nad nią. Ostatecznie wygrała ją matka. Od tego czasu cierpiała na wiele problemów psychicznych, w tym depresję, stany lękowe i fobię społeczną. Zdiagnozowano u niej autyzm i co chwilę zmieniała szkoły. Pierwsza miesiączka wywołała u niej załamanie nerwowe, a także zaburzenia odżywiania i problemy z postrzeganiem własnego ciała. W wieku 15 lat zaczęła kwestionować swoją płeć podczas sesji z psychologiem. Zmieniła imię z Isabelli na Gabriel, które uważała za bardziej androginiczne. W ciągu kolejnych miesięcy ścięła włosy, zaczęła wiązać piersi za pomocą specjalnych elastycznych taśm, ponownie zmieniła imię, tym razem na Rowan i zaczęła mówić ludziom, że jest osobą transpłciową. Całkowicie straciła także kontakt z ojcem. Jej psycholog dr Kenneth Einhorn uznał, że najlepszym lekiem na głębokie traumy nastolatki będzie afirmacja jej nowej płci. 11 miesięcy później, w grudniu 2019 r., Varian przeszła operację usunięcia piersi. Miała wtedy 16 lat.

BÓL I CIERPIENIE

Dziś, siedem lat później, Varian żałuje operacji. Znów identyfikuje się jako kobieta. Chciałaby – jak podkreśliła w rozmowie z „New York Post" – cofnąć czas, ale jest to niemożliwe. Po piersiach pozostały jej tylko blizny. W 2023 r. pozwała swojego psychologa oraz chirurga Simona China, który przeprowadził operację. Według niej Einhorn, zamiast zająć się jej licznymi zaburzeniami, wysłał ją do kliniki zmiany płci, choć nie miał żadnego doświadczenia w leczeniu osób transpłciowych. Sąd w Westchester w Nowym Jorku przyznał jej teraz rację oraz niebagatelną kwotę 2 mln dol. odszkodowania – 1,6 mln dol. za „ból i cierpienie", a 400 tys. dol. na pokrycie przyszłych kosztów leczenia.

Tym samym po raz pierwszy w USA ława przysięgłych orzekła, że lekarze, którzy zaaprobowali i przeprowadzili operację korekty płci u osoby nieletniej, dopuścili się błędu w sztuce lekarskiej. To, że nie skierowano jej do „specjalisty ds. LGBT+", przemawiał na niekorzyść Einhorna, podobnie jak fakt, że określił jej problem jako „dysmorfię ciała", a nie „dysforię płciową". To pierwsze jest zaburzeniem psychicznym polegającym na obsesyjnym skupianiu się na wyimaginowanych lub wyolbrzymionych defektach własnego wyglądu. Pomiędzy lekarzami nie było też należytej komunikacji. Nie przebadano również wszystkich uwarunkowań w sposób właściwy, pochopnie kwalifikując pacjentkę do nieodwracalnego zabiegu. Według adwokata Varian Adama Deutscha nastolatka „nie była w stanie świadomie wyrazić zgody na procedurę, która okaleczyła ją na całe życie".

STRASZENIE RODZICÓW

Werdykt jest ciosem dla aktywistów trans. Przez lata amerykańskie instytucje me-

Fot. IMDb, Shutterstock

eprasa.pl 7432f6a181

dyczne poddawały się bezkrytycznie ich żądaniom. Teraz, gdy w całych Stanach Zjednoczonych rozstrzyga się co najmniej 28 podobnych pozwów, a setki innych jest w przygotowaniu, ton się zmienia. Amerykańskie Towarzystwo Chirurgów Plastycznych od niedawna odradza przeprowadzania operacji zmiany płci u osób poniżej 19. roku życia. A Amerykańskie Towarzystwo Medyczne przyznało w minionym tygodniu, że dowody naukowe przemawiające za takimi interwencjami u dzieci „są słabe i że należy je odłożyć na okres dorosłości".

Są to ostrożne, ale mimo wszystko wyraźne zmiany, które oznaczają odwrót od konsensusu nieuniknionej afirmacji zmiany płci u dzieci, istniejącego jeszcze kilka lat temu. Podczas procesu została zresztą poruszona kwestia presji wywieranej na rodziców, aby wyrazili zgodę na zmianę płci. Claire Deacon, matka Varian, powiedziała podczas rozprawy, że psycholog „mówił, że córka odbierze sobie życie, jeśli nie podda się operacji". Deacon bała się więc kwestionować zaproponowaną „terapię".

Według analizy roszczeń ubezpieczeniowych przeprowadzonej przez Manhattan Institute w latach 2017–2023 co najmniej 5,2 tys. amerykańskich nastolatek poddało się chirurgicznemu usunięciu piersi w ramach zmiany płci. Do tego (u dzieci obu płci) doszło 405 operacji narządów płciowych i 350 innych zabiegów związanych z płcią; rzeczywista liczba z pewnością jest wyższa. Zwolennicy argumentują, że mogą one złagodzić cierpienie, a nawet zapobiec samobójstwom. Krytycy twierdzą, że dowody na ich skuteczność są nikłe.

NIEODWRACALNE ZMIANY

Rzadko też informuje się młodych pacjentów o ryzyku powikłań po operacji zmiany płci, które wynoszą 30–70 proc. oraz o wysokim ryzyku bezpłodności. Badanie przeprowadzone w 2024 r. na Federalnym Uniwersytecie w Pernambuco w Brazylii wykazało, że u 95 proc. młodych kobiet, które przyjmowały testosteron i inne leki, aby stać się mężczyznami, występowały problemy z pęcherzem i jelitami, „dysfunkcja dna miednicy", osteoporoza oraz inne objawy „postmenopauzalne", np. nietrzymanie moczu.

„Wmawialiśmy rodzicom, że zmiana płci sprawi, że ich dziecko znów będzie szczęśliwe. Dlaczego więc ich nowy syn (ich dawna córka) spędzał każdy dzień, płacząc w łazience lub zamknięty w pokoju? Im więcej dzieci i rodzin miałam okazję poznać, tym bardziej stawało się jasne, że rujnujemy młode życia. Ignorowaliśmy lub usprawiedliwialiśmy choroby współistniejące, takie jak autyzm, depresja czy choroba afektywna dwubiegunowa, jednocześnie wykorzystując każdą trudność w życiu dziecka, aby uzasadnić kontynuowanie procesu zmiany płci" – podkreśliła na łamach „New York Post" Jamie Reed, która w latach 2018–2022 była menedżerem w Centrum Transpłciowym Uniwersytetu Waszyngtońskiego w Szpitalu Dziecięcym St. Louis. „Młode dziewczyny, które przeszły mastektomię, zgłaszały się trzy miesiące później, bo chciały, by im przywrócono piersi" – dodała. Mastektomia jest jednak operacją trwałą i nieodwracalną, ponieważ polega na usunięciu tkanki piersi.

> Po raz pierwszy w USA ława przysięgłych orzekła, że lekarze, którzy zaaprobowali i przeprowadzili operację korekty płci u osoby nieletniej, dopuścili się błędu w sztuce lekarskiej

BŁĘDY MŁODOŚCI

Maia Poet, która w młodości wierzyła, że jest chłopcem, a dziś znów żyje jako kobieta, mówiła w rozmowie z Fox News o bólu i cierpieniu, jakie musi znosić z powodu trwającego wiele lat spłaszczania piersi za pomocą ciasno dopasowanej taśmy. „Teraz, mając 26 lat, żyję w ciągłym bólu" – napisała Poet na platformie X. „Moja górna część ciała jest trwale oszpecona" – dodała.

Matka nastolatki z Maine, której w szkole dostarczono taki pas na klatkę piersiową, wniosła sprawę do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych po tym, jak sądy niższej instancji orzekły, że szkoła nie może ponosić odpowiedzialności za krzywdę wyrządzoną jej córce, zresztą bez jej wiedzy i zgody.

„Wciąż cierpię z powodu konsekwencji przepisanego mi testosteronu, gdy byłam nastolatką, z powodu mojej dysforii płciowej" – napisała na X Prisha Mosley, kolejna osoba, która przeszła detranzycję i pozwała swoich lekarzy. „Nie biorę go już od kilku lat i nadal zmagam się z wyniszczającymi skutkami ubocznymi" –podkreśliła.

Obecnie 27 stanów w USA całkowicie lub częściowo zakazuje tzw. opieki afirmującej płeć (gender-affirming care) dla nieletnich, a Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych niedawno podtrzymał prawo stanu Tennessee ograniczające tę formę leczenia. Rok temu prezydent Donald Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze zakazujące federalnego finansowania instytucji zapewniających taką opiekę osobom poniżej 19. roku życia. Nakazał również Narodowym Instytutom Zdrowia (NIH) przeprowadzenie szeroko zakrojonych badań, by dowiedzieć się, jaki odsetek osób trans rzeczywiście żałuje zmiany płci.

MARTWA CÓRKA LUB ŻYWY SYN

Niedługo sąd w Kalifornii rozpatrzy skargę 22-letniej Chloe Cole przeciwko ubezpieczycielowi Kaiser Permanente. Cole jest biologiczną kobietą, która według opiekujących się nią psychologów od 9. roku życia cierpiała na tzw. dysforię płciową. „Pod opieką i poradą oskarżonych w wieku 13–17 lat przeszła szkodliwe leczenie transpłciowe, w szczególności stosowanie leków hamujących dojrzewanie, terapię hormonalną (testosteronem) oraz podwójną mastektomię" – czytamy w skardze. Lekarze mieli postawić rodziców Cole przed ultimatum: chcecie mieć martwą córkę czy zdrowego syna? Dziś Cole znów żyje jako kobieta, ale – jak twierdzi – w stałym cierpieniu, a do tego jest bezpłodna. Według niej „te pozwy zaleją system sądowy i uświadomią lekarzom, jak wielką odpowiedzialność niosą ze sobą tego typu zabiegi. Nie pozostawi im to innego wyboru, jak tylko zaprzestać stosowania tych terapii w przypadku dzieci" – powiedziała.

eprasa.pl 7432f6a181

Grobowiec Tutanchamona

Grobowiec, który zmienił historię – największe odkrycia archeologiczne

Znalezienie grobowca Tutanchamona w 1922 r. rozpaliło wyobraźnię świata i zapoczątkowało archeologiczną gorączkę. Złoto faraonów, opowieści o klątwach i sensacyjne doniesienia prasowe sprawiły, że stało się jednym z najsławniejszych i najważniejszych odkryć naukowych w dziejach. Ale nie było jedyne. Liczne prace archeologów pozwoliły na nowo opowiedzieć historię ludzkości i zmieniły nasze rozumienie przeszłości

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Poszukiwanie śladów dawnych cywilizacji towarzyszy ludzkości od wieków. Początkowo było napędzane głównie chęcią odnalezienia skarbów lub potwierdzenia mitów i legend. Władcy chętnie korzystali z usług poszukiwaczy, którzy dostarczali im różnego rodzaju artefakty, stanowiące symbol prestiżu.

Dopiero w XIX w. w Europie zaczęła się kształtować nowa nauka: archeologia – z metodami badawczymi, dokumentacją i próbą zrozumienia kontekstu znalezisk. Od tej pory celem nie były już same odkrycia, lecz także odpowiedź na pytanie, co nam one mówią o naszych przodkach. W związku z tym, że Europejczycy rządzili wtedy praktycznie całym światem, naukowcy zyskali ogromne możliwości.

ZAKLĘTY GROBOWIEC

Odkrycie grobowca Tutanchamona w listopadzie 1922 r. stanowiło zwieńczenie wieloletnich poszukiwań – często uważanych za bezsensowne – prowadzonych przez Howarda Cartera i George'a Carnarvona. Wielu ówczesnych naukowców uważało, że Dolina Królów została już całkowicie przebadana, a szanse na znalezienie nienaruszonego grobowca są znikome. Carter, kierując się analizą fragmentarycznych danych i intuicją, zdecydował się jednak na dalsze wykopaliska. Gdy odkryto zapieczętowane schody prowadzące do grobowca, stało się jasne, że archeologia stoi u progu sensacji.

16 lutego, po zdemontowaniu trzecich drzwi zakopanej budowli, przed naukowcami ukazała się komora ze skrzynią grobową zbudowaną ze złotej blachy oraz kolejna komora wypełniona skarbami. Wnętrze grobowca zawierało ponad 5 tys. przedmiotów, w tym trzy sarkofagi, z których jeden wykonano z litego złota, słynną maskę pośmiertną, rydwany wojenne, tron, klejnoty, broń oraz inne przedmioty codziennego użytku faraona. Niezwykłe było nie tylko bogactwo znalezisk, lecz także ich doskonały stan. Dzięki temu naukowcy mogli szczegółowo odtworzyć rytuały pogrzebowe, wierzenia dotyczące życia pozagrobowego oraz realia polityczne Egiptu XIV w. p.n.e. Badania artefaktów z grobowca ukazały bogactwo i złożoność kultury egipskiej, a także jej wpływ na inne cywilizacje. Odkrycie grobowca doprowadziło do gwałtownego wzrostu zainteresowania starożytnym Egiptem. Dało także początek legendzie znanej jako „klątwa Tutanchamona", stworzonej z powodu śmierci niektórych członków zespołu badawczego niedługo po otwarciu grobowca.

Fot. Mohamed El-Shahed/Afp/East News

eprasa.pl 7432f6a181

GDY LEGENDA OKAZAŁA SIĘ PRAWDĄ

Troja przez stulecia funkcjonowała przede wszystkim jako poetycki mit, miasto „stworzone" przez Homera. Zmieniło się to dopiero za sprawą pruskiego kupca i archeologa amatora Heinricha Schliemanna, który traktował „Iliadę" jako źródło historyczne. W latach 1871–1890 prowadził on wykopaliska na wzgórzu Hisarlık (na terenie dzisiejszej Turcji), kierując się opisami zawartymi w eposie. Jego odkrycia ujawniły istnienie kilku warstw osadniczych, z których każda odpowiadała innemu okresowi historycznemu.

Choć Schliemann błędnie uznał, że część znalezisk – m.in. rzekomy Skarb Priama – pochodzi z epoki wojny trojańskiej, późniejsze badania potwierdziły, że jedna z warstw miasta faktycznie została zniszczona w wyniku konfliktu ok. XIII w. p.n.e.

Pierwsze poważne opracowania naukowe przyniosły badania prowadzone przez Carla Blegena w latach 1932–1938. Jednak dopiero misja Manfreda Korfmanna z 1988 r. odnalazła m.in. wspomniane przez Homera bramy Skajską i Dardańską, pokazujące prawdziwe rozmiary antycznego miasta. Odkrycie Troi miało przełomowe znaczenie dla archeologii, ponieważ pokazało, że mityczne przekazy mogą zawierać autentyczne informacje historyczne.

Machu Picchu

MIASTO W CHMURACH

W 1911 r. Amerykanin Hiram Bingham poszukiwał legendarnej stolicy Inków, Vilcabamby, która w 1572 r. miała zostać zdobyta i zburzona przez Hiszpanów. W trakcie badań natknął się na ruiny miasta oddalonego jedynie 80 km od Cuzco, którego jednak konkwistadorzy nigdy nie odnaleźli – Machu Picchu. Położone na stromym grzbiecie górskim przez stulecia pozostawało niemal nietknięte, znane jedynie lokalnej ludności. Po latach okazało się, że najprawdopodobniej w 1867 r. na miejsce dotarł niemiecki przedsiębiorca August Berns, który miał wybudować u podnóża góry tartak i wywozić część skarbów do Europy. Ale dopiero badania Binghama zwróciły uwagę świata na ten niezwykły kompleks kamiennych tarasów, świątyń i rezydencji.

Analiza architektury Machu Picchu ujawniła niezwykłe umiejętności inżynieryjne Inków: precyzyjne dopasowanie bloków kamiennych bez użycia zaprawy, systemy odprowadzania wody oraz tarasy zapobiegające osuwiskom. Dokładna funkcja miasta pozostaje przedmiotem debat – Machu Picchu mogło być rezydencją władcy lub centrum religijnym. Nie zmienia to faktu, że odkrycie miasta zrewolucjonizowało postrzeganie cywilizacji Inków jako wysoko rozwiniętej i doskonale zorganizowanej. Machu Picchu stało się symbolem dziedzictwa Ameryki Południowej i jednym z najważniejszych stanowisk archeologicznych świata.

ZATRZYMANY MOMENT HISTORII

24 sierpnia 79 r. n.e. wybuch Wezuwiusza pogrzebał zamożne rzymskie miasto Pompeje pod tonami popiołu i pumeksu. Ten sam los spotkał Herkulanum i inne pobliskie ośrodki. Przez stulecia ten świat pozostawał ukryty. Pod koniec XVI w. podczas prac przy budowie kanału odkryto starożytne napisy. Systematyczne wykopaliska rozpoczęto w XVIII w. To, co wyłoniło się spod warstw popiołu, okazało się niezwykłe: świetnie zachowane ulice, place, świątynie, łaźnie, teatry, amfiteatr, domy prywatne, a nawet dom publiczny. Wiele z nich zdobiły freski i mozaiki, a stan ich zachowania okazał się znakomity.

Ponadto archeolodzy odkryli formy ciał ludzkich i zwierzęcych. Dzięki uwięzieniu w popiele można dziś dokładnie odtworzyć i zobaczyć dramatyzm ostatnich chwil ich życia. Znaleziono również graffiti napisane potoczną łaciną, reklamy, żarty i przekazy polityczne.

Dzięki odkryciu Pompejów i Herkulanum archeologia po raz pierwszy mogła z taką dokładnością odtworzyć społeczną i kulturową rzeczywistość miasta starożytnego Rzymu. Ale nawet obecnie ok. jedna trzecia Pompejów pozostaje nieodkopana.

KLUCZ DO ZAPOMNIANEGO JĘZYKA

Kamień z Rosetty, szara magmowa płyta, została odkryta w 1799 r. podczas robót fortyfikacyjnych w średniowiecznej twierdzy w egipskim porcie Rosette w delcie Nilu. Stanowiła wówczas element starego muru twierdzy, remontowanego przez francuskich żołnierzy w oczekiwaniu na spodziewany atak turecki. Znajdująca się na nim inskrypcja zawierała dekret z 196 r. p.n.e. zapisany w trzech wersjach językowych: hieroglificznym, demotycznym i greckim.

Później, po klęsce Napoleona i brytyjskiej okupacji, kamień przeniesiono do Muzeum Brytyjskiego w Londynie, gdzie znajduje się do dziś. Kluczowe okazały się jednak badania francuskiego językoznawcy Jeana-François Champolliona, któremu w 1822 r. udało się powiązać znaki hieroglificzne z ich

Pompeje

Fot. Shutterstock

epressa.pl 7432f6a181

greckimi odpowiednikami, ostatecznie odczytując święte pismo faraonów. Odkrycie dało początek nowożytnej egiptologii.

WOJSKO, KTÓRE STRZEGŁO WIECZNOŚCI

W marcu 1974 r. kilku chińskich rolników, kopiąc studnię w pobliżu miasta Xi'an, natrafiło na fragmenty glinianych figur, które szybko okazały się częścią jednego z najbardziej niezwykłych zespołów archeologicznych świata. Wykopaliska przeprowadzone dwa lata później w tej samej okolicy doprowadziły badaczy do monumentalnego kompleksu grobowego Qin Shi Huanga, nazywanego pierwszym cesarzem Chin, panującego w III w. p.n.e. W gigantycznym grobowcu znajdowały się tysiące naturalnej wielkości postaci żołnierzy, oficerów, łuczników i koni ustawionych w precyzyjnych formacjach bojowych, mających pełnić straż po śmierci swojego władcy. Każda figura została wykonana indywidualnie, z dbałością o detale rysów twarzy, fryzur, uzbrojenia i rangi. Całe mauzoleum zajmuje powierzchnię ponad 100 km², z komnatą grobową cesarza usytuowaną na wzniesieniu i otoczoną podziemnym murem obronnym.

Znaczenie Terakotowej Armii wykracza daleko poza jej imponującą skalę. Znalezisko dostarczyło archeologom cenne informacje o organizacji armii, technologii wojskowej i strukturze państwa dynastii Qin. Ujawniło również ogromne możliwości administracyjne wczesnego cesarstwa, a także straszne okrucieństwo. Władca był zdolny do realizacji przedsięwzięcia angażującego tysiące robotników, których następnie zabijano i chowano niedaleko kompleksu grobowego. Terakotowa Armia stała się trwałym symbolem potęgi pierwszego zjednoczonego państwa chińskiego oraz wyjątkowym świadectwem wierzeń związanych z życiem pozagrobowym w starożytnych Chinach.

KOŚCI ŚW. PIOTRA

Nieco mniej znanym, ale zarazem niezwykle ważnym wydarzeniem archeologicznym były badania prowadzone pod bazyliką św. Piotra w Watykanie. W 1940 r. z inicjatywy papieża Piusa XII rozpoczęto wykopaliska w podziemiach świątyni w celu zlokalizowania szczątków apostoła Piotra, pierwszego biskupa Rzymu. Archeolodzy

Terakotowa Armia

natrafili na starożytną nekropolię oraz grób znajdujący się dokładnie pod głównym ołtarzem bazyliki, w miejscu czczonym przez chrześcijan od pierwszych wieków.

Wśród odnalezionych szczątków znajdowały się kości mężczyzny w podeszłym wieku, noszące ślady pochówku zgodnego z rzymskimi praktykami I w. Dodatkowe znaczenie miała purpurowa tkanina, stanowiąca dowód wyjątkowego statusu pochowanego.

Kości ukryto na kilkanaście lat, a do badań powrócono w 1953 r. Identyfikacja szczątków stanowiła przedmiot długiej debaty naukowej, a w 1968 r. papież Paweł VI potwierdził autentyczność relikwii św. Piotra. Odkrycie to miało ogromne znaczenie nie tylko dla archeologii i historii wczesnego chrześcijaństwa, lecz także potwierdziło symboliczną ciągłość tradycji apostolskiej i znaczenie Rzymu jako centrum chrześcijaństwa.

„POLSKIE POMPEJE" EPOKI BRĄZU

Wyjątkowe miejsce w historii polskiej archeologii zajmuje Biskupin. Osadę odkryto przypadkowo w 1933 r., gdy w wyniku obniżenia poziomu wody w Jeziorze Biskupińskim ukazały się szczątki drewnianej konstrukcji. Badania prowadzone przez Józefa Kostrzewskiego wykazały, że jest to doskonale zachowana osada obronna kultury łużyckiej z VIII w. p.n.e. Dzięki podmokłemu środowisku zachowały się nie tylko wały, układ ulic, domów, lecz także przedmioty codziennego użytku wykonane z drewna, które w normalnych warunkach nie przetrwałoby próby czasu w tak dobrym stanie.

Biskupin szybko stał się sensacją naukową. Odkrycie dowiodło wysokiego poziomu organizacji społecznej i technicznej pradziejowych mieszkańców tych ziem, obalając wcześniejsze przekonania o ich prymitywizmie.

Biskupin

W czasie II wojny światowej Niemcy usiłowali wykazać germańskość osady, jednak ich badania nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Dziś Biskupin pozostaje jednym z najlepiej zbadanych stanowisk archeologicznych w Europie Środkowej, a odtworzona rekonstrukcja grodu jest żywą lekcją historii.

CO JESZCZE CZEKA NA ODKRYCIE?

Mimo setek lat badań przed archeologią wciąż stoją ogromne wyzwania. Badacze poszukują m.in. grobu Kleopatry, zaginionych miast Majów w amazońskiej dżungli czy śladów najstarszych migracji człowieka. Każdy rok przynosi kolejne odkrycia w dziedzinie archeologii. Nowoczesne technologie – takie jak skanowanie laserowe, zdjęcia satelitarne i analizy DNA – pozwalają namierzyć kolejne bezcenne znaleziska, często nawet bez użycia łopaty. Każde wielkie odkrycie archeologiczne to coś więcej niż sensacja – to fragment układanki, która pozwala lepiej zrozumieć rozwój różnych cywilizacji, kultur i idei. Archeologia odsłania nieznane karty historii ludzkości, pokazuje ciągłość doświadczeń i przypomina, że współczesny świat wyrósł na fundamentach starszych, niż mogłoby się wydawać. Grobowiec Tutanchamona, Troja czy Machu Picchu są nie tylko reliktami przeszłości, lecz także opowieściami o historii ludzkości, którą wciąż odkrywamy na nowo.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7432f6a181

Rose Byrne; kadr z filmu „Kopnęłabym cię, gdybym mogła”

Mocne kopnięcie

Rose Byrne długo czekała na taką rolę. W filmie „Kopnęłabym cię, gdybym mogła” nie bierze jeńców. Jako aktorka, bohaterka, kobieta pracująca, matka... W oscarowym wyścigu ma jedną poważną rywalkę – Jessie Buckley z „Hamneta”

Fot. Best Film

eprasa.pl 7432f6a181

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Jessie Buckley w filmie „Hamnet”

Obie zagrały nietuzinkowo pokazane bohaterki i matki. Kobiety w presji i opresji – społecznych ról i oczekiwań; życiowych dramatów – tych wielkich i tych codziennych, ale w obu przypadkach dźwiganych w pojedynkę, bez obecnego u boku partnera.

W CENTRUM OPRESJI

Zarówno współczesna Linda (Byrne), której sufit dosłownie wali się na głowę, jak i Agnes (Buckley) – żona wchodzącego dopiero na teatralny Olimp Williama Szekspira, której przyszło się zmierzyć ze śmiercią dziecka – przeformatowały filmową opowieść. Stały się centrum świata postrzeganego z kobiecej perspektywy. Na wszystkich płaszczyznach – sytuacji, emocji, percepcji, wizualizacji – historie bohaterek są opowiadane przez sposób, w jaki odczuwają one to, co dzieje się wokół.

W przypadku filmu „Kopnęłabym cię, gdybym mogła” trudno przy tym ocenić, na ile wir zdarzeń – przytłaczających, wysysających energię, zmuszających do stałej dyspozycyjności – jest odbierany obiektywnie, a na ile projektowany przez wyczerpaną do granic możliwości Lindę. Matkę absorbującego dziecka. Jednocześnie pracownicę (paradoksalnie: terapeutkę w poradni psychologicznych kryzysów) i żonę nieobecnego, „bardzo zapracowanego” męża-pilota, który chętnie obciąża ją dodatkowymi zadaniami.

SKUTECZNA LINDA

Byrne – stale przed kamerą, w licznych zbliżeniach i nieustannym dialogu z dzieckiem, którego w większości na ekranie nie widać – wciąga widzów (choć chyba przede wszystkim współodczuwające widzki) w kołowrót, z którego nie sposób się wydostać.

Jest – w doświadczanej przez siebie ekranowej opresji – nie tylko bardzo wiarygodna, lecz także hipnotyzująca. W klaustrofobicznym natłoku bodźców z pełną paletą uczuć i emocji przykuwa uwagę. Nie pozwala na oddech, bo jej bohaterka też nie ma chwili wytchnienia. Choćby najkrótszej, ale skutecznej.

Czy Rose Byrne odbierze Oscara za swoją rolę? Przekonamy się w połowie marca. Na razie wydaje się przede wszystkim cieszyć z tego, co już przyniosła jej filmowa Linda – po ponad dwóch dekadach pracy w Hollywood aktorka stała się równie rozpoznawalna jak jej życiowy partner Bobby Cannavale.

GWIAZDA Z SYDNEY

O tym, że jest Australijką, wiele osób dowiedziało się dzięki jej przemowie podczas gali Złotych Globów, kiedy cieszyła się, że za sprawą bezpośredniej transmisji rodzice mogą ją oglądać na Antypodach.

Urodziła się 24 lipca 1979 r. w Sydney, w rodzinie o szkockich i irlandzkich korzeniach. Jest najmłodszym z czwórki dzieci June i Robina Byrne. Już jako 8-latka połknęła aktorskiego bakcyla. Stało się to na warsztatach przy Australian Theatre for Young People.

Debiutowała na ekranie, mając lat 15, w australijsko-brytyjskiej komedii „Dallas Doll”. Wkrótce potem pojawiła się kolejno w trzech serialach i filmie „Partnerska rozgrywka” u boku Heatha Ledgera.

Przełomem okazała się rola w „Bogini roku 1967” (2000). Byrne otrzymała za nią Puchar Volpiego dla najlepszej aktorki na 57. MFF w Wenecji, a następnie zaczęła współpracować z... Sydney Theatre Company, gdzie wystąpiła w trzech spektaklach.

NAJLEPSZE „UKŁADY”

Do Hollywood trafiła w 2002 r. Zagrała niewielkie role w drugiej części „Gwiezdnych wojen” – „Ataku klonów” i „Troi” (2004). Później pojawiła się w oscarowym filmie Sofii Coppoli „Maria Antonina” (2006). Kluczowy dla jej kariery okazał się serial „Układy”. W latach 2007–2010, we wszystkich 59 jego odcinkach spotykała się na planie z Glenn Close. Za rolę Ellen Parsons była dwukrotnie nominowana do Złotych Globów (2008, 2010) oraz nagród Emmy (2009, 2010).

„Układy” otworzyły jej drogę do superprodukcji „X-Men”. Związała się z nią w 2011 r., wcielając się w postać Moiry MacTaggert. W drugim planie pojawiała się w mniej lub bardziej zauważanych filmach, m.in. „Druhny”, „Drugie oblicze”, „Agentka” czy „Rodzina od zaraz”, ale dopiero rola w obrazie Mary Bronstein dosłownie „wykopała” ją na pierwszoplanową hollywoodzką orbitę.

W KRZYWYM ZWIERCIADLE

O tym, że nie spodziewała się aż tylu nagród za rolę Lindy (otrzymała za nią także Srebrnego Niedźwiedzia na Berlinale 2025), świadczy jej dowcipne przemówienie podczas odbierania Złotego Globa – uznali z partnerem, że dla dobrych rodzinnych relacji, zamiast towarzyszyć jej na gali, powinien on pojechać na... targi gadów, skąd miał przywieźć obiecaną synom jaszczurkę – agamę brodatą.

Z aktorem Bobbym Cannavale Rose Byrne jest związana od 2012 r. Mają dwóch synów: 10-letniego Rocco Robina i 9-letniego Rafę. Mieszkają na nowojorskim Brooklynie, ale to Australię aktorka nazywa „emocjonalnym domem”. W jednym z telewizyjnych programów wspomniała, że całą rodziną w 2025 r. spędzili wakacje właśnie w Australii. „Kupiliśmy kampera i pojechaliśmy z Melbourne do Sydney [...]. Zrobiliśmy całe Griswolds” – nawiązała do komediowej kinowej serii „W krzywym zwierciadle”.

Fot. Agata Grzybowska/© 2025 FOCUS FEATURES LLC/UIP

eprasa.pl 7432f6a181

Maciej Walaszczyk

Dokąd zmierza Kościół?

Świat obiegła zapowiedź ks. Davide'a Pagliaraniego, obecnie przełożonego generalnego Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X, dokonania nowych konsekracji biskupich. Jest ona wynikiem fiaska negocjacji z Ojcem Świętym i – jak tłumaczy – obiektywnym stanem wyższej konieczności. A więc niemal po 40 latach powtórzy się to, co się stało 30 czerwca 1988 r., gdy założyciel bractwa abp Marcel Lefebvre bez zgody Rzymu udzielił święceń czterem prezbiterom. To sytuacja patowa, która – jak się zdaje – będzie trwać przez dziesięciolecia.

Kilka tygodni temu pojawiła się książka znanej katolickiej dziennikarki Ewy Polak-Pałkiewicz, przybliżająca postać Lefebvre'a. Całość poprzedza wstęp ks. prof. Roberta Skrzypczaka, w którym nie tylko przyznaje, że założyciel FSSPX to postać nietuzinkowa, lecz także stwierdza, iż wielu przez lata myliło się w jego ocenie, a jego dzieło i myśl „może okazać się elementem sprzyjającym przyszłemu dobru Kościoła i jego duchowej odnowie". Autorka stara się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zarówno dla laickich mediów, jak i kościelnego establishmentu stał się czarnym charakterem. Posoborowe otwarcie na nowoczesną kulturę odczytywano jako „nową wiosnę Kościoła". Tymczasem – tak jak ostrzegał abp Lefebvre – przyniosło kryzys, który w kolejnych dekadach przejawiał się zanikiem powołań, praktyk religijnych i wiary. Dziś dyskutuje się nawet o błogosławieniu par homoseksualnych i forsuje kolejne eksperymenty liturgiczne. Autorka w kilku opowieściach szuka przyczyn sekularyzacji – m.in. w kasacie zakonu jezuitów w czasach Ludwika XV, działaniach encyklopedystów, a także wraca do postaci wojującego z protestantyzmem ks. Piotra Skargi, który wręcz modelowo nie pasuje do posoborowego dialogu ekumenicznego. Odpowiada na pytanie, skąd u abp. Lefebvre'a przywiązanie do tradycyjnej teologii, liturgii oraz związanymi z tym dyscypliny i duchowości kapłańskiej, skąd opór wobec soboru, modernizmu czy prób łączenia marksizmu z chrześcijaństwem. Już w latach 50. jako delegat papieski na Afrykę przestrzegał niepodległe kraje Czarnego Lądu przed rządami lewicy, która – jak twierdził – wyda je na łup komunizmu, unicestwi rodzącą się tam cywilizację chrześcijańską, a ta wkrótce stanie się nieuchronną ofiarą islamu. Tak jak dziś Europa.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Ewa Polak-Pałkiewicz, „Ekscelencja jest szalony! Arcybiskup Marcel Lefebvre i czasy, które przewidział", Ora Pro Nobis 2025

Między Niemcami a Rosją

Sprawy międzynarodowe zajmują coraz więcej uwagi analityków, a dynamika wydarzeń i ich skala każą pilnie obserwować, co się dzieje wokół Polski i Europy. Dlatego szczególnie godny uwagi jest opublikowany w „Arcanach" ciekawy tekst Marka Budzisza na temat europeizacji NATO. Wojna na Ukrainie, rosyjskie ambicje i stopniowa redukcja amerykańskiej obecności wojskowej na Starym Kontynencie sprawiają, że Niemcy pragną odgrywać większą rolę w europejskiej polityce bezpieczeństwa – odbudować potencjał militarny, a tym samym swoją gospodarkę i pozycję polityczną. Zdaniem autora z polskiego punktu widzenia groźba nie polega na realizacji przez nich planów budowy „największej amii lądowej Europy", ale na tym, że ich starania mogą być połowiczne i opóźnione. W ocenie Budzisza fiasko remilitaryzacji Niemiec mogłoby w znacznie większym stopniu wpłynąć na bezpieczeństwo Polski niż naszego zachodniego sąsiada, skłonnego również do zawarcia strategicznego porozumienia z Moskwą.

O tym, co w takim przypadku grozi nam ze strony Rosji, pisze prof. Andrzej Nowak. Przypomina genezę narodzin pojęcia „Europa Wschodnia", wyodrębnionej z zachodniej wspólnoty politycznej jako domeny rosyjskiej polityki imperialnej. Ta – za zgodą krajów europejskich – ma ambicję być dla niej gwarantem „stabilizacji" w przyznanej jej strefie wpływów, co oczywiście podkopuje rację bytu niepodległej Polski i otwiera Rosji drogę na Zachód.

Poza tym warto polecić rozmowę z prof. Andrásem Lánczim pt. „Węgierska zagadka: filozofia polityczna, konserwatyzm i polityka na Węgrzech". Filozof, kierujący Europejskim Centrum Filozofii Politycznej w budapeszteńskim Kolegium im. Macieja Korwina, zwraca uwagę, że nowoczesny człowiek zatracił sens życia, bo wierząc w teorię umowy społecznej, wierzył też, że zastany porządek jest jego dziełem, a polityka – racjonalnym narzędziem rozwiązującym wszystkie jego problemy. Tymczasem nastąpiło wielkie rozczarowanie. Zdaniem prof. Lánczíego, podobnie jak niedawny renesans nacjonalizmu – będący efektem rozpaczliwego poszukiwania wspólnotowego doświadczenia – konserwatyzm ma szansę pomóc zrozumieć człowieka i rozbić wszelkie nowoczesne mity na temat jego natury.

„Arcana" 186 (6/2025), Kraków 2025

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 7432f6a181

HITY i KITY ZAREMBY

„Pojedynek" – o genie sprzeciwu Polaków

Łukasz Palkowski nakręcił bardzo dobry film „Pojedynek" (w kinach od 27 lutego). Oglądaliśmy już opowieści o polskich oficerach, którzy zginęli w Katyniu. Ale reżyser uważa, że tamte wydarzenia to materiał na 20 filmów

Lubię kino Palkowskiego – od jego debiutu „Rezerwat" z 2007 r. Był pełen społecznej empatii i pochwały lokalnego zakorzenienia. Ujmowały mnie jego filmy, takie jak „Najlepszy" (o sportowcu wydobywającym się z narkomanii) czy „Bogowie" (o fenomenie prof. Religi). Kino historyczne nie było specjalnością tego reżysera. A tu zabrał się za opowieść o oficerach trzymanych przez Sowietów w obozie w Kozielsku, kuszonych perspektywą współpracy przez majora NKWD Zarubina i na końcu wymordowanych w 1940 r.

Współautorem scenariusza jest reżyser Robert Gliński. Możliwe, że zaczęło się od jego poszukiwań wokół tematu. Jego projekt filmu o zbrodni katyńskiej został przed laty zablokowany przez Andrzeja Wajdę, który sam chciał zrealizować ten temat. „Katyń" Wajdy to bardziej opowieść o pamięci zbrodni, ale kilka obozowych obrazków musiało się w nim znaleźć.

Jest inna opowieść o tym, co teraz pokazał Palkowski – sugestywny teatr telewizji „Inspekcja" z 2018 r. Scenariusz napisał legendarny Grzegorz Królikiewicz, a wyreżyserował jego syn Jacek Raginis. To także historia nieudanego kuszenia, tyle że w „Inspekcji" sylwetki polskich oficerów trochę niknęły w cieniu samego Zarubina. Palkowski opowiada tę historię z perspektywy muzyka Karola Grabowskiego. Według grającego go Jakuba Gierszała był w obozie pianista, dla którego Zarubin kazał sprowadzić fortepian.

Główne przesłanie jest proste, reżyser wypowiedział je podczas pokazu prasowego: Polacy mimo wad mają w sobie gen sprzeciwu. Palkowski zwraca uwagę, że ten kontekst historyczny może dziś powracać. Dopowiedziałbym, że nie jestem aż tak pewny genu sprzeciwu u współczesnych Polaków. Ale może to podsuwanie nam wzoru? Tamci ludzie nie chcieli się roztopić w projekcie, zdawałoby się większym niż polskość – projekcie o twarzy intelektualisty Zarubina, ale także okrutnych strażników.

Nowością jest u Palkowskiego pokazanie zbiorowego portretu inteligenckich więźniów. Nie są papierowi, pozostają jednak ujmujący. Fenomenem jest autentyczna postać – Janina Lewandowska, pilotka, jedyna kobieta wśród oficerów, córka gen. Dowbora-Muśnickiego. Jej losy to temat na oddzielny film. Tu świetnie zagrała ją Julia Pietrucha.

Grabowskiego gra ulubiony aktor Palkowskiego – Jakub Gierszał. Często obsadzany w rolach zimnych, młodych ludzi tu jest trochę awanturniczy, ale sympatyczny, miejscami ciepły. Aktor opowiada, jak bardzo chciał odebrać Grabowskiemu cechę niezłomności, pokazać jako postać wielowymiarową. Co jednak poradzić, kiedy finał pokazuje nam bohatera?

Mam drobne zastrzeżenia, choćby do niejasnego wątku sprowadzonej do obozu (skąd?) żony Grabowskiego. Zarubina gra irlandzki aktor Aidan Gillan – czy nie dlatego, że konwersuje z polskimi oficerami po angielsku? Mógłby jednak mieć rosyjski akcent, jest za bardzo człowiekiem Zachodu. Znakomici są Bogusław Linda jako sardoniczny dr Nowak, Wojciech Mecwaldowski jako perorujący żydowski oficer Sztajn czy pojawiający się w dwóch scenach Tomasz Kot jako Ławrientij Beria. Na widok Grzegorza Palkowskiego w roli góralskiego lotnika Gąsienicy trudno nie poczuć rozrzewnienia. To młodszy o 17 lat brat reżysera, który w „Rezerwacie" był dzieckiem.

Film tętni emocjami. Jako widz nie bałbym się wzruszenia. W Polsce trochę przygasła ekscytacja kinem historycznym. Ale może ten porces da się odwrócić?

Piotr Zaremba

Fot. Jarosław Sosiński

Maczo walczy w obronie szpitala

Wracam do serialu „Na dobre i złe" w TVP2. Choć jest z nami od 1999 r., nadal potrafi mnie czymś zaskoczyć. Tym razem pozytywnie

Fot. TVP

Przypomnę: oglądamy przygody lekarzy ze szpitalu w Leśnej Górze. I ich pacjentów, bo w każdym odcinku mamy ludzkie historie zmagań z chorobami. Do szpitala nadal można się dostać natychmiast, a lekarze i pielęgniarki każdego obsługują tam jak króla. To bajkowy wymiar serialu.

A zarazem... prezydent Karol Nawrocki podczas szczytu medycznego u siebie w pałacu wspomniał o serialu propagującym prywatyzację szpitali – może chodziło mu właśnie o „Na dobre i złe". Do tej pory szpital należał do Akademii Medycznej, ale z powodu jego zadłużenia i kłopotów (atak hakerski) rektor sprzedał go biznesmenowi.

Tyle że cała historia z tą transakcją jest tu przedstawiona jako wielki szwindel. Skądinąd owych kłopotów finansowych specjalnie nie widać. Chociaż... Nowy dyrektor, świetny kardiolog Maks Beger zmusza personel do rezygnacji ze zbyt drogich procedur. Zaczął też zwalniać ludzi.

Pisałem tu już o problemie Begera. Od 100 odcinków jest przedstawiany jako zakochany w sobie maczysta. Dyrektorem został dzięki intrydze. A ponieważ serial zaczął coraz bardziej gustować w piętnowaniu facetów za twardzielstwo wobec kobiet, uznałem, że scenarzyści (jest ich cały tabun, reżyserów też) wywyższyli go, aby widowiskowo za wszystko ukarać. Tak się pisze takie rzeczy.

A tu na razie nie. Owszem, Beger nie traci niektórych nieprzyjemnych cech. Na fali wojny o oszczędności próbował zwolnić ubóstwianego dr. Trettera (Piotr Garlicki) i cofnął się tylko pod presją zespołu. Nie umie słuchać innych. Ale zarazem walczy, jak może o przetrwanie szpitala. Wręcz rzuca wyzwanie inwestorowi, który chciał zamknąć placówkę.

Zaczął ujawniać ludzkie cechy, ba, zszedł się z lekarką Glorią (Aleksandra Grabowska), z którą kiedyś miał romans. Potępiała go jako maczo, a teraz mu ufa. Piszę o tym, bo Beger, świetnie grany przez Tomasza Ciachorowskiego, to jedna z najciekawszych postaci w telewizyjnych tasiemcach. Tylko co go czeka? Pełna rehabilitacja czy jednak strącenie z piedestału?

FAREED ZAKARIA NA LIBERALNYM FRONCIE

„Czas rewolucji" to książka Fareeda Zakarii, gwiazdy amerykańskiego dziennikarstwa. Teoretycznie to erudycyjny wykład o historii, w praktyce – manifest niepokoju o tzw. liberalną demokrację

Zakaria, który pisze o sobie jako o człowieku wychowanym w Indiach, przez lata był twarzą amerykańskiego „Newsweeka". Dzięki temu również ja zetknąłem się z nim przed laty, kiedy byłem w zespole polskiego „Newsweeka". Dziś ma program w CNN i pisze felietony do „Washington Post". I martwi się kierunkiem, w którym zmierza świat zachodniej cywilizacji.

Podtytuł brzmi: „Postęp i opór od 1600 roku do współczesności". Ale to trochę pretekst. Dziennikarz zaczyna opowieść od Donalda Trumpa. Dowodzi, jak bardzo różni się on od Ronalda Reagana i dawnych republikanów. To prawda: Reagan otworzył USA na wolnorynkową globalizację, Trump zapowiadał częściowe zawrócenie wskazówek zegara.

Zarazem w swoich opisach współczesności Zakaria od początku jest stronniczy. Tzw. populistom przypisuje wrogość wobec wolności słowa, tymczasem i liberalny mainstream nie szanuje tej wolności wręcz systemowo. Na czym polega polityczna poprawność? Po co chce się karać za tzw. mowę nienawiści?

Cały środek książki to elokwentna opowieść Zakarii o rozmaitych rewolucjach. Zestawia brytyjską z 1688 r. z francuską z 1789 r. i ma rację: ta pierwsza była udana, stworzyła w miarę stabilną monarchię konstytucyjną. Druga zatonęła w morzu krwi i rozmaitych radykalizmach, co autor łączy z francuskim etatyzmem. Opowiada nam też o rewolucji przemysłowej, postępie technicznym i konsekwencjach rewolucji amerykańskiej, czyli o rozwoju Stanów Zjednoczonych.

Z wieloma obserwacjami nie sposób się nie zgodzić, także tymi dotyczącymi współczesnego układu sił na świecie, z rywalizacją Chin z Ameryką na czele.

Problem pojawia się, kiedy komentator próbuje zadawać fundamentalne pytania dotyczące obecnej rzeczywistości. Dlaczego różne siły polityczne w różnych krajach odrzucają globalizacyjną efektywność, kwestionując np. proces permanentnej masowej imigracji? Zakaria pomija jej różne konsekwencje społeczne, nie pojmuje sensu obrony własnej tożsamości. Roztrząsa konsekwencje przemian technologicznych, ale nie zauważa choćby dogmatycznego radykalizmu polityki klimatycznej.

Z aprobatą cytuje wypowiedź Margaret Thatcher, która pisała o rewolucji francuskiej jako o „utopijnej próbie zburzenia tradycyjnego porządku [...] w imię abstrakcyjnych idei sformułowanych przez próżnych intelektualistów". Przecież o współczesnych elitach liberalnych da się powiedzieć coś podobnego. Próbuje pozostać optymistą: porządek liberalny ma być do uratowania. Ale ani się nie dowiemy, w jaki sposób, ani tym bardziej – czy warto.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Bój o nową Gdynię

Rząd Donalda Tuska działa tak, jakby nie chciał 50 mld zł z ceł na chińskie produkty przywożone koleją do Europy. A może po prostu chce, żeby pieniądze, zamiast do Warszawy, popłynęły do Berlina?

Małaszewicze to stacja koło Terespola na granicy polsko-białoruskiej. Tutaj spotykają się szerokie, sowieckie tory z siecią europejskich połączeń kolejowych. Tędy wjeżdżają do Europy towary produkowane w chińskich fabrykach i fabryczkach. To w Małaszewiczach trzeba je przeładować i oclić. Nie ma lepszego miejsca w Polsce, żeby zarobić na czymś, co z geopolitycznego punktu widzenia jest przecież naszym przekleństwem – na położeniu. Skasować tłustą rentę, zagrać mądrze, wziąć, co nasze.

Dlatego o śmiałej, kompleksowej rozbudowie suchego portu w Małaszewiczach mówiło się od dawna. Plany długo pozostawały tylko na papierze, ale wreszcie udało się skrzesać iskrę i odpalić inwestycyjny silnik. W 2023 r. parlament przyjął małaszewicką specustawę. Zakłada ona finansowanie megabudowy z kwotą 3,5 mld zł z budżetu państwa, poprzez emisję papierów skarbowych.

„Budujemy nową Gdynię, Gdynię Polski Wschodniej" – mówił wówczas reprezentujący zabiegający o Małaszewicze w ówczesnym rządzie senator z południowego Podlasia Grzegorz Bierecki. Projekt zakładał podwojenie przepustowości terminala z obecnych 16 par pociągów do ponad 30 par na dobę, wdrożenie nowoczesnych systemów zarządzania ruchem, przyspieszenie odpraw celnych i skrócenie czasu oczekiwania kontenerów na wjazd do terminali.

TEN SAM MANEWR

Jeszcze we wrześniu 2023 r. wydawało się, że największa inwestycja w historii województwa lubelskiego staje się wreszcie faktem. Ale nadszedł koszmarny październik. Nakręcane antypisowską histerią kolejki w komisjach w Jagodnie i Wilanowie oraz późniejsze powyborcze układanki sprawiły, że władzę objęła koalicja Donalda Tuska. A ruch wokół małaszewickiego projektu z przeraźliwym piskiem wyhamował.

Nowa władza wykonała ten sam manewr, co wobec innych zainicjowanych przez PiS projektów rozwojowych. Najpierw niekończące się audyty i chaos informacyjny, potem popis lenistwa i nieudolności. Dość powiedzieć, że będące koniecznym warunkiem startu rozbudowy przejęcie zarządzającej Małaszewiczami spółki Cagotor przez PKP PLK trwało dwa lata. A mówimy przecież o wchłonięciu jednej państwowej spółki kolejowej przez drugą państwową spółkę kolejową.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7432f6a181

Po drodze – zanim ostatniego dnia 2025 r. ministrowie, urzędnicy i menedżerowie ogłosili ten „wielki sukces" – trzeba było zorganizować dwie specjalne sesje sejmiku województwa lubelskiego, napisać kilkanaście pism do decydentów, tłumaczyć sprawę na komisjach parlamentarnych.

„Suchy Port Małaszewicze jest miejscem, w którym aktualnie znajdują miejsce pracy naszej miejskiej gminy Terespol oraz gmin sąsiednich. Prosperujący w tym obszarze przewoźnicy kolejowi, konsorcja logistyczne, terminale przeładunkowe, firmy spedycyjne, przewoźnicy drogowi oraz nowopowstające i rozwijające się mikroprzedsiębiorstwa stanowią istotny rynek pracy w naszym makroregionie województwa lubelskiego" – tłumaczyli ludziom Tuska w stanowisku z sierpnia 2024 r. radni i burmistrz Terespola.

„Sejmik Województwa Lubelskiego zwraca się do Ministra Infrastruktury o przedstawienie szczegółowego harmonogramu realizacji inwestycji oraz wskazanie podjętych działań w celu dotrzymania terminów ustalonych w ustawie. Jasny plan działania i przejrzystość w komunikacji są kluczowe dla budowania zaufania publicznego i zapewnienia, że ten projekt będzie realizowany" – apelowali miesiąc wcześniej radni sejmiku.

Typowy dla rządów Tuska żenujący schemat: ludzie walczący o interes państwa z własnym rządem, który ten interes ma gdzieś.

USTAWA BEZ FINANSOWANIA

„Powiększamy naszą grupę kapitałową o ważne aktywo zarządzające infrastrukturą w Rejonie Przeładunkowym Małaszewicze oraz w kilkudziesięciu lokalizacjach w kraju, potwierdzając tym samym wiodącą rolę Grupy PLK w rozwoju polskiej kolei" – ogłosił w komunikacie prasowym prezes zarządu PKP PLK SA Piotr Wyborski.

Pięknie, tylko i tak jest już za późno. Tak, inwestycję da się jeszcze uratować. Ale nie na podstawie ustawy z 2023 r. Zawarty w niej harmonogram stracił bowiem sens.

„Ta ustawa wciąż obowiązuje, niemniej ze względu na opieszałość działań obecnego rządu zdezaktualizowały się przepisy w części dotyczącej finansowania projektu" – wyjaśniał w Sejmie senator Grzegorz Bierecki. Z jego inicjatywy posłowie PiS, Janusz Kowalski i Dariusz Stefaniuk, złożyli projekt nowelizacji specustawy z 2023 r.

„Inwestycja jest opóźniona o dwa lata. Naszym obowiązkiem jako parlamentarzystów jest dokonanie aktualizacji wciąż obowiązującej ustawy i stąd inicjatywa panów posłów, aby dokonać poprawek i uruchomić już w tym roku 229 mln zł, by rozpocząć rozbudowę portu logistycznego w Małaszewiczach" – mówił Bierecki. „Te środki mają pochodzić w całości z rezerwy, która jest w dyspozycji premiera. Są w budżecie środki na finansowanie projektu, musi być tylko wola" – dodał senator.

W 2027 r. do Małaszewicz miałoby – zgodnie z nowelizacją – trafić 989 mln zł z budżetu. W 2028 r. byłoby to 897 mln zł, w 2029 r. – 780 mln zł i w końcu blisko 500 mln zł w 2030 r.

„Chcemy nadrobić stracony czas" – puentował podczas konferencji prasowej Grzegorz Bierecki.

POGARDA I NIEMCY

Władza na razie nie dostrzegła ustawy „Bierecki–Stefaniuk". Pewnie ma ważniejsze sprawy na głowie. Trzeba obsadzać kolejne stanowiska swoimi, wojować z prezydentem i bronić Włodzimierza Czarzastego przed zarzutami o powiązania z Rosją. A Polska, zwłaszcza ta wschodnia? To wyjaśnił wszak przed laty w Sowie i przyjaciołach niesławny eksbaron Platformy Włodzimierz Karpiński.

„Dlaczego gardzicie Polską wschodnią? Dlaczego Polska wschodnia dalej ma być tym najsłabiej rozwijającym się regionem naszego kraju?" – pytał w Sejmie Dariusz Stefaniuk.

Nie można się dziwić mocnym słowom posła z Białej Podlaskiej, walczy o swoich. Nowe Małaszewicze to tysiące nowych miejsc pracy w okolicach i grube miliony w budżetach lokalnych samorządów. Dla południowego Podlasia byłby to przełom – bez żadnej przesady – o znaczeniu historycznym. To rolnicza, wciąż słabo rozwinięta i niedostrzegana dziś przez decydentów z Warszawy część kraju. Jadąc z Białej Podlaskiej do Międzyrzeca czy Radzynia Podlaskiego widać coraz więcej pustych gospodarstw, opuszczonych domów. Młodzi wyjeżdżają, starsi często walczą o przetrwanie. A będzie jeszcze gorzej, bo za chwilę tamtejsi rolnicy zmierzą się ze skutkami katastrofalnej polityki rządu współtworzonego przez „ludowców" z PSL. Umowa z Mercosur i zapowiadająca rzeź mniejszych gospodarstw ustawa o „wzmocnieniu pozycji rolników aktywnych zawodowo" (jeśli wejdzie w życie dopłaty unijne może stracić duża część polskiej wsi) wiszą nad południowym Podlasiem jak katowski topór. Małaszewicze nie tylko zatrzymają egzekucję, lecz także będą motorem napędowym dla regionu na całe dekady.

Według oceny skutków regulacji ustawy z 2023 r. budowa „nowej Gdyni" przy granicy z Białorusią tylko w pierwszej dekadzie od startu przyniosłaby 50 mld zł dodatkowych wpływów do państwowego skarbca. Przez Małaszewicze w szczytowych momentach przechodziło nawet 90 proc. lądowego ruchu towarowego z Chin do Europy. W latach 2014–2021 wolumen przewozów wzrósł o blisko 5,7 tys. proc. Potencjał jest ogromny. Wystarczy tylko przystosować port do chińskich apetytów i być gotowym na zakończenie wojny na Ukrainie.

No i jeszcze trzeba myśleć po polsku, a nie po niemiecku. Zasadniczo są bowiem dwie możliwości – albo część towarów z Chin i Dalekiego Wschodu przejmą nasze Małaszewicze, albo skonsumują je niemieckie porty morskie. Chińczykom nie robi wielkiej różnicy, czy cło za europejski import trafi do Berlina czy do Warszawy. Nam robić powinno.

„Rozumiem, że ten port odbierałby sporą część interesów, jakie na współpracy chociażby z Chinami osiąga gospodarka niemiecka. Nasz rząd nie jest zainteresowany rozbudową Małaszewicz. To oznacza, że niestety działa w dobrze pojętym niemieckim interesie, nie polskim" – komentował w Sejmie poseł PiS Zbigniew Kuźmiuk.

ŁW

eprasa.pl 7432f6a181

Kruche włoskie złoto, samotne polskie srebro

Kondycja sportów zimowych w Polsce w ostatnich latach była dowodem na istnienie globalnego ocieplenia. Ale na ratunek przybył on – 19-letni ministrant z Sarniego Stoku. Kacper Tomasiak, nowa supernowa naszych skoków

MICHAŁ MUZYCZUK

Atmosfera w Polskim Komitecie Olimpijskim (PKOl) przed wylotem na igrzyska olimpijskie w Mediolanie i Cortinie przypominała raczej stypę po dawnych sukcesach niż radosne wyczekiwanie na sportowe święto. Przyzwyczajeni do triumfów Adama Małysza, Kamila Stocha czy Justyny Kowalczyk nagle obudziliśmy się w rzeczywistości, w której każde miejsce w czołowej dziesiątce jest traktowane jak narodowe święto.

MIĘDZY NOSTALGIĄ A „ALBAŃSKIM" DRESEM

Nostalgia za „złotą erą" sportów zimowych, przysypaną grubą warstwą śniegu, stała się lejtmotywem przedolimpijskich dyskusji. Czy forma naszych sportowców została skuta wieczną zmarzliną? Czy czasy, gdy „Mazurek Dąbrowskiego" był stałym elementem mroźnego krajobrazu to już jedynie melodia przeszłości? Wszystkie zamarznięte skarby Grenlandii, tak pożądane przez niektórych, to przecież nic w porównaniu z olimpijskimi triumfami naszych Orłów.

W kuluarach Centrum Olimpijskiego w Warszawie zamiast o strategii treningowej szeptano głównie o fakturach za mało polskie stroje od niemieckiej firmy i głośno spierano się o kompetencje najważniejszych działaczy.

Dobór strojów dla biało-czerwonej reprezentacji okazał się wizerunkowym odpowiednikiem „skoku na bulę", oddawanego przez nieco mniej utalentowanych skoczków niż Kacper Tomasiak. Decyzja o porzuceniu polskiej firmy 4F na rzecz globalnego giganta – Adidasa – zakończyła się tym, że nasi sportowcy podczas ceremonii otwarcia wyglądali jak klony reprezentacji Albanii czy Turcji. Eksperci modowi nie zostawili na PKOl suchej nitki, bo w dziedzinie estetyki działacze zaliczyli okrągłe zero trafień do tarczy, jeśli odwołamy się do doświadczeń biathlonistów, niegrzeszących sokolim wzrokiem. Zamiast stworzonej z myślą o sportowcach kolekcji Polska otrzymała „gotowce z katalogu", co odebrano jako lekceważenie narodowej tożsamości.

Jakby tego było mało, prezes Radosław Piesiewicz wszedł w otwarty konflikt z Adamem Małyszem, publicznie kwestionując jego kompetencje menedżerskie jako prezesa Polskiego Związku Narciarskiego za brak transparentności przy wyborze kadry. Co więcej, Orzeł z Wisły przyznał się do błędu. Jeśli nawet Adaś, narodowy heros zaklęty w ciele beskidzkiego półdekarza, półskoczka, czasem się myli, to jak mogliśmy liczyć na nieomylność Biało-Czerwonych we Włoszech? Musieliśmy się niepokoić, że w klimacie wzajemnych oskarżeń i sportowego regresu jedziemy do Włoch zagrać nasze własne „reggae na lodzie". W 1988 r. w Calgary sukcesem jamajskich bobsleistów był sam udział w zimowych igrzyskach. Jeśli popatrzymy za okno, to Polacy powinni jednak liczyć na nieco więcej.

Fot. Iwanczuk/Sport/REPORTER

eprasa.pl 7432f6a181

FENOMEN Z BYSTREJ I SKOK W NIEZNANE

Gdy w poniedziałek, 9 lutego, na skoczni normalnej w Predazzo 19-letni Kacper Tomasiak zasiadł na belce przed drugą serią, pewnie tylko jego najbliższa rodzina spodziewała się, że za chwilę będziemy świadkami narodzin legendy. Konkurs przebiegał w atmosferze absolutnej nieprzewidywalności – faworyci gubili się w technicznych niuansach włoskiego obiektu, a czołówka po pierwszej serii była tak gęsta, że o podium mogło marzyć ośmiu zawodników. Tomasiak po pierwszej próbie na 103 m zajmował czwarte miejsce *ex aequo*, tracąc do lidera, Niemca Philippa Raimunda, zaledwie 2,8 pkt. Druga seria była popisem talentu czystego niczym woda z lodowca. Tomasiak poszybował na 107 m, lądując z gracją, która u starszych kibiców wywołała dreszcz wspomnień związanych z lotami Adama Małysza. To wystarczyło na srebro. Wyprzedził go jedynie fenomenalny tego dnia Raimund, a brąz otrzymali *ex aequo* Japończyk Ren Nikaidō i Szwajcar Gregor Deschwanden.

Sukces Tomasiaka to nie tylko pierwszy medal dla Polski na tych igrzyskach, lecz także wynik, który wymazał z tabel wiekowy rekord legendarnego Wojciecha Fortuny. Wiekowy nie tylko dlatego, bo pochodził z 1972 r., ale też chodzi o wiek. Kacper, mając 19 lat i 25 dni, został najmłodszym polskim medalistą ZIO w historii. Czyżby nadchodziły czasy dobiegającego z polskich kuchni hasła: „Zawołaj mnie na Tomasiaka"? Oby młodzieniec okazał się przyczyną jeszcze większej ilości rozgotowanych klusek i przypalonych kotletów niż Małysz i Stoch razem wzięci. Bo jeśli przy niedzielnym obiedzie niskie loty zaliczają zapomniane przez zaaferowaną rodzinę kulinaria, to znak, że wszyscy utknęli przed telewizorem i nie mogą oderwać wzroku od kolejnego wysokiego lotu polskiego skoczka.

BÓG, HONOR I NARTY OJCA

Droga Tomasiaka na podium nie jest klasyczną opowieścią o sportowcu z probówki. To chłopak ulepiony z innej gliny – skromny, poukładany i niezwykle rodzinny. Jego ojciec Wojciech, trener w klubach LKS Klimczok Bystra i SMS Szczyrk od początku dbał o rozwój syna, choć brakowało sprzętu. Do legendy przeszła już anegdota o pierwszych zawodach sześciolatka, który wygrał konkurs na nartach specjalnie skróconych przez ojca w domowym warsztacie, bo te sklepowe były na niego za duże. Kacper jest najstarszy z piątki rodzeństwa – jego młodsi bracia Filip i Konrad już trenują na skoczni. Prywatnie Tomasiak to oaza spokoju, co zawdzięcza silnemu oparciu w wierze i wychowaniu. Przez lata służył jako ministrant i lektor w swojej parafii, a mama Kinga, pedagog z zawodu, pilnowała, by sukcesy sportowe nie przewróciły mu w głowie i by nie zaniedbywał nauki.

W świecie zdominowanym przez krzykliwe social media Kacper wyróżnia się stylem życia, określanym przez niektórych mianem „staroświeckiego" w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ten spokój i dystans do otaczającego go zgiełku pozwoliły mu wytrzymać presję w Predazzo, gdy starsi koledzy, jak Kamil Stoch czy Paweł Wąsek, kończyli udział w konkursie już po pierwszej serii.

WŁOSKA LEKKOŚĆ BYTU I „ANDRÀ TUTTO BENE"

Mediolan-Cortina 2026 to jednak nie tylko sportowe wzruszenia – to także festiwal osobliwości, hołd dla filozofii „jakoś to będzie". Największym „hitem" (dosłownie i w przenośni) okazały się medale. Organizatorzy musieli przyznać, że krążki są wadliwe – kruszą się, pękają i odpadają od szarf. Amerykańska mistrzyni Breezy Johnson zgłosiła pęknięcie swojego złota zaraz po ceremonii, a szwedzka biegaczka Ebba Andersson poinformowała, że jej medal rozpadł się na dwie części po upadku w śnieg. Włosi tłumaczą to błędem w systemie „breakaway", mającym zapobiegać uduszeniu sportowca, ale wizerunkowa katastrofa stała się faktem. Na razie nikt jeszcze nie zadławił się medalem, ale pozując do zdjęć sportowcy tradycyjnie podgryzają zdobyte krążki. Może w końcu ktoś faktycznie nasyci swój apetyt na olimpijskie podium?

Na polu sportowo-obyczajowym bezkonkurencyjny okazał się Norweg Sturla Holm Lægreid. Po zdobyciu brązu w biathlonie ze łzami w oczach w wywiadzie dla stacji NRK wyznał przed całym światem, że zdradził swoją partnerkę. „Zrobiłem to dla niej, by wiedziała" – uzasadniał, kompletnie przyćmiewając swój medalowy sukces. Miłość życia poznał sześć miesięcy temu, do momentu zapomnienia doszło przed trzema miesiącami, teraz upolował zdobycz stricte sportową. Premie kwartalne są traktowane w Norwegii nieco inaczej niż w polskich oddziałach międzynarodowych korporacji.

Z kolei ukraiński skeletonista Władysław Heraskewycz stoczył walkę z MKOl o swój „kask pamięci" z wizerunkami sportowców zabitych przez Rosjan. Działacze uznali to za propagandę polityczną i zakazali używania sprzętu, pozwalając jedynie na czarną opaskę, co wywołało słuszną falę oburzenia.

Smutną wiadomością jest też koniec kariery legendarnej Lindsey Vonn, której w udziale w zawodach nie przeszkodziło ani zerwane więzadło, ani osiągnięcie wieku inżyniera Karwowskiego. Niestety, już na samym początku trasy zjazdu przytrafił jej się fatalny wypadek, a sny o podium zamieniły się w koszmar na operacyjnym stole.

Nie można zapomnieć o wpadce naszego wspomnianego już prezesa PKOl. Piesiewicz, celebrując sukces w Predazzo przed kamerami Eurosportu, dwukrotnie nazwał Tomasiaka... „Tomasikiem". „Obiecałem medal Tomasika? Obiecałem!" – krzyczał działacz, który podczas wybuchu niekłamanej euforii niechcący udowodnił, że nie zna nazwiska swojego jedynego medalisty. Kacper nie ma wyjścia – jedyną metodą walki z lingwistycznym ignoranctwem musi być wyrycie swojego nazwiska w olimpijskich annałach złotymi zgłoskami. Może już niebawem? Złoty medal z trwających igrzysk trwałością i tak niewiele różni się od czekoladowego medalu w złotku, więc nie ma czego żałować.

La dolce vita – słodkie życie jest jednocześnie kruche niczym włoskie złoto, a czasem samotne jak polskie srebro. Choć medal Kacpra Tomasiaka może wymagać wizyty we włoskim warsztacie naprawczym, to w historii polskiego sportu zbudował sobie pomnik trwalszy od spiżu, niczym Horacy w literackim panteonie Italii. Polskie skoki wcale nie umarły, a jedynie ucięły sobie sen zimowy. Oby kolejne dni przyniosły nam więcej powodów do sprawdzania, czy medale nie są przypadkiem wykonane z gipsu.

eprasa.pl 7432f6a181

TOMASZ HABDAS*

Górskie rozmowy i zalewajki

11 szlaków: przez Góry Izerskie, Karkonosze, Ziemię Kłodzką, Beskid Żywiecki, Beskid Wyspowy, Tatry, Pieniny, Beskid Sądecki, Beskid Niski, Bieszczady, Góry Świętokrzyskie. 11 rozmów – każda z inną osobą, o innym pasie górskim i na różne tematy. Od prowadzenia schroniska, poprzez opowieści o beskidzkich drapieżnikach aż po tworzenie mediów społecznościowych dla miłośników tatrzańskich wędrówek. Rozmowy pełne autentycznej pasji i miłości do polskich gór, nieunikające trudniejszych spraw i długofalowych refleksji. Wypełnione również ciekawostkami i lokalnymi podaniami oraz kolorytem.

„To książka o górach, ale z różnych perspektyw. Jedenastu plus mojej" – zaznacza autor wydanych właśnie przez Znak Koncept „Górskich rozmów. Ludzi, miejsc i historii z polskich gór". „Każdy rozdział to nowa rozmowa, nowa opowieść, nowy gość, wymarzony ambasador małej ojczyzny, a przy tym skuteczny promotor turystyki górskiej [...]. Czasami dyskutujemy o pięknie przyrody i wyliczamy, co warto zobaczyć i jakie szczyty zdobyć w danym paśmie. Innym razem pochylamy się nad trudną historią danego regionu i zastanawiamy się, jaki wpływ wywarła na obecne życie mieszkańców" – dodaje Habdas, nie zapominając też o mniej rozległym, a równie ważnym „doświadczaniu" gór.

Bo jak wędrowiec przemierzy już wiele – czasem wspinaczkowych, czasem łagodniejszych – szlaków i porywających nurtów rozmów, to przy ognisku lub kominku albo gościnnym drewnianym stole chętnie podyskutuje też o pysznym jedzeniu, którego można posmakować w polskich górach.

I nie będzie go dziwić, że nigdzie indziej najprostsze dania nie smakują tak jak po dotarciu do schroniska. Wśród nich np. do słynnej Chatki Górzystów w Górach Izerskich, gdzie można zamówić wyjątkowe naleśniki z „czarnym złotem Izerów".

Gospodyni tego miejsca Wiesława Polańska zdradza, że jagody są przetwarzane w Chatce w ilościach imponujących, bo ludzi przybywa z roku na rok i sporo z nich zjawia się specjalnie po to, żeby zjeść naleśniki z jagodami. Zdarza się nawet, że na szlaku ktoś pyta: „Do tych naleśników to jeszcze daleko?" A potem jest kosztowanie i czasem porównywanie, np. do placków podawanych w bieszczadzkiej Wetlinie. Tyle że tam płaski, duży naleśnik był podawany ze świeżymi owocami. W Chatce jest ciasto biszkoptowe – co kluczowe: usmażone, a nie upieczone. By wyrosło na niewielkiej ilości tłuszczu, potrzeba odpowiednio ciężkiej i grubej patelni. A dodatkowy smakowy czynnik? Był już wspomniany: do Chatki Górzystów trzeba najpierw przyjść, przyjechać na rowerze lub na nartach, czyli pokonać siedem lub więcej kilometrów, w zależności od szlaku.

Zupełnie inny smak, lecz także – po dłuższej wędrówce – wspaniały ma sycąca zalewajka świętokrzyska. Dominują w niej składniki dostępne od wieków nawet w najuboższych regionach: kasza i ziemniaki, czasem skrawek słoniny. Najważniejsza jest jednak baza, czyli ziemniaki i zakwas. Na resztę składników składa się to, co gospodyni miała do dyspozycji. Mógł to być kawałek kiełbasy lub boczek, w wersji „na bogato" – jajko, chrzan lub lepsza wędlina. W każdej opcji jako finał wędrówki także zalewajka świętokrzyska smakuje wybornie.

Jolanta Gajda-Zadworna

**doświadczony przewodnik górski, autor książek o górach, influencer @wszczytowejformie*

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 7432f6a181

SŁODKO-SŁONY

Herbata z kakaowca

ANNA MONICKA

Kolejna edycja festiwalu kawy za nami, każdą następną mogę polecić z czystym sumieniem. Świetna impreza, pełna smaków, zapachów, pokazów, a na dokładkę poświęcona nie tylko kawie, bo pojawili się też specjaliści od herbat i kakao oraz najróżniejszych mlek – zarówno tradycyjnych, jak i roślinnych.

Bardzo lubię kawę, chociaż pewnie nie jestem w stanie wychwycić wszelkich subtelności. Żadna ze mnie maniaczka – nie wożę w torbie specjalnego młynka, żeby mielić na poczekaniu, ani minieksprezu, jak pewien kolega z rodziny, który nie rusza się bez takiego ekwipunku nawet na urodziny do ciotki, żeby nie zhańbić wyrobionego podniebienia byle czym. Ale fascynuje mnie, że nasz kraj, w którym kawa rośnie co najwyżej na parapecie w doniczce, jest zagłębiem małych palarni, że coraz częściej w kafejkach mogę wybierać rozmaite przelewy o subtelnych nutach owocowych czy kwiatowych, a na imprezach kawoszy słychać o metodach palenia od prawdziwych mistrzów, docenianych także na świecie. Przywiozłyśmy więc do domu ziarna pachnące słodkimi gruszkami i jaśminem, białymi winogronami, nektarynkami. Obyśmy tylko umiały odtworzyć w naszym ekspresie te wszystkie nuty, które tak nas zachwyciły na imprezie.

Podczas ubiegłorocznej edycji rozsmakowałyśmy się w herbacie z palonych ziaren gryki – mamy ją zawsze pod ręką, znalazłyśmy nawet oryginalną japońską soba cha, która w czasie letnich upałów smakowała nam o niebo lepiej niż czarna.

W tym roku poza kawą nasze serca podbiło kakao. Prawdziwe, bez cukru i mleka, przyrządzane na wodzie – kremowe i wytrawne, które nieziemsko pachnie. Po raz pierwszy skosztowałyśmy też z córką kakaowego napoju stworzonego z myślą o parzeniu metodą przelewową albo w ekspresie, albo w filtrze typu drip. Ziarna wenezuelskiego kakaowca są specjalnie prażone i dość drobno mielone, ale nie na pył. Napój ma złotopomarańczową głęboką barwę i zapach owoców cytrusowych, jest bogaty w witaminy i składniki odżywcze. Była też intensywniejsza w smaku herbata z łupin kakaowca, aromatyczna i orzeźwiająca. Idealna, żeby poprawić nastrój na przednówku. Jeśli spotkacie gdzieś w kawiarni te nowinki, koniecznie spróbujcie.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Kryl i akryl

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kiedy 40 mln lat temu otworzyła się cieśnina pomiędzy Antarktydą a Ameryką Południową, nastąpiły doniosłe zmiany. Połączenie lądowe zostało przerwane, wytworzył się też prąd okołobiegunowy, który zamknął tamtejszy ekosystem, izolując go od reszty świata. Prąd stanowi tak skuteczną barierę, że uniemożliwia przedostawanie się – w jedną i w drugą stronę –licznych organizmów, zwłaszcza bezkręgowców. Skutkowało to wymarciem jednych, a ewolucją innych, które zdołały się przystosować. Antarktyczne wody są więc bardzo bogate w gatunki endemiczne, mają też swoją specyfikę, widoczną na przykładzie skorupiaków. Z jednej strony brak tam krabów, tak licznych w innych słonych akwenach, z drugiej – to właśnie skorupiak jest podstawą funkcjonowania antarktycznych łańcuchów pokarmowych. Chodzi o kryl.

Kryl jest kilkucentymetrowym morskim skorupiakiem, najliczniejszym spośród widocznych gołym okiem organizmów na Ziemi: jego liczebność to 900 bln osobników. W jednym metrze sześciennym może być aż 10 kg tych zwierząt. Żeby nasycić się krylem, wystarczy, że morskie zwierzęta będą płynąć z otwartą paszczą – taka ilość wystarczy nawet dla stad wielorybów. Zresztą krylem żywi się niemal wszystko, co żyje w Antarktyce. Bez tego skorupiaka Ocean Południowy byłby pusty i martwy.

W tym miejscu dochodzimy do momentu, w którym pojawia się zagrożenie mogące zaburzyć – a kto wie, może nawet zniszczyć – niekończące się ławice kryla. To akryl.

8 mld ludzi potrzebuje wielkiej ilości ubrań. Części potrzebuje, części z pewnością nie – w każdym razie kupuje coraz więcej, bo ubrania są tanie. Ciągłe kupowanie nowych rzeczy nie jest problemem. A garderobę trzeba prać.

Coraz więcej ubrań robi się z tworzyw sztucznych. Piorąc te wykonane z akrylu, poliestru itp., uwalniamy do wody olbrzymie ilości plastikowych mikrowłókien – setki tysięcy ton rocznie. Ponieważ są zbyt drobne, by dało się je wychwycić, trafiają z pralek do kanalizacji, przemykają przez filtry i dalej do rzek, mórz i oceanów.

Unoszący się w wodzie mikroplastik jest porastany przez fitoplankton – podstawę wyżywienia krylu, który najpierw zjada plankton z plastikiem, wbudowując go w swoje tkanki, a później jest zjadany przez kolejne organizmy: ryby, ptaki, foki, walenie itp., stając się częścią ich ciał. Z rybami wraca do nas. Kiedy się okaże, że to za dużo nawet dla setek bilionów krylu?

Co pozostaje? Ograniczyć zakupy ubrań z plastiku, zastępując je mniejszą ilością odzieży z włókien naturalnych.

eprasa.pl 7432f6a181

3 MIŁOŚCI

Prawne ramy współpracy z demonem

ROBERT TEKIELI

W korespondencji Epsteina czytamy: „Bóg jest konstruktem, słodkie dziewczyny są rzeczywistością". Libertyni za sterami naszego globu. Markiz de Sade kwaśno się uśmiecha.

Ludzie mówią: „Świat jest rządzony przez szatana". Polacy czują głęboki lęk, patrząc na wschodnią granicę.

„Ideologia, która pozwala ludziom podążać za ich najgorszymi popędami, potrafi mobilizować miliony" – pisze lewicowy guru. Ale społecznie nie chodzi wcale o grzechy najgorsze. Przyzwolenie wszystkim na „grzeszki" zapewnia silnym wolność do perwersji i zbrodni. Elity zdegenerowane po kres wyobraźni.

I nasze elitki. Wyborcza.pl: „Zdradziłam męża, ale nie jest mi z tym źle. Wręcz przeciwnie", „Urlop bez męża i dzieci to fanaberia? Nieważne, co ktoś sądzi o twoim życiu, to nie jego życie".

Instytucjonalizacja grzechu jako zasada współczesności. Nowożytny patent na rządy nieprawych.

Jacek Pulikowski: „Gdyby żadna kobieta nie zgodziła się na wolny związek, wszyscy mężczyźni grzecznie dorastaliby do małżeństwa i na kolanach prosili o rękę".

Feminizm podważył jeden z fundamentów zachodniej cywilizacji: monogamiczne małżeństwo mężczyzny i kobiety, którego nierozerwalność od 2 tys. lat jest chroniona u ludzi wierzących sakramentalną mocą. W Polsce rządząca skrajna lewica chce uznania za małżeństwo związku osób tej samej płci. I jest już blisko celu. Pierwszy małżonek i drugi małżonek zamiast kobiety i mężczyzny. Nadchodzą zmiany w akcie małżeństwa. Ministerstwo Cyfryzacji opublikowało projekt rozporządzenia, którym chce obalić postanowienia polskiej konstytucji.

Ideologie masakrują kapitał kulturowy Zachodu. Lewica i liberałowie nie zastanawiają się nad konsekwencjami tej irracjonalnej cywilizacyjnej autoagresji. Liczy się transgresja. Śmierć normy. Dekapitacja tradycji.

Syndykat cienia. Cywilizacja śmierci. Grzech systemowy. Prawne ramy współpracy demona i człowieka.

Widzialne i niewidzialne ręka w rękę. Nie walczymy z krwią i ciałem, walczymy z pierwiastkami zła na wyżynach niebieskich. Czy można wątpić w istnienie Syndykatu? On jest tam, gdzie dochodzi do ścisłej współpracy człowieka z demonem. Protoplastą Syndykatu śmierci jest Kain.

Wstrząsnęła mną historia opowiedziana przez Michała Koterskiego. W wychodzeniu z alkoholizmu i narkomanii pomógł mu trzeźwy od kilkudziesięciu lat alkoholik. Człowiek ten przez lata heroicznie wspierał uzależnionych ludzi walczących o wolność. I w chwili kryzysu zapił. Wpadł w ciąg. A kiedy wytrzeźwiał, popełnił samobójstwo. Nie uniósł ciężaru własnej słabości. Budował tylko na sobie. Był pewien, że wieloletnia trzeźwość była wyłącznie efektem jego silnej woli. I gdy ten fałsz prysł, człowiek się rozsypał.

Rozwaliła mnie ta historia. Chcę jednak wyciągnąć z niej ostateczną naukę. 12 kroków Anonimowych Alkoholików to pięć warunków katolickiej dobrej spowiedzi rozpisane na 12 akapitów. 12 kroków, „120 dni Sodomy".

Wolność jest umiejętnością panowania nad sobą. Współczesny świat stawia granice ludzkiej wolności tam, gdzie ogranicza ona wolność innych. Ale to za mało. Muszą być przykazania. Konkretne granice. Bo nie panując nad sobą, grzesząc, popadamy w niewolę, tracimy wolność. Grzech niszczy wszystko wokół.

Współcześni terapeuci walczą z grzechem. Rozpustę nazywają seksoholizmem, obżarstwo – bulimią, pijaństwo – alkoholizmem. Chorobą.

Uzależnienia i nałogi, z którymi walczy psychiatria, to „niewola grzechu", nie polega ona jednak tylko na braku panowania nad sobą. Grzech bowiem uzależnia, osłabia wolę, czyni człowieka ślepym na swoje słabości. Wolność człowieka niezniewolonego może bazować na samodyscyplinie. Człowiek uzależniony nie jest w stanie poddać się samodyscyplinie. Tu jest potrzebna – czasem dyskretna, czasem jawna – pomoc z góry. 12 kroków i 12 tradycji, które pomagają uwolnić się od obsesji picia czy innych nałogów, te wskazówki, jak żyć godnie, i jak dbać o relacje z innymi, bazują na chrześcijańskiej antropologii. Na mądrości objawionej. I tu jest nasza nadzieja. Nie jesteśmy sami.

Ale musimy współpracować. Cierpisz na samotność, a pielęgnujesz niechęć czy nienawiść? Bez przebaczania dalej będziesz samotny.

Jezus odbudował zerwany most do raju. Jego pascha, jego przejście i powrót, czyli zmartwychwstanie, jest największą tajemnicą.

Bożą tajemnicą zakrytą przed ludźmi od wielu pokoleń jest Jezus Chrystus. Tajemnicą tą jest ogrom zmiłowania, jakie Bóg okazał wszystkim ludziom niezależnie od ich win.

eprasa.pl 7432f6a181

„Najtrudniejszy czas w roku to dla mnie początek listopada. Wracają wspomnienia, czuję się na cmentarzu brudny, opluty, niegodny. Wracają myśli, że tymi rękami zabiłem człowieka, że gdzieś tam jest jego rodzina. I ból wraca. Modlę się wtedy z podwójną siłą. Wiem, że Jezus mi wybaczył, ale tak do końca ja nie umiem sobie wybaczyć. Zamykam się w pokoju, siedzę, modlę się, płaczę i rozmawiam z Jezusem. Co roku przeżywam to mocniej... Mam żonę, dwoje dzieci, trzecie w drodze. Rodzina zawsze była dla mnie najważniejsza, ponieważ rodziny nigdy tak naprawdę nie miałem. W więzieniu zawsze marzyłem, żeby stworzyć prawdziwą rodzinę... Kiedy w niedzielę czy w Wigilię wszyscy się spotykamy... Gdy jest mi bardzo źle, gdy uważam, że już nie dam rady, bo mnie przerastają pewne rzeczy, w nocy wstaję, siadam koło łóżka dzieci, łapię je za ręce i wtedy dostaje siłę od nich, żeby być dobrym człowiekiem. Uczę się przy nich kochać i odbierać ich miłość do mnie".

„Była zima, minus dwadzieścia kilka stopni na dworze, ja po kolejnej ucieczce z leczenia, obok mnie koleżanka, która już chyba miała początki AIDS, środek nocy, bardzo daleko od domu, autostrada koło przejścia granicznego... Zostałam okradziona z wszystkiego, co miałam przy sobie. Z »towaru«, z pieniędzy, z ciuchów, które miałam na sobie. I tak zostałam w nocy sama, na drodze. I chyba po dwóch godzinach, kiedy byłam bliska zamarznięcia, zawołałam do tego Pana Boga, na którego kiedyś się obraziłam, w akcie chyba już zupełnej desperacji: »Panie Boże, jeżeli gdzieś jesteś, gdziekolwiek, jeśli mnie słyszysz, i mnie widzisz, i jeżeli chociaż trochę zależy Ci na moim życiu, to przyjdź i pokaż mi, że jest inne życie. Zrób coś albo mnie zabierz, albo zmień moje życie, bo ja już sama nie mam siły... Wszystkiego spróbowaliśmy... Jeśli istniejesz, to przyjdź, i pokaż mi że jesteś«. Wyobraź sobie, że Pan Bóg przyszedł".

„Wiedziałam, że to się stanie. W pewnym momencie coś kazało mi uklęknąć. Zaczęłam się tak bardzo, bardzo mocno modlić, i wtedy podszedł do mikrofonu mój kierownik duchowy, i powiedział, że jedna z naszych koleżanek jest uzdrawiana: nie mogła mieć dzieci, ale teraz jest już zdrowa. A ja wtedy poczułam ogromny żar w sobie, tysiące igiełek i obecność Pana Boga przy mnie. Poczułam się jak proszek, pył, który Pan dotknął... Jeśli chodzi o kontakty z Bogiem, wiążą się one nie tylko z przeżyciem emocjonalnym, ale także z poruszeniem umysłu do takich głębi, że nie czuję, że to jest mój umysł, tak jakbym go oddała...".

Wolność jest umiejętnością panowania nad sobą. Współczesny świat stawia granice ludzkiej wolności tam, gdzie ogranicza ona wolność innych. Ale to za mało. Muszą być przykazania. Konkretne granice. Bo nie panując nad sobą, grzesząc, popadamy w niewolę, tracimy wolność. Grzech niszczy wszystko wokół. Tym, co przywraca człowiekowi wolność, siły, nadzieję, jest słowo Jezusa

Taki jest cel i sens cudów: przywrócić stworzeniu jego pierwotny stan. Tym, co przywraca człowiekowi wolność, siły, nadzieję, jest słowo Jezusa. Przyjęcie go z wiarą sprawia, że człowiek odzyskuje pełnię życia. Pierwszym darem, jaki uczniowie przynoszą ludziom, jest pokój płynący z przynależności do Królestwa Bożego.

Jezus ma moc przemieniania ludzkich serc, wykupił nas z niewoli konsekwencji naszych grzechów. I stąd mordercy, którzy po spotkaniu Jezusa służą bezdomnym, stąd w hospicjach nawrócone prostytutki w habitach zmieniające pieluchy, stąd misjonarze pielęgnujący trędowatych.

Tajemnicy zbawienia dokonywanego przez Chrystusa nie da się zgłębić tylko ludzkim rozumem, bo jego możliwości są ograniczone. Zamiast tego należy prosić Boga o głębsze poznanie tych tajemnic przez wiarę, która jest światłem oświetlającym ludzki rozum.

Gdy wracam do Ojca, znów dostaję wszystko. Majestat krajobrazów, radość poranka, psią wierność, to, że mam się o kogo troszczyć, pokój w sercu, nadzieję. Maryja, Matka Syna mnie osłania, gdy tylko nie odchodzę od łaski. Konsekwencje grzechów podziurawiły mi duszę, Jej obecność, bliskość sprawia, że mogę normalnie żyć, wypełniać powołanie. Chodząc z Jezusem, w każdej sekundzie uczę się go słuchać. Moje serce powoli przestaje być kamienne. Może zacznę owocować, tak by tobie się to, Ojcze, podobało. Dawco życia, miłośniku życia, dziękuję, że czasami mogę komuś pomóc powrócić do życia. Nie ma nic bardziej piekielnego niż uśmiechnięte martwe dusze. Chodzące, biegające, zabiegane. Otwórz moje uszy, bym zawsze cię, Jezu, słyszał, otwórz serce, bym nie ranił.

Jezus zwyciężył świat, decydując się na krzyż, gdy Piotr sposobił się do zdrady, a w Rzymie zaczęli drżeć bogowie.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 7432f6a181

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Antycywilizacja

Wraz z nastaniem – już po raz trzeci – rządów Donalda Tuska powrócił styl uprawiania polityki daleki od cywilizowanych norm. Pozostawiam tu jako oczywisty fakt notorycznego łamania prawa przez ten gabinet, a odnotowuję jedynie niektóre skandaliczne zachowania polityków i ich elektoratu. Zgadzam się z prof. Andrzejem Nowakiem, że „pod względem stosunku do tożsamościowego dziedzictwa dzisiejsze tzw. elity lewicowo-liberalne są gorsze niż peerelowskie [...]. Chamstwo było zawsze, ale teraz chamstwo jest elementem autopromocji elity". Zgadzam się też, że Tusk zawarł sojusz z chamstwem, z pospolitą hołotą, która ma w pogardzie polską kulturę, historię, tradycje i dobre zwyczaje.

Jeszcze nie tak dawno, aby walczyć z „pisowskim" rządem, wychodziły na ulicę hordy kobiet, a ich prymitywny, wulgarny język nigdy nie został potępiony przez tzw. elity. Wręcz przeciwnie – wspomagał go ten sam wulgarny język środowiska internetowego skupionego wokół SokuzBuraka, wspierającego Platformę w walce z PiS. Nikt z polityków podsłuchanych w knajpie Sowa i przyjaciele nie poczuł się skompromitowany, a upokorzenie tłumaczono jedynie faktem nielegalnego podsłuchiwania. Tak jakby człowiek kulturalny mógł się zachowywać skrajnie inaczej oficjalnie i prywatnie. Festiwal chamstwa i brutalności obserwujemy 10. dnia każdego miesiąca przed pomnikiem smoleńskim na Placu Piłsudskiego w Warszawie. Zgraja prymitywów ma zapewnioną policyjną ochronę i szydzi z ludzi chcących upamiętnić narodową tragedię. Prawnuk wielkiego Henryka Sienkiewicza, który był tak wielką inspiracją dla milionów Polaków walczących o własne państwo, nazywa swojego przodka „grafomanem". W lewicowych mediach o zakonniku nie mówi się „ksiądz", „ojciec", pomija imię i tytuł naukowy. Słyszymy tylko „Rydzyk", czasem pan Rydzyk.

Język i zachowanie zdradzają prostactwo, brak kultury i wychowania. Nieprzypadkowo prof. Jadwiga Staniszkis twierdziła, że zbyt wielu ludzi podkreśla swoje wyższe wykształcenie, będąc pozbawionym wykształcenia podstawowego.

Kolega partyjny marsz. Włodzimierza Czarzastego – Tomasz Trela – o ministrach prezydenta Karola Nawrockiego mówi do kamery „chłopcy Nawrockiego". Tenże Czarzasty chwyta reporterów TV Republika za szyję i ciągnie ku sobie, bo nie potrafi wymyśleć nic innego medialnego w odpowiedzi na oczywiste pytanie o brak klauzuli bezpieczeństwa. Partyjne doły PO organizują uroczystość mającą upamiętnić tragiczne wydarzenia w Radomiu z 1976 r. Impreza przemienia się w wesoły happening, podczas którego uczestnicy robią sobie radosne fotki z człowiekiem przebranym za zomowca. Zanika podstawowa różnica między katem a ofiarą, dobrem a złem. Minister edukacji Barbara Nowacka tylko się „przejęzyczyła", mówiąc o „polskich obozach koncentracyjnych". Na pytanie, w którym roku był potop szwedzki, nie potrafi wskazać nawet właściwego stulecia. To jej i jej lewackiemu środowisku zawdzięczamy drastyczne wycięcie z podstawy programowej języka polskiego i historii treści patriotycznych, a także dzieł literackich najwyższego lotu.

Podczas rozprawy sądowej wytoczonej minister Barbarze Nowackiej przez prof. Wojciecha Roszkowskiego (chodzi o wypowiedź Nowackiej, że „na każdej stronie podręcznika profesora »Historia i Teraźniejszość« jest kłamstwo") zdaniem zeznającego jako świadek prof. Andrzeja Nowaka sędzia uznawana za „poważną konkurencję dla ministra Żurka" nie dopuszcza go głosu. A przecież proces dotyczy prostego rozstrzygnięcia, kto mówi prawdę, a kto kłamie. „To fundament naszej cywilizacji" – tłumaczy prof. Roszkowski, a pani minister „zaburza" te pojęcia. Warto śledzić dalszy ciąg procesu, gdyż dziś trudno sobie wyobrazić skazanie za kłamstwo urzędującej minister, ale jednocześnie usłyszeliśmy już tyle absurdalnych wyroków, że równie dobrze można się spodziewać skazania profesora. Za słowa „giń, człeku" – 6 miesięcy pozbawienia wolności. Za kradzież dwóch koszul, kalesonów i 18 kur – 7 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności. Za zamordowanie własnych dzieci i żony – wyrok uniewinniający, bo sądził tzw. neosędzia.

Zdaniem Sądu Administracyjnego w Gliwicach dziennikarz chcący mieć dostęp do informacji publicznej nie działa w interesie publicznym, tylko własnym. Reporter Tomasz Duklanowski przekonuje się, że nawet 200 świadków łapówkarstwa Tomasza Grodzkiego to zbyt mało, aby obronić się przed skazaniem za pomówienie marszałka. Tzw. nadzwyczajna kasta też jest zainfekowana prymitywnym chamstwem i uczestniczy w systemie kłamstwa, którego mistrzem jest Tusk. Jego zwykłe chamstwo, brak kultury i notoryczne kłamstwa toleruje oddany mu elektorat. Już za pierwszych rządów mówił o prezydencie Lechu Kaczyńskim: „Mnie prezydent nie jest do niczego potrzebny". Dziś walczy z prezydentem Karolem Nawrockim. W czasie kampanii wyborczej w 2023 r. o konstytucyjnym organie, jakim jest prezes NBP, mówił: „Ja tego gościa wyprowadzę z NBP, gwarantuję wam to". To Tusk tworzy ten antycywilizacyjny system, zaprzeczający polskiej tradycji i kulturze, nie tylko politycznej.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Federacja Plemion Kultury Toporów Bojowych

Andrzej Rafał Potocki

Estoński wywiad zagraniczny dokonał podsumowania moskiewskiej produkcji amunicji 155 mm w kompleksie wojskowo-przemysłowym. Okazało się, że Moskal zwiększył produkcję amunicji artyleryjskiej od 2021 r. ponadsiedemnastokrotnie. Wnioski wyciągnięte z raportu nie napawają optymizmem. Wskazują na duże prawdopodobieństwo, że Kreml przygotowuje się do przyszłego konfliktu, nawet jeśli wojna z Ukrainą trwa. Według najnowszych danych w 2025 r. tamtejsze zakłady wyprodukowały ponad 7 mln sztuk pocisków artyleryjskich, moździerzowych i rakiet. To znaczący wzrost względem poprzednich lat: w 2024 r. Kacap wytworzył 4,5 mln sztuk amunicji, w 2023 r. – 3,5 mln, w 2022 r. – 1 mln, a w 2021 r. – 400 tys. Oprócz krajowej produkcji Moskwa bazuje na imporcie z Iranu oraz Korei Północnej. Od 2023 r. Rosja miała pozyskać od partnerów zagranicznych 5–7 mln sztuk amunicji. Według raportu strony ukraińskiej koreańskie ładunki stanowiły prawie połowę wszystkich pocisków wystrzelonych przez Moskali na Ukrainę w drugiej połowie 2025 r. Estoński wywiad ocenia, że w przyszłym roku Kreml nie zamierza atakować militarnie Estonii ani żadnego innego państwa członkowskiego NATO. Niemniej autorzy opracowania podkreślają we wnioskach, iż „jest bardzo prawdopodobne, że Moskwa odbuduje część swoich strategicznych zapasów amunicji artyleryjskiej – w efekcie przygotowując się do kolejnej wojny – nawet jeśli jej agresja na Ukrainę będzie trwać". Pytanie za 10 punktów: ile mamy czasu, by na tyle skutecznie wzmocnić nasze siły zbrojne, aby wybić Iwanowi z łba durne myśli o agresji na kraje NATO?

Zgodnie z obietnicą Elon Musk „odrąbał" ruskom Starlinki. Jednocześnie jak to możliwe, żeby troglodyci zza naszej wschodniej granicy mogli wykorzystywać tak zaawansowaną technologię? Otóż Moskale, by obejść „bana" Elona Muska, do tej pory wykorzystywali podstawione firmy-słupy w Europie Zachodniej do zakupu abonamentów na użytkowanie Starlinka, toteż firma SpaceX miała problem z odróżnieniem tych usług od ukraińskich. Dlatego odłączenie Kacapii spowodowało częściowe zakłócenia u Ukraińców, ponieważ doszło do weryfikacji starlinków używanych blisko linii frontu na autoryzowane i „zbanowane". Ukraiński resort obrony szybko weryfikował, które są właściwe, a które ruskie, więc udało się przywrócić połączenia dla żołnierzy. Ale i tu chytry Moskal wymyślił sposób. Pierwszy chwyt na przywrócenie „ruskich" starlinków to tzw. dropy. Na kacapskich mediach społecznościowych są ogłoszenia, które za opłatą reaktywują Starlinka, używając lokalizacji po ukraińskiej stronie frontu. Moskale próbują także skorumpować obywateli Ukrainy, by wykorzystać ich autoryzację z terytorium Ukrainy. I wreszcie ostatnim sposobem jest zwykłe zhakowanie systemu. Wszelako wielogodzinne odłączenie starlinków spowodowało spustoszenie w części ruskich oddziałów. Na Zaporożu i pod Kupiańskiem Ukraińcy odnotowali, że Moskale okładają ogniem artyleryjskim własne pozycje. Uziemiono także część oddziałów operatorów dronów. Np. elitarny oddział Rubikon, który kopiuje rozwiązania z Ukrainy, korzystał ze starlinków w nakierowywaniu dronów. „Operatorzy musieli zrezygnować ze Starlinków i przenieśli się do sieci radiowej Mesh. Wstrzymanie nalotów dronowych było więc chwilowe i ograniczone. Moskale rzadko korzystają z GPS, omijając w ten sposób zakłócenie sygnału. Bazując na sieci Mesh, na dronach są zamontowane autonomiczne modemy, które pozwalają na sygnał operator–dron–inne drony" – informuje portal defence24.

Tak czy inaczej Moskwa napotkała poważne trudności komunikacyjne po ograniczeniu 4 lutego przez Muska dostępu do terminali Starlink, z których wcześniej korzystały jednostki Kremla. W takiej sytuacji przywódcy krainy, w której większość społeczeństwa żyje mentalnie i nie tylko w czasach epoki kultury ceramiki sznurowej, zwanej również kulturą toporów bojowych z automatu, zaczynają stosować barbarzyńskie metody – kampanię presji wobec rodzin jeńców. Funkcjonariusze kacapskich służb mają stosować groźby i szantaż, domagając się, aby Ukraińcy rejestrowali nowe terminale Starlink na swoje nazwiska, a następnie przekazywali je do dyspozycji wojsk Kremla. Ukraińskie władze apelują do obywateli, aby w przypadku otrzymania jakichkolwiek propozycji, żądań czy gróźb związanych z rejestracją starlinków, natychmiast zgłaszali takie sytuacje organom ścigania. Ma to pomóc zarówno w ochronie samych rodzin, jak i w przeciwdziałaniu kolejnym próbom manipulacji ze strony Federacji Plemion Kultury Toporów Bojowych.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7432f6a181

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Język ideologii

Są słowa, które wchodzą do języka po cichu, jak „smartfon" czy „e-mail", i takie, które wchodzą z hukiem, jakby niosły ze sobą manifest rewolucyjny. Feminatywy zdecydowanie należą do tej drugiej kategorii. Nie pojawiają się jako naturalna odpowiedź na potrzebę komunikacyjną, lecz jako element ideologii – kulturowej, ideowej, a czasem wprost politycznej. I dlatego budzą emocje. Zwłaszcza te, które są koszmarkami językowymi.

Zwolennicy feminatywów mówią o „widzialności kobiet" w języku. Skoro mamy „psychologa", to powinna być też „psycholożka", skoro „minister", to czemu nie „ministra"? Problem w tym, że język nie jest tabelką w Excelu, w której można uzupełnić brakujące komórki. Język to organizm – pełen wyjątków, dziwactw i historycznych naleciałości. Próba jego systemowego „naprawiania" często kończy się tworami, które brzmią jak żart, choć żartem wcale nie miały być.

Weźmy słynną „chirurżkę". Formalnie poprawna? Być może. Używana przez ludzi? Niespecjalnie. Brzmi naturalnie? Dla wielu – nie. I tu dochodzimy do sedna: język żyje w ustach użytkowników, nie w uchwałach rad językowych ani w mediach społecznościowych. Jeśli forma jest odbierana jako sztuczna, nachalna albo komiczna, będzie budzić opór – nie dlatego, że ludzie nienawidzą kobiet, lecz dlatego, że bronią swojego poczucia językowej normalności.

Często słyszymy argument, że „kiedyś też się dziwiono nowym słowom". Owszem. Tyle że tamte nowości zwykle nazywały nowe zjawiska. „Komputer" był potrzebny, bo pojawiło się nowe urządzenie. Feminatywy nie wypełniają luki znaczeniowej – „pani profesor" działało komunikacyjnie bez zarzutu. Zmiana nie wynika z braku narzędzia, tylko z potrzeby ideologicznego podkreślenia płci.

I tu zaczyna się głośny zgrzyt. Bo język, który ma przede wszystkim opisywać rzeczywistość, zostaje zaprzęgnięty do jej kształtowania. To już nie tylko mówienie o świecie, ale próba jego wychowywania. Jeśli ktoś mówi: „Jestem psychologiem", a poprawia się go na „psycholożkę", to nie chodzi o zrozumiałość wypowiedzi. Chodzi o sygnał: mów tak, bo tak jest słusznie. A ludzie bardzo nie lubią, gdy język staje się polem moralnej tresury i przemocy.

Aleksander Nalaskowski

Spór o feminatywy nie jest sporem o końcówki. To spór o to, kto ma władzę nad językiem

Co więcej, feminatywy wcale nie zawsze wzmacniają prestiż kobiet. W polszczyźnie wiele żeńskich form ma historycznie zdrobnieniowy albo potoczny wydźwięk: „nauczycielka" brzmi neutralnie, ale „premierka" dla części odbiorców brzmi mniej poważnie niż „pani premier". Niezależnie od intencji, efekt bywa odwrotny do zamierzonego – zamiast podnosić rangę, wprowadza ton nieformalności.

Nie bez znaczenia jest też selektywność tej rewolucji. Rzadko słyszymy postulaty wprowadzania żeńskich form tam, gdzie zawód ma niski prestiż. Walka toczy się głównie o „prezeskę", „rektorkę" czy „profesorkę", a nie o „murarkę" czy „kolarkę". Trudno się oprzeć wrażeniu, że chodzi mniej o językową równość, a bardziej o symboliczne zaznaczanie obecności w obszarach władzy i statusu. To zrozumiałe społecznie, ale język nie jest od załatwiania jakichś symbolicznych rachunków.

Oczywiście, język się zmienia. Część feminatywów zapewne się przyjmie – w niektórych środowiskach już się przyjęły „posłanka" czy „socjolożka". I bardzo dobrze: to użytkownicy zdecydują, co brzmi naturalnie, a co zostanie memem. Problem zaczyna się wtedy, gdy spontaniczną ewolucję próbuje się zastąpić presją normatywną i społecznym zawstydzaniem.

Bo w gruncie rzeczy spór o feminatywy nie jest sporem o końcówki. To spór o to, kto ma władzę nad językiem. Czy jest on dobrem wspólnym, kształtowanym powoli przez miliony mówiących, czy narzędziem, które można szybko dostosować do aktualnych postulatów światopoglądowych. Wielu ludzi – nawet życzliwych idei równości – instynktownie czuje, że w tej drugiej wersji coś jest nie tak.

Można walczyć o równe płace, dostęp do stanowisk, bezpieczeństwo i szacunek. To realne problemy. Na ich tle batalia o „gościnię" i „ministrę" bywa odbierana jak językowa wojna zastępcza – głośna, emocjonalna, ale dotykająca głównie formy, nie treści. A język, jak to język – i tak zrobi swoje. Przyjmie to, co mu wygodne. Resztę wypluje i podepcze bez litości. To tylko kwestia czasu.

eprasa.pl 7432f6a181

***Michał Korsun prezentuje:* Otwarcie zimowych igrzysk olimpijskich we Włoszech i wrót...**

Fot. Platforma X, Shutterstock

***Wycinki z* przeszłości**

Już przed II wojną światową w Europie żywo interesowano się stanem zdrowia Józefa Stalina. W 1937 r. „Express Zagłębia" donosił z Wiednia, że dyktator jest „ciężko chory na serce", a jego leczenie utrudnia „chorobliwa podejrzliwość", przez którą wciąż obawiał się zamachu. Gazeta pisała, że w ciągu trzech tygodni sześciokrotnie zmieniano skład jego straży. Na nieszczęście Polski i świata Stalin przeżył jeszcze 16 lat.

(sp)

EXPRES ZAGŁĘBIA

Strasznawa eksplozja na pancerniku rządowym

Naruszanie umów zbiorowych

STALIN CHORY.

WIEDEŃ, 18. 6. Utrzymują tu, że Stalin jest ciężko chory na serce i stan jego może budzić obawy. Internista moskiewski prof. Samrnow, zamieszkał na stałe na Kremlu. Leczenie Stalina utrudnione jest jego chorobliwą podejrzliwością, która każe mu w każdym lekarzu obawiać się zamachowca.

W ciągu ostanich trzech tygodni skład przybocznej straży Stalina zmieniano 6-krotnie.

armii sowieckiej

Z WOLEJA

Szanse, medal i afera

Ryszard Czarnecki

Sportowy świat kręci się oczywiście wokół zimowych igrzysk olimpijskich, choć fajnie, że Iga Świątek ogrywa kolejne rywalki. Co do startu Biało-Czerwonych na ziemi włoskiej – wszystko jest zgodne z podstawową zasadą sportu: nigdy nie wolno przywieszać medali przed zawodami! Głośno mówiło się o krążku w snowboardzie dla Aleksandry Król-Walas, bo przecież w tym sezonie stawała na podium Pucharu Świata i zdobyła dwa medale mistrzostw globu. Walczyła dzielnie, skończyło się na ćwierćfinale.

W przypadku łyżwiarza-sprintera Damiana Żurka wieszczono, że z Polaków to on ma największe szanse na „Mazurka Dąbrowskiego", a minimum na srebrny medal, bo w PŚ albo był pierwszy, albo (częściej) drugi. Zakończyło się najgorszym dla ambitnych sportowców czwartym miejscu: zabrakło siedmiu setnych sekundy. Cóż, oto narodziła się nowa świecka tradycja, bo na ZIO w 2022 r. inny sprinter, Piotr Michalski, też był czwarty i też przegrał o setne sekundy – tyle że na dystansie o połowę krótszym. Teraz szybki Piotr miał pecha, bo podczas biegu na 1000 m drogę zajechał mu rywal z Austrii.

Tam, gdzie byliśmy niemal pewni dwóch medali, w tym może złotego, mamy czwarte miejsce i ćwierćfinał. A tam, gdzie o krążku raczej tylko marzyliśmy – czyli w skokach narciarskich – mamy srebro Kacpra Tomasiaka. Do tego dochodzi szóste miejsce saneczkarek i dziesiąte naszej reprezentantki w skokach narciarskich – w obu przypadkach można mówić o miłych niespodziankach. Na razie daleko byli biathloniści i biathlonistki oraz biegaczki i biegacze narciarscy.

Przy okazji znowu wybuchła afera i znowu wokół Polskiego Związku Narciarskiego. Już wcześniej pisałem, że w przypadku narciarek i narciarzy alpejskich PZN ustalał kryteria startu na igrzyskach, które potem wyrzucał do kosza na śmieci, a zmiany w składzie reprezentacji Polski wymuszała opinia publiczna. Teraz publicznie wściekła się zdobywczyni największej liczby medali dla Polski na igrzyskach zimowych Justyna Kowalczyk, a ona wie, co mówi. Chodziło o to, że związek pominął biegacza narciarskiego, który zajął w tym sezonie najwyższe miejsce w Pucharze Świata. Pojechali inni i uplasowali się na odległych pozycjach.

Na ostatnich pięciu igrzyskach nasze zawodniczki trzykrotnie były w pierwszej szóstce w biegu biathlonowym na 15 km (dwa razy na piątej pozycji, raz na szóstej). Tym razem Biało-Czerwone zajęły odległe miejsca, choć gdyby Kamila Żuk strzelała bez pudła, miałaby olimpijskie srebro. Gdyby Natalia Sidorowicz strzelała celnie, otarłaby się o podium, bo zajęłaby czwarte miejsce, jak Damian Żurek w łyżwiarstwie szybkim.

Gdyby, gdyby, gdyby...

eprasa.pl 7432f6a181

OD A DO ZYBERTOWICZA

Koszmar europejskiej przeszłości – tuż, tuż?

Bezradność wobec nadchodzącej burzy jest naszym największym, odradzającym się koszmarem

Ivan Krastev to wybitny bułgarski analityk, znany także w Polsce z licznych publikacji. Chociaż funkcjonuje w kręgu mainstreamowych narracji Unii Europejskiej, cechuje go duża samodzielność myślenia. W styczniu 2026 r. udzielił wywiadu francuskiemu dziennikowi „Le Figaro". Powiedział (cytuję za „Gazetą Wyborczą"), że „wkraczamy w co najmniej dekadę chaosu". Zapytany, czy dotyczy to również Europy, odrzekł: „Będzie to dla nas okres bolesny bardziej niż dla kogokolwiek innego, ponieważ byliśmy przekonani, że świat się ustabilizował i nic nie zmieni jego trajektorii. Tymczasem nasza przeszłość, która była przecież naszym koszmarem, ponownie staje się naszą przyszłością!".

KTO PAMIĘTA WIEK XX?

Czy koszmary tamtej epoki są obecne w wyobraźni młodego pokolenia? Raczej nie.

Gdy się urodziłem, minęło dziewięć lat od zakończenia II wojny światowej – a była ona żywym doświadczeniem w rozmowach moich rodziców i dziadków. Nie zliczę, ile przeczytałem książek na temat II wojny oraz sowietyzmu. Ileż filmów dających wgląd w naturę faszyzmu oraz komunizmu obejrzałem!

Do czego zmierzam? Chcę podkreślić, że należę do tego pokolenia, które dobrze wie, rozumie i pośrednio, ale mocno – bo poprzez swych bliskich – odczuwało, na czym polegał koszmar obu wielkich XX-wiecznych wojen.

Obawiam się jednak, że większość dzisiejszych Europejczyków – poddana praniu mózgu przez nieustające strumienie smartfonowych bodźców – ma bardzo mgliste, często wręcz komiksowe wyobrażenie tego, czym były XX-wieczne totalitaryzmy.

RECYDYWA?

Młodzi nie odczuwają przeszłości jako koszmaru, bo jej nie znają i nie rozumieją, skąd się wzięła.

Ale okazuje się, że niemieckie nazistowskie obozy, sowieckie łagry, wojny domowe, drapieżne podziały ideologiczne – nie są jedynie kartami historii. To mechanizmy, które mogą się reaktywować, jeśli zapomnimy, co je uruchomiło. Oto „osiągnięcia" lewicowo-liberalnego postępu:

- prawo coraz częściej nie jest neutralne – jest narzędziem władzy;
- media nie informują – manipulują;
- społeczeństwo nie rozmawia – krzyczy;
- politycy coraz częściej nie budują – niszczą.

Na Wschodzie –imperializm w najczystszej, XX-wiecznej postaci bombardowań i okopów. Na Południu demograficzna bomba tyka coraz głośniej, a fale migracji, które obserwowaliśmy dotychczas, mogą się okazać jedynie preludium. Za Atlantykiem nasz gwarant bezpieczeństwa, USA, jasno sygnalizuje, że ma dość bycia „policjantem świata" i woli się zająć sobą oraz Chinami.

Nie takiej Europy chcieliśmy, ale właśnie taką zafundowały nam elity władzy i pieniądza.

ILE WOLNOŚCI BEZ USA?

Czy jesteśmy gotowi na świat, w którym Unia Europejska może się okazać tylko krótkim epizodem wakacji od prawdziwej ludzkiej historii? Obawiam się, że odpowiedź brzmi: nie. I to właśnie ta bezradność wobec nadchodzącej burzy jest naszym największym, odradzającym się koszmarem. Łatwo się zapomina, że bez parasola bezpieczeństwa USA – planu Marshalla, NATO, roli „światowego żandarma" – Europa Zachodnia raczej nie zbudowałaby państw dobrobytu, a wiele krajów Azji i Ameryki Łacińskiej mogłoby podążyć ścieżką autorytaryzmu. Przecież gdyby nie powojenna polityka Waszyngtonu, mapa wolnego świata byłaby dziś skrawkiem papieru.

Ale czy powolne wycofywanie się USA musi oznaczać nasz koniec? To może być okres, w którym Europa wreszcie dorośnie. Przez dekady byliśmy jak nastolatek, który mieszka u bogatych rodziców – bezpieczny, ale niesamodzielny. Gdy rodzic mówi: „Czas się wyprowadzić", to boli, rodzi lęk (chaos), ale pewnie to jedyna droga ku dojrzałości.

PONOWNE ZAKORZENIENIE

Wśród niezbędnych warunków wyjścia na prostą jeden jest – moim zdaniem – fundamentalny. Europa przetrwa nadchodzącą „dekadę chaosu" tylko wtedy, gdy zrozumie, że jej siła nie leży w biurokracji czy dyrektywach o krzywiźnie banana, ale w fundamencie, na którym wyrosła. W cywilizacji łacińskiej: w rzymskim prawie, greckiej logice i chrześcijańskiej etyce.

Ale żeby być gotowym na tak głęboki zwrot, trzeba rozumieć skalę koszmarów, które są tu stawką.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 7432f6a181

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek

Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie

- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 7432f6a181

Zbieramy fundusze na mobilne centrum transmisyjne.
Chcemy być jeszcze bliżej widzów
i walczyć o polskie sprawy!

POMÓŻ NAM ODKRYWAĆ PRAWDĘ

wPolsce 24

Piotr Pawelec
prowadzący „Wiadomości"

wesprzyj.wpolsce24.tv

WSPIERAJ wPolsce24

Wesprzyj niezależne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 743 [illegible]